

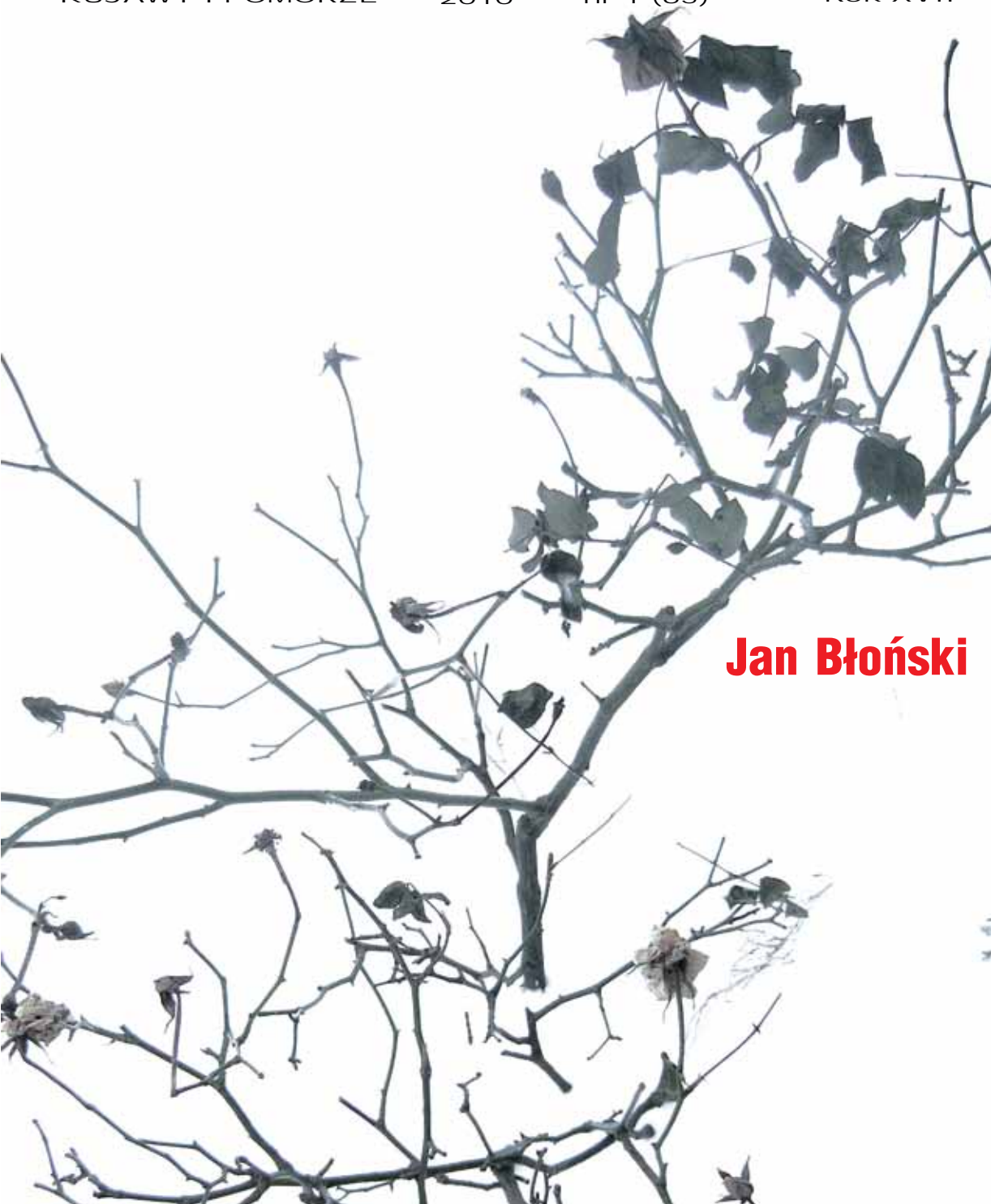
# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

KUJAWY I POMORZE

2010

nr 1 (65)

Rok XVII



**Jan Błoński**



KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	Kazimierz Hoffman (1928–2009), wspomnienie / 159
	Kazimierz Hoffman i o Kazimierzu Hoffmanie w „Kwartalniku Artystycznym” / 161
BOGUSŁAWA LATAWIEC	*** (Jego ptaki...) / 163      Ze szkolenia / 164
	Nocą / 164      *** (Żyła przy mnie...) / 165
MAREK KĘDZIERSKI	Barbara Bray (1924–2010) / 167
KAMILA PAWLUŚ	Walce rdzewiejących puszek / 171
	Każdy mijający / 172

„Kwartalnik Artystyczny” w 2009 roku / 173

#### Varia

JULIA HARTWIG	Dwadzieścia lat Stowarzyszenia Pisarzy Polskich / 174
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	Addenda (16) / 176
MAREK SKWARNICKI	Hejnał mariacki (3) / 181
LESZEK SZARUGA	Jazda (13) / 184
PIOTR SZEWC	Z powodu i bez powodu (18) / 189

#### Recenzje

KRYSTYNA DĄBROWSKA	Poeci metafizyczni / 191
LESZEK SZARUGA	W trybie oznajmującym / 196
GRZEGORZ KALINOWSKI	W poszukiwaniu Witkacego / 200

Noty o książkach / 206

Nowe książki / 219

TYLKO PRENUMERATA ZAPEWNIĄ STAŁE OTRZYMYWANIE  
„KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

#### Warunki prenumeraty:

Cena prenumeraty rocznej:

krajowej – 35 zł      zagranicznej – 25 euro; 30 USD

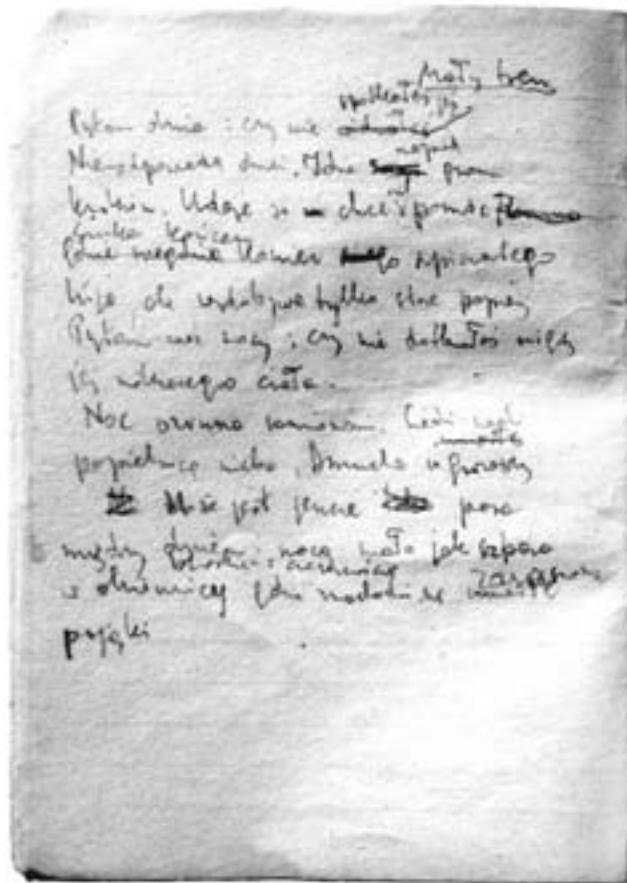
Cena za egzemplarz archiwalny (wraz z wysyłką):

krajowa – 9 zł      zagraniczna – 6 euro; 8 USD

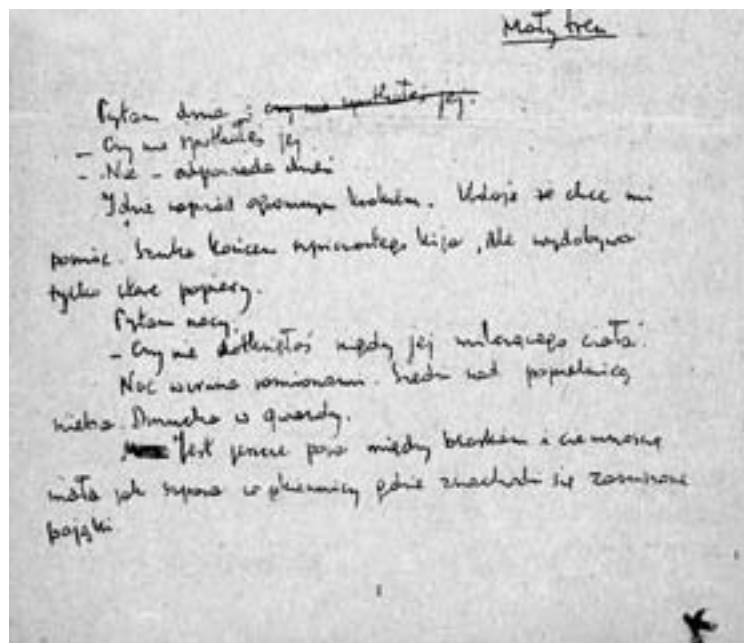
Wpłaty prosimy kierować na konto:

Wojewódzki Ośrodek Kultury PKO SA II Oddział Bydgoszcz  
68 1240 3493 1111 0000 4305 7874 „Kwartalnik Artystyczny”





Brulion w notatniku 1956/57



Rękopis (w teczce materiałów do tomu Studium przedmiotu)

## Zbigniew Herbert

### Mały tren

Pytam dnia:

- Czy nie spotkałaś jej?
- Nie - odpowiada dzień.

Idzie naprzód ogromnym krokiem. Udaje, że chce mi pomóc. Szuka końcem spiczastego kija, ale wydobywa tylko stare papiery.

Pytam nocy:

- Czy nie dotknęłaś nigdy jej milczącego ciała?

Noc wzrusza ramionami. Siedzi nad popielnicą nieba. Dmucha w gwiazdy.

Jest jeszcze pora między blaskiem i ciemnością, mała jak szpara w okiennicy, gdzie znachodzi się zasuszone pająki.

Zbigniew Herbert

## [NOTA OD WYDAWCY]

Mały tren był co prawda raz opublikowany (razem z jedenastoma innymi prozami poetyckimi) w lutowym numerze „Twórczości” z 1958 roku. W odróżnieniu jednak od pozostałych jedenastu tekstów, które znalazły się w opublikowanym trzy lata później Studium przedmiotu, nie został przez poetę włączony do żadnego tomu poezji. Więcej: ze znajdujących się w Archiwum Zbigniewa Herberta (w posiadaniu Biblioteki Narodowej w Warszawie) trzech wyciętych z tego numeru „Twórczości” kartek, zawierających te dwanaście utworów, na których autor, prawdopodobnie zaraz po opublikowaniu, naniósł zmiany w pięciu tekstach (uwzględnione później w wydaniu książkowym) widać wyraźnie, że został – jedną, ale zdecydowaną kreślącą – raz na zawsze przekreślony. Co nie znaczy jednak: wykreślony, bo Herbert zachował go przecież w swoich papierach.

Pierwsza, brulionowa wersja utworu znajduje się w notatniku, na którego pierwszej stronie poeta wpisał datę 1956/57 (w AZH nosi on numer 62), zawierającym zarówno wiersze, jak i poematy prozą powstałe już po oddaniu tomu Hermes, pies i gwiazda do druku. Niemniej nad pierwszą, niedokończoną zresztą, prozą poetycką z tego cyklu, Wąż, znajduje się nadtytuł Bajki, co może oznaczać, iż określenie to nadal pozostawało bliskie Herbertowi, pomimo że w swojej drukującej się już zapewne książce zdecydował się na rzeczowy termin „proza poetycka”. Łatwo zresztą zauważyć, iż akurat Mały tren bardziej przypomina właśnie bajki z lat 1952–1953, niż na przykład znajdujący się w tym samym notatniku poemat prozą Koniec dynastii.

Poszczególne wersje Małego trenu: brulion, rękopis oraz pierwodruk niewiele różnią się od siebie. Najpoważniejsze zmiany znajdujemy w ostatnim zdaniu, które w brulionie i rękopisie sformułowane było jeszcze w trybie przypuszczającym. W brulionie brzmiało ono: Ale może jest jeszcze taka pora między dniem i nocą, mała jak szpara w okiennicy, gdzie znachodzi się zasuszone pająki. Pod dniem i nocą znajduje się wariantowe (i ostateczne) sformułowanie: blaskiem i ciemnością, które pojawia się zarówno w rękopisie, jak w druku.

Co do dnia i nocy, to warto może dodać, że na 46. stronie verso rzeczowego notatnika znajduje się następująca notatka Zbigniewa Herberta, opatrzona dopiskiem ważne!:

tom wierszy Dzień i Noc  
proza poetycka i wiersze: dwa stany świadomości  
będzie to cykl od pierwszych zaczątków artykulacji  
trzeba zacząć od dzieciństwa  
do bardzo wysublimowanych form [?]  
modlitwa przed zaśnięciem  
i od dadaistycznego babrania  
się w mamusi do pierwszego uformowanego [?]  
mitu  
Posłowie: Jak to skleić

[Znakami zapytania w nawiasach kwadratowych oznaczam słowa, których odczytania nie jestem pewny].

R.K.



Fot. Danuta Węgieł/visavis.pl

Julia Hartwig

## Gorzkie żale

Trzeba ich opłakać  
bo nam tych łez trzeba

trzeba ich opłakać  
bo tak od wieków przystało

Ale tak naprawdę  
oni tych łez nie potrzebują

Patrzą na nas z góry  
i mówią: dobrze dobrze!

kiedy widzą  
że wydobywamy z siebie dzielność

## Rynek Starego Miasta w Antwerpii

Stragany z dymiącym jadłem  
 mężczyzna w grubym kożuchu  
 przepasany fartuchem  
 stojąc za blatem z surowego drewna  
 otwiera z muszel wilgotne oka ostryg  
 i napełnia kieliszek białym winem  
 wyziębionym w mroźnym powietrzu

Rynek otacza zielony las choinek  
 zasłaniających katedrę  
 nieustający chór kolęd wypełnia ciasno przestrzeń  
 oddechy ludzi niosą się nad nimi  
 białymi mgiełkami

Wokół wyspy Rynku  
 oddanej na wyłączne świętowanie  
 trwa ruch samochodów  
 przechodnie obładowani zakupami  
 spieszą się do domów  
 dostojny dworzec antwerpski  
 rozpamiętuje opowieść o sobie  
 W.G. Sebald

## Życzenie

Być na równej stopie  
 nie tylko z ludźmi  
 ale i z roślinami przedmiotami z całym światem

być na równej stopie z bogaczem i z wydziedziczonym  
 z geniuszem i z nieudacznikiem  
 nie cofać się przed cudzą wielkością  
 Rembrandta mieć za brata a Pana Boga za ojca

wypić lampkę wina  
 z Nacthem-Samborskim i z Potworowskim  
 powtarzać sobie muzyczne żarty Satiego i Ravela

Bacha kochać ale nie na kolanach  
 Pod gromem umieć zasnąć  
 i zbudzić się do następnej pogody  
 Nie dać bliskim duchom  
 żeby nas odstępowały

## Żałobnicy

Dwukrotnie widziałam  
 jak w porze wielkopostnej pojawiał się  
 w części Brooklynu zamieszkałej przez Włochów  
 na platformie wielkiego samochodu  
 ogromny posąg Matki Boskiej odziany w czarne żałobne suknie.  
 Posąg choć mocno przytwierdzony kiwał się rytmicznie w takt jazdy  
 jakby odkłaniał się gapiom  
 a czarna suknia poruszała się niepokojąco

Za posągiem, niczym gwardia przyboczna  
 sunęły bardzo powoli luksusowe auta  
 ze sztywno siedzącymi wpatrzonymi tępo w przestrzeń  
 dostojnikami miejskimi  
 i towarzyszący im tłum żałobników

W porze wielkopostnej pachnie tu już wiosną  
 ulice wypełnia zapach jaśminu  
 a posadzone tu i ówdzie drzewka owocowe  
 pochylają wdzięcznie białe od kwiatów głowy  
 na tle pogodnej niebieskości nieba

Z pochodu towarzyszącego powolnej jeździe aut  
 odrywało się raz po raz kilku żałobników  
 którzy obchodzili tłum gapiów potrząsając skarbonkami

w oczekiwaniu datków  
rzucanych gęsto ale z minami tak ponurymi  
jakby robili to z ze strachu lub z przymusu.

Nasz sąsiad starszy pan w zrudziałych jeansach  
kierując się ku domowi zamruczał pod nosem  
Taka to i nasza Matka Boska mafiozowska

## Ptaki

Rankiem nadlatywały  
czarne szeroko rozpięte w powietrzu  
zaskakująco swobodne i dumne  
Leciały z piersią otwartą żeglując na powietrznej fali  
Gdzie przepadł ich krzyk tak nieprzyjemny?  
trwało misterium ciszy nabożeństwo podniesienia

Czego chciały? O małoduszny i krótkowzroczny  
Chciały lotu Chciały tych rozpostartych skrzydeł  
tego miłosnego spełnienia z przestrzenią  
w ich locie była rozkosz i upojenie  
kiedy przysiadaly los się odmieniał  
były jak żałobne wdowy  
z zawiązanymi pod brodą chustami  
które czekały na przemianę  
Lot był ich przeznaczeniem i urodą  
dlaczego nie dane im było w powietrzu umierać?

Julia Hartwig





Fot. Czesław Czaplński

Krzysztof Myszkowski

## Jan Błoński, pisarz, przyjaciel, korespondent

Pierwsze spotkanie z Janem Błońskim to, w połowie lat siedemdziesiątych na studiach polonistycznych w Toruniu, lektura jego książki o Mikołaju Sępie Szarzyńskim i olśnienie poezją autora Rymów i tekstem jej komentatora. Skutek był taki, że zgłosiłem się na seminarium z literatury staropolskiej, żeby pisać pracę magisterską o wierszach Sępa. I napisałem.

Od tamtej pory wiedziałem, że Błoński to ktoś ważny. Przeczytałem *Widzieć jasno* w zachwyceniu i wybór Proust w oczach krytyki światowej, eseje i książki o Wyspiańskim, Witkiewiczu, Gombrowiczu, Miłoszu i Mrożku, szkice o Norwidzie, Leśmianie, Schulzu, Micińskim, Baczyńskim, Andrzejewskim, Białoszewskim i Różewiczu, *Kilka myśli co nie nowe* i *Biedni Polacy patrzą na getto*, cykl o diable w polskiej literaturze powojennej, przekłady m.in. Camusa, Ionesco, Geneta, Bachelarda, Barthesa i Pouleta i szkic, który otworzył mi twórczość Becketta, będący posłowiem do pierwszego polskiego wydania jego *Teatru*. Rysowała się z tych czytań niezwykła, bo na wielką skalę zakrojona, a jednocześnie osobista, jednostkowa konstrukcja, której fundament stanowiły sacrum i metafizyka.



Ten trop u Błońskiego jest wyraźny. Poeta-mistyk Sęp Szarzyński. Tomasz Mann i jego „teologia ironii”. Demiurgiczny James Joyce, uczeń jezuickiego kolegium i wyznawca tomistycznej estetyki. U Prousta – literatura jako „sąd ostateczny”. Beckett, czyli teatr absurdu jako teatr religijny, bo jeżeli nie anioł, to diabeł jest w nim pokazany bardzo prawdziwie. U Leśmiana z metafizyką łączy się rytm, u Witkiewicza Czysta Forma i Tajemnica Istnienia, u Gombrowicza doświadczenie otchłani i obcowanie z czymś tajemniczym. A Miłosza w ogóle trudno jest pojmować bez chrześcijańskiej tradycji, tak jak dzieł największych pisarzy XX wieku: „Wszystkie czerpią swą spoistość – a także moc oddziaływania, o czym się nieraz zapomina! – z tradycji religijnej.” – mówi Błoński.

Sacrum i metafizyka są fundamentem sztuki. Z jednej strony metafizyka i sacrum i z drugiej – zmysłowe doznanie świata. To są główne bieguny życia człowieka. A pomiędzy nimi feeria istnienia: niepokoje i tajemnice ducha, udręki i szaleństwa ciała wyrażane na różne sposoby od ironii, pastiszu i groteski, komizmu i humoru do tonacji poważnych, tonów wysokich i zasadniczych. To co święte i to co literackie, w nierozdzielnym związku. Ale czasy są niereligijne, ateistyczne, materialistyczne, modernistyczne, postmodernistyczne i diabeł wie jakie. Co robić? Kluczyć, zacierać ślady i przystosowywać się do tego, co jest, czy dawać świadectwo i mozolnie, ale po dobrej drodze posuwać się do przodu?

Być wyzutym z metafizyki, to tak jakby stać się jak suchy pień, a więc istnieć bez sensu. Biblijna leksyka, topika, tematyka i symbolika obecne są w twórczości największych polskich i europejskich pisarzy. Kto tego nie widzi, temu należy współczuć, a fakt, że widzi to coraz mniej, że tak bardzo jest to poza zasięgiem pisarzy, krytyki i wychowanych na mediach czytelników, tylko wyostrza problem. Nie można przechodzić obojętnie obok biedy, wszystko jedno, czy jest ona materialna, czy, jak w tym przypadku, duchowa i umysłowa. Tego uczył Błoński, taka była jego postawa i działanie.

Wiąże się z tym sprawa wartości. Błoński mówił, że wartości stoją na pierwszym miejscu. Po co pisze się i czyta? Czy nie po to, żeby zmieniać siebie na lepsze i w jakiś, choćby najmniejszy sposób zbliżyć się do świętości, do Boga, czyli do prawdy, piękna i dobra, bo to są Jego odwieczne znaki. I w Jego świetle rozpoznawać swój los, rozumieć i wyrażać siebie i świat.

Na przykład: czytamy wiersze Sępa Szarzyńskiego. Widzimy niezwykle skupienie i napięcie tej poezji, jej kunszt i moc i pytamy: jaki jest fundament tego pisarza i jego utworów? Zaczynamy od fundamentu. Potem w grę

wchodzą możliwości, przygotowanie, tradycja i talent, siła woli i charakteru, problem tożsamości. Jakże ważne są eseje Błońskiego o tożsamości: o zakorzenieniu w chrześcijaństwie, o tradycji szlacheckiej, o stosunkach polsko-żydowskich. Czy nie są to główne osie naszej tożsamości?

Żyjemy w wypełnionej zgiełkiem pustce, która wdiera się do głów i serc. Zawsze jest jakaś pustka i w niej rozbrzmiewa jakiś zgiełk: pustka rozbiorów, pustka PRL-u, pustka Drugiej i Trzeciej Rzeczypospolitej, pustka emigracji. I nie da się tego zamaskować grą, jak u Gombrowicza czy Andrzejewskiego, prywatnością, erotyką, historią czy polityką, bo jest coś ważniejszego, jak u Miłosza, mimesis i dziękczynienie i uświetnienie bytu przez jego reprezentację, powrót do siebie, do źródeł. Po to są kryteria i hierarchie, które inni tak pracowicie zamazują i dlatego trzeba, jak Miłosz i jak Błoński, walczyć o ich zachowanie.

Mamy przykłady największe: Boska Komedia, Don Kichot, Hamlet, Makbet i Król Lear, Faust, Idiota, Biesy i Bracia Karamazow. „Nigdy bym pobożnego węzła nie rozciął, gdyby nie klasycy. – mówi Błoński – Tak, droga «literatury katolickiej» zdawała mi się coraz bardziej zaułkiem. Ale coraz lepiej pojmowałem chrześcijaństwo arcydzieł, z którymi się stopniowo zaznajamiałem. Na dobrą drogę nawracali mnie Cervantes i Shakespeare, Goethe i Dostojewski! Tyle tylko, że kazali się czytać po wielokroć... bo dopiero wtedy zaczyna się rozumieć klasyków. Przekonywali mnie z cierpliwą starannością, jak trudno europejskiemu pisarzowi przekroczyć krąg duchowy, zatoczony przez chrześcijaństwo. I jak łatwo, krąg ten przekroczywszy, stoczyć się w nijakość, w błahość... Pojmowałem już wtedy, ile literacka współczesność zawdzięcza zawsze tradycji. Dostrzegłem więc powoli, że pytania i przeświadczenia, jakie zajmowały mojego Prousta, Witkacego czy Miłosza, są – mniej lub bardziej – pochodne od religijnego spadku. Że zeświecczają lub, przeciwnie, uświęcają elementy ogromnej budowli, w którejśmy się poniekąd pogubili. I że po tej budowli dobrze byłoby pochodzić z teologiczną świeczką. Czy naprawdę – teologiczną? W ciele literatury europejskiej nie krążyła teologia, krążyła czy krąży wiara, a jeśli nawet nie wiara, to substancje, które z tej wiary biorą początek.”

Bibliografia Błońskiego wykazuje około tysiąc tekstów i książek, ale przecież nie o ilość tu chodzi. Uczeń Kazimierza Wyki i Zygmunta Czernego, kolega Andrzeja Kijowskiego, Konstantego Puzyny i Ludwika Flaszena, wyprzedził ich i zaszedł najwyżej. Był krytykiem rangi i miary Stanisława Brzozowskiego. Bez niego inna byłaby polska literatura współczesna. Literatura to było jego

życie. Wykładał w Polsce i we Francji, na Uniwersytecie Jagiellońskim, na Sorbonie i w Clermont-Ferrand, pracował w Instytucie Badań Literackich, był redaktorem naukowym Biblioteki Narodowej, redaktorem dzieł zebranych Witkiewicza, Gombrowicza i Miłosza, kierownikiem literackim Starego Teatru, w którym współpracował z Konradem Swinarskim, redaktorem m.in. „Przekroju” Eilego i „Tekstów Drugich”, współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego” Jerzego Turowicza i członkiem Zespołu „Kwartalnika Artystycznego”.

Błoński kochał literaturę. Rozmawiał z tekstami, zmagając się z ich materią i duchem, wadził się z nimi i ze sobą. Zobaczmy, jaka jest w jego książkach i tekstach gama środków stylistycznych i retorycznych, ile serca i jakie intelektualne i duchowe ładunki. Jeżeli był do czegoś przekonany, to poświęcał się temu. Na początku była to, ogólnie, literatura, ale już niebawem człowiek i jego dzieło, konkretny pisarz i jego duchowy i artystowski świat. Przyjaźnił się z tymi pisarzami, z którymi mógł się spotykać: z Miłoszem, Mrożkiem, Lemem, Janem Józefem Szczepańskim, ale i z Sępem Szarzyńskim, Norwidem, Wyspiańskim i Witkiewiczem, Proustem i Beckettem, pewnie też z Gombrowiczem, i z kim tam jeszcze. Przyjaźnił się także z tak nieopierzonym debiutantem, jakim wtedy byłem, a jego przyjaźń uważam za jedną z największych wartości w moim życiu. Zawsze był gotowy do rozmowy i była to rzeczywiście rozmowa, a więc także słuchanie i współodczuwanie, próba zrozumienia i porozumienia. Zadawał pytania, dociekał, drażył i nagle przeskakiwał na inne pole, zmieniał tonację i zakres, zabarwiał humorem, groteską i ironią, śmiał się, chichotał, a po chwili był poważny, skupiony i skoncentrowany w czuły i czujny sposób, co było widać po błyskach w oku.

Rozmawialiśmy o książkach, o pisarzach i w ogóle o literaturze, jaki jest jej sens i zadania, ale interesował się także moim życiem prywatnym i otoczeniem, w którym żyłem. Na pierwsze spotkanie pojechałem do Krakowa z książką o Sępie, w której wpisał dedykację: „Panu Krzysztofowi Myszkowskiemu – wyrazy wdzięczności za miłość do Sępa – i najlepsze życzenia rychłych pisarskich powodzeń – Jan Błoński, 11.7.1988”. I on naprawdę był mi wdzięczny za miłość do Sępa, mimo że to przecież ja powinienem być jemu wdzięczny za to, że miłość tę we mnie rozpałił. U niego nie było grzecznościowych słów i formułek: znał różne rejestry i świetnie z nich korzystał. Z innych dedykacji – w książce Forma, śmiech i rzeczy ostateczne. Studia o Gombrowiczu: „Drogiemu Krzysztofowi – z życzeniami gombrowiczowskich sukcesów – Jan Błoński, Kraków 19.7.94”; w Biedni Polacy patrzą

na getto: „Drogiemu Krzysztofowi – z wdzięcznością za dobre słowa – Jan Błoński, Kraków 6.3.95”; w Mroźku: „Drogiemu Krzysztofowi te sztuczki o sztukach – Jan Błoński, 22.11.95”; w Miłoszu: „Drogiemu Krzysztofowi z podziękowaniem za pamięć i pomoc – Jan Błoński, 12.10.1998”; w Witkacym: „Komuś, który naprawdę kocha literaturę! Jan Błoński” i w drugim tomie: „Nieustraszonemu miłośnikowi literatury – w podziwieniu – Jan Błoński, 26 maj 2001”. Ile swobody i zapału jest w tych dedykacjach.

A cóż dopiero listy! Wydarzeniem było opublikowanie w 2004 roku przez Wydawnictwo Literackie tomu Listów Jana Błońskiego i Sławomira Mrożka. W tym numerze „Kwartalnika” mamy kolejną próbę epistolograficznych talentów i możliwości Błońskiego, a miejmy nadzieję, że pojawią się i inne bloki jego korespondencji. Ileż tu można nauczyć się – z pisarskiego, światopoglądowego, ale też i ludzkiego, humanistycznego punktu widzenia. Błoński jest jak tygiel, w którym mieszają się niezwykle rzeczy! To znawca, autorytet i bliski człowiek, który nie ukrywa swoich wad i słabości, bardzo ludzki, a jednocześnie transcendentny, piekielnie inteligentny i jak mało kto zorientowany w sytuacji. Jak bardzo brak jest dzisiaj takich ludzi. Ale są książki, jego pisarskie świadectwo, co sprawia, że jest obecny i możemy korzystać z jego mądrości i szczodrości ducha.

Co jest w listach, które tu prezentujemy? Jest zapisana historia mojego pisarskiego początku i historia przyjaźni, która zaczęła się jakby od pierwszego spojrzenia, ale przede wszystkim jest w nich obecny Jan Błoński, jeden z największych polskich krytyków i eseistów XX wieku, piękny człowiek.

Korespondencja zaczyna się we wrześniu 1986 roku i trwa do kwietnia roku 1998. Najpierw był list z pytaniem, czy przeczyta maszynopis mojej opowieści i odwrotną pocztą krótka odpowiedź, że tak, proszę przysłać. Po lekturze następuje prawie czterostronicowy list-recenzja i od razu deklaracja pomocy w wydaniu książki. I potem widzimy, jak Błoński angażuje się i zabiega o wydanie Pasji, co okazuje się bardzo trudne i trwa długie lata, a z nie mniejszą siłą i determinacją wspiera, podtrzymuje na duchu i zachęca do pisania jej autora. Jest uparty, cierpliwy i jakby bardziej zdeterminowany od młodego korespondenta. Niestrudzenie czuwa nad nim i nad jego pisaniem i nie daje za wygraną. Niebywała dysproporcja: z jednej strony największy autorytet krytyczny, z drugiej – debiutant zupełny. A czasy są niepewne, skomplikowane i ten kontekst pojawia się w listach wyraźnie: druga połowa lat osiemdziesiątych i postępująca ruina wszystkiego, po nich błysk wolności i zaraz jakiś chaotyczny, prowizoryczny system wprowadzony układem

z Magdalenki. Jest źle i bardzo źle, „Ale i tak się nie damy!” – mówi i nie traci nadziei ani na chwilę.

Staje się patronem mojego prozatorskiego debiutu w „Tygodniku Powszechnym” i cały czas zabiega o wydanie Pasji. Podsuwa taktyczne rozwiązania, rozważa warianty, wskazuje na mielizny i pułapki i teraz, gdy po latach czytam te listy, to widzę, że im było trudniej, tym było lepiej. Daje rady dotyczące rozwoju i jakże są one cenne i aktualne! A przy tym trwa rozmowa: o sytuacji w kraju i o jej szerszym kontekście, o współczesnej literaturze, też w szerszym kontekście, bo oprócz Becketta i Miłosza pojawiają się Sęp Szarzyński, Pasek, Rzewuski i Sienkiewicz, Ionesco i Huysmans i współcześni pisarze polscy. Mamy krótkie i celne charakterystyki od Gombrowicza i Andrzejewskiego poczynając, a na Pilchu i Huellem kończąc, zwięzły opis sytuacji literatury polskiej przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych i lat dziewięćdziesiątych, także w krytyce, w sprawach wydawniczych, a nawet księgarskich, z odniesieniami do polityki i życia społecznego, diagnozy i prognozy czynione na szerszym i na węższym tle, z konkretnymi przykładami i odniesieniami, także do teorii literatury. Mamy pochwałę Sienkiewicza i pochwałę Becketta, ale i dystans do niego (mówi, żeby zwrócić się przeciwko niemu!), wędrówki w różne prozatorskie strony, wskazywanie ich możliwości i niemożliwości.

Błoński cenił różne smaki i sposoby, różnaitość budziła w nim zaciekawienie i sympatię, chociaż jak mało kto potrafił być wierny wybranym przez siebie pisarzom. Mówi, że nie ma żadnej wyraźnej wizji literatury, że gdyby ją miał, to byłby powieściopisarzem, nie krytykiem. To zdanie, tak jak wiele zdań u niego, ma podwójne ostrze, dotyczy jego samego i dotyczy innych, bo przecież jest w tym zdaniu stwierdzenie, że pisarza, który nie ma wizji, trudno jest uznawać za pisarza. I tu, w takim i w podobnych miejscach, zaczyna się poważna rozmowa o literaturze. Błoński mówi o wzorach i o asekuracji, ale równie mocno mówi o osobności, integralności i odwadze. Są to najczęściej tylko „intencje uwag i spostrzeżeń”, tak, ale jaką mają moc! Był znakomitym stylistą i wiedział, że styl to człowiek i że nie ma nic gorszego jak wypaść z formy.

W latach, których dotyczy ta korespondencja, Błoński dużo publikował, głównie w „Tygodniku Powszechnym”. Przeżywa burzę po ogłoszeniu tekstu pt.: Biedni Polacy patrzą na getto, wychodzą jego nowe książki, udziela wywiadów, przewodniczy jury dwóch najważniejszych nagród literackich: Kościelskich i Nike, które trzymają poziom głównie dzięki niemu, podrózu-

je po Francji, wyjeżdża do Izraela i do Szwecji. I w tym wirze spraw czyta i omawia moje prozy, ocenia je, zmagają się z oporem, próbuje zainteresować innych etc. Ile w tym jest energii i troski, zaangażowania i dystansu, walki i spokoju, ile optymizmu i wiary w upartego debiutanta. Podpatrujemy, w migawkach, aluzjach i wzmiankach życie literackie i jego podszewkę, ale, proszę zobaczyć, kilka zdań, a nawet jedno, jaką mają u Błońskiego siłę i moc. Dobrze o tym wiedzieli pisarze, także ci, którzy dopiero zaczynali.

Spotkanie z Błońskim to było przeżycie. Tak, to był salon – krakowski, na Klinach, na ulicy Narwik i niech żyją takie salony. Błoński był gościnnym gospodarzem, zwykłym i niezwykłym panem domu i razem ze swoją żoną Panią Teresą, która według mnie jest wzorem i ideałem żony, wspaniale gościł i przyjmował. To był salon, ale i dwór szlachecki, szlacheckie włości. W każdym razie było to osobne, wyróżniające się i wyraziste terytorium. Jego mówienie to była szlachecka gawęda, pełna dygresji, polotu, szerokich i bliskich odniesień, śmiechów i chichów, różnego rodzaju ironii, ale i pełnych powagi zdań. Nie bez przyczyny wspomina w listach Paska, Rzewuskiego i Sienkiewicza. Czyż nie z tej wspaniałej tradycji wywodzili się Witkiewicz, Gombrowicz i Miłosz? Czyż nie jest to najlepszy i najmocniejszy nurt myśli i wrażliwości inteligencji polskiej? Ten walor, błyskotliwość, naturalny i niepowtarzalny tok, szlachecka niezłomność moralna, na którą zawsze u najlepszych można było liczyć, chyba najpiękniejszy spadek naszego obyczaju, zaszczepiony od Reja i Kochanowskiego i od Sępa właśnie i takie cnoty jak porządność, trzymanie się zasad, prostota, dobroć. To potem utrzymuje na wysokości całą literaturę polską, ten nurt, którego początki znajdują się w pierwszych polskich tekstach i w przekładach Biblii, a potem tworzony jest przez największych: Krasickiego i Karpińskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Norwida, Sienkiewicza, Prusa i Orzeszkową, Conrada, Witkiewicza, Gombrowicza i Miłosza.

Jaki byłby dziś odbiór Sępa Szarzyńskiego, Witkiewicza, Gombrowicza, Miłosza, Becketta i tylu innych bez jego książek? Jak ciekawie i z jaką znajomością rzeczy pisał o polskiej kulturze religijnej, wiedzą o tym choćby czytelnicy Sępa, a był to także ważny problem dla Miłosza i nadal jest, dla polskiej literatury współczesnej i polskiej tożsamości. Rzeczywistość i pozory, prawda i kłamstwo, dobro i zło, moralność i niemoralność, wartości i nihilizm, duch i ciało, sacrum i profanum – nie ma ważniejszych zagadnień dla pisarza i dla czytelnika.

Wiedział, że nie ma literatury bez ducha – to znaczy tej literatury prawdziwej, rzadkiej, wybitnej i tej, która do takiej pretenduje. O tym także jest mowa w listach. Raz odpowiada: „...mówi Pan jak z Synaju...” i mówi to serio, ostrzem mierzy także w siebie. Wiedział, że najważniejsze dla człowieka jest zbawienie i staranie o nie powinno być w życiu na pierwszym miejscu. I podtrzymywał w swojej duszy i w duszach innych ten pascalski ogień „wiary, nadziei i miłości”. Nie ma dla człowieka lepszego, bardziej zbawiennego ognia.

Krzysztof Myszowski

„...wydaje mi się,  
że Pan już ze swego czyścica wychodzi.”

Listy Jana Błońskiego do Krzysztofa Myszowskiego

1.

Kraków, 1986–09–10

Szanowny Panie,  
bardzo dziękuję za list. Chętnie przeczytam Pana książkę.  
Proszę przyjąć najlepsze wyrazy –

Jan Błoński

2.

Kraków 7.2.87

Szanowny Panie,  
Przepraszam, że to tak długo trwało. Nie bardzo radzę sobie z obowiązkami codzienności, a Pańska powieść była – czy jest – dla mnie problemem. Prze-

czytałem ją dwa razy, w pewnym odstępie czasu. Jednoznacznego poglądu nie mam, podzielę się więc z Panem swoimi wahaniem.

Jako całość – w założeniu i w wykonaniu – trzyma się ona niewątpliwie. Czy to jest literatura? Na pewno. Kwestia w tym, że taka literatura, za którą nie przepadam, chociaż mogę ją skądinąd podziwiać. Założenie jest przeprowadzone konsekwentnie: powiedzmy, powieść (?) o nawróceniu, czy w każdym razie o podobnej wewnętrznej przemianie. Nie ma trudniejszego tematu, już samo podjęcie go zasługuje na uwagę. Dobrze jest też to, że sam „ruch” przemiany nie odsłania się od razu, najpierw zarysowana sytuacja (dość konwencjonalna, ale to nic nie szkodzi), potem cała ta żałosna miłosna beckettjada (wróć do tego punktu), i rozmyślenia w bazylice – część końcowa – przychodzą nagle, niespodziewanie, ale jednak czujemy, że są właściwym, logicznym rozwinięciem tego, co było poprzednio – więc jest niespodzianka, ale odkrywamy, że uzasadniona. Jedność zostaje zapewniona przez ujęcie stylistyczne, znowu – nieco (a nawet na pewno) męczące, ale czujemy, że konsekwentne. Zadanie więc, które sobie Pan postawił, jest z rzemieślniczego punktu widzenia (to jest niezmiernie ważne, myślę, że się Pan zgodzi, chociaż może to Pan inaczej nazywa), wykonane w sposób całkowicie dojrzały. „Literackość” tekstu została starannie zapewniona, nawet podkreślona, tak że można by nawet powiedzieć, że mamy do czynienia mniej z powieścią, a z poematem, albo raczej, z powieścią czy opowieścią spojonych chwytami właściwymi poezji. Jest cała sieć refrenów, powiązań słownych, reminiscencji etc., która w powiązaniu z uderzającą (a nawet manieryczną) jednością stylu – robi z utworu blok. Dostrzegłem też pewne „rozluźnienie” stylistyczne w partii, że tak powiem, obyczajowej (miłosnej), i to także jest trafne, daje trochę oddechu i dystansu.

Napisałem, że nie ma trudniejszego tematu. Pan trafnie wyczuł, że nie bardzo da się go rozwiązać, stając na gruncie, że tak powiem, psychologicznym. Kim jest bohater, co go ukształtowało, dlaczego ślamazara, samotnik, nieszczęśnik (bo chyba jest?) – nie wiemy, i Pana to nie interesuje. Jak więc ukazać ów proces, który Pana interesuje? Rozumiem, że szuka Pan niejako odpowiednika, że coś wewnętrznego chce Pan opisać od zewnątrz. Tak, od zewnątrz, bo chociaż całość da się od biedy zinterpretować jako monolog wewnętrzny, to w istocie takim monologiem nie jest, nie odsłania się w nim psychiczna substancja (= przeszłość) bohatera, to raczej on sam zmienia się niejako w trakcie, jego wewnętrzne przekształcenie jest chwywane in actu.

Ale teraz – jak właściwie? Daje Pan do zrozumienia (i to jest znowu dowód pisarskiej świadomości), że wszystko dzieje się w słowie, w myślopisaniu, że tak powiem, może tak to można zrozumieć, że ów proces ma się odsłonić, czy też raczej unaocznic, w zmianie mówienia o sobie i świecie, a więc w refleksjach, spostrzeżeniach, skojarzeniach, treści świadomości... Treści wewnętrznej (co daje pozorny wygląd monologu wewnętrznego) i widzialnej (stąd rola opisu). Zarazem to mówienie jest, jak już wspomniałem, spojone poetyckimi sposobami... Płaczę się trochę, ale dość to trudne do opisanie. W końcu wychodzi na to, że to co jest przedstawiane, naśladowane, okazuje się dość błahe, w każdym zaś razie zostaje mocno zdeprecjonowane, natomiast sam sposób przedstawiania ma świadczyć o temacie (przemianie). To wszystko zbliża Pasję Pańską do *nouveau roman*<sup>1</sup>, Joyce'a<sup>2</sup>, Becketta<sup>3</sup> (to mi się odsłoniło właśnie w tej zabawno-ponurej historii mieszkania u Marii, można ją interpretować jako rojenie bohatera, ale można też wziąć wprost, zawieszając prawdopodobieństwo, i wtedy od razu widać podobieństwo) – i tutaj interweniuje mój gust osobisty, który każe mi się takimi utworami interesować, ale zarazem rzadko znajduje zadowolenie, przynajmniej jeżeli chodzi o powieść, bo to stawia straszne wymagania: ciężko mi, przyznaję, nawet powieści Becketta czytać, a już ci inni Francuzi okropnie mnie dzisiaj nudzą, chociaż kiedyś pasjonowali. To jest trochę tak, jakby czytać epepeję, długi poemat, ale poetom szczególne stawiamy wymagania, a na dodatek wszystko ulepione jest z błahych właściwie, miernych zdarzeń, z naturalistycznego miału... i cały nacisk przeniesiony na sposób mówienia. Ale właściwie muszę przyznać, że Pan dobrze czuje ryzyko, bo po pierwsze, całość bardzo krótka (i słusznie, może jeszcze parę stron – nie więcej – można by uskubać), po drugie, ucieka Pan w końcowej części w opis, co mi przypomniało Huysmansa<sup>4</sup>, nie wiem czy Pan wie, że on tak sobie radził w swoich późniejszych powieściach, które o podobnym temacie traktują. Bardzo ładny jest zresztą ten opis, mogłem go docenić także przez to, że dobrze znam Toruń, mieszkałem tam lat kilka, bardzo dawno

<sup>1</sup> *nouveau roman*, anti-roman, fr., dosł. „nowa powieść, antypowieść”, typ powieści awangardowej, jaki rozwinął się głównie we Francji w latach 50. i 60. XX wieku; główni przedstawiciele: Robbe-Grillet, Butor, Duras, Simon.

<sup>2</sup> James Joyce (1882–1941), pisarz, autor m.in. *Dublińczyków*, *Portretu artysty z czasów młodości*, *Ullisesa* i *Finnegans Wake*.

<sup>3</sup> Samuel Beckett (1906–1989), pisarz, autor takich utworów jak m.in. *Watt*, *Molloy*, *Malone umiera*, *Nienazywalne*, *Czekając na Godota*, *Końcówka*, *Ostatnia taśma Krappa*, *Szczęśliwe dni*; laureat Nagrody Nobla (1969).

<sup>4</sup> Joris-Karl Huysmans (1848–1907), pisarz, autor m.in. *Na wspak*, *W drodze*, *Katedry* (*La Cathédrale*).

temu. Ładny, ale nie ukrywam, że stawia czytelnikowi wymagania, żąda cierpliwości itd. Pojawia się tu też pewne niebezpieczeństwo deklarytywności, no bo właściwie dlaczego tak się ta przemiana potoczyła?... można sobie takie pytanie zadać. Odpowiedź zapewne taka, że przez kontrast, z poczucia braku, rozproszenia, jałowości życia, etc. Wszystko jest u Pana dobrze przemyślane, ale czy dał Pan radę, sam nie wiem, nie potrafię powiedzieć, co u czytelnika przeważa, podziw czy znużenie. W tym sensie rzecz – wielce ambitna – pozostaje problemem.

Gdybym był wydawcą, wydałbym Pana książkę, postępując nieco, bo łatwa nie jest, trudno jej – chyba? – będzie trafić do czytelnika. Na dodatek te względy silniej dzisiaj działają niż przed paru laty. Ale mniejsza z tym. Jestem naturalnie gotów pomóc Panu, ale zastrzegając się z góry, że moje możliwości są dość ograniczone, wbrew temu, co Pan może sądzić, nie jestem człowiekiem wpływowym... Zresztą od Pana zależy, co Pan chce z tym zrobić. Tymczasem odsyłam Panu powieść, zachowuję sobie kopię tego listu, więc w razie potrzeby mogę jakąś opinię (?) napisać. Zmartwiłem się, czytając, że nie ma Pan innej kopii. Posyłam ją naturalnie listem poleconym, ale proszę usilnie i radzę, aby Pan nigdy – nigdy – tego więcej nie robił, niech się Pan przede wszystkim postara o fotokopię. Bo nawet jak ma Pan rękopis, to zguba byłaby strasznym kłopotem. Na początek może zechciałby Pan napisać mi, czy te moje uwagi dotarły do Pana, także w tym sensie, czy umiałem się dobrze wygadać, czy te uwagi – niezależnie od tego, czy się Panu podobały czy nie – były dość jasne, czy przynajmniej najogólniej pokrywają się z Pana założeniami. Jeżeli nie, ciekaw byłbym Pana komentarza, wcale nie wstydzilibym się przyznać, że czegoś nie zrozumiałem. Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego uznania i najlepsze pozdrowienia –

Jan Błoński

30–436 Kraków, ul. Narvik 27, tel. 66 16 79.

3.

Kraków 25 lutego [1987]

Szanowny Panie,

Cieszę się, że mniej więcej utrafiłem w Pana oczekiwania. Zobaczmy co dalej. Czy mógłby mi Pan napisać, kiedy posłał Pan swoją książkę do WL?

Moje stosunki z tym wydawnictwem są słodko-kwaśne, ale jeszcze w sumie nie najgorsze. Chciałbym jednak wiedzieć, w jakim momencie procesu mam zadziałać, tzn. czy książka była recenzowana czy nie.

W każdym razie czeka się tam latami i latami. Miałbym może inne pomysły – niekoniecznie skuteczne – ale teraz trzeba czekać ma WL. Przygotuję opinię, którą w każdym razie im dam, albo jako list, albo jako recenzję. Ale są też inne sposoby – np. wpłynięcie, aby rzecz poszła do bystrego recenzenta – dlatego pytam.

Łączę najlepsze wyrazy –

Jan Błoński

4.

Kraków 12 marca [1987]

Szanowny i Drogi Panie,

Dziękuję za list z informacją. Książka Pana jest w WL-u – obecnie w czytaniu „wewnętrznym”, wstępnym. Potem idzie do recenzenta zewnętrznego. Zaproponowałem siebie i myślę, że tak się stanie.

Ale co będzie potem, trudno mi powiedzieć. W każdym razie wszystko idzie coraz wolniej. A w ostatnim czasie finansowa sytuacja wydawnictwa degraduje się – jak słyszę – niemal z tygodnia na tydzień, co oczywiście rzutuje na decyzje wydawnicze. Nie ma się jednak co martwić na zapas.

„T.P.” dostał koło 100 listów o Żydach<sup>1</sup>, w tym ze dwadzieścia o charakterze artykułów. Przejrzałem mniej więcej połowę tymczasem, trafiłem też na Pana tekst z taką adnotacją redaktora: „broni Bł., z pozycji czysto estetycznych – nie na temat”. Może nie powinienem zdradzać Panu takich redakcyjnych tajemnic. W każdym razie jeszcze raz dziękuję Panu za ujęcie się za mną od tej strony także.

Ma być w „T.P.” jeszcze parę pozycji związanych z tematem – a potem podsumowanie Turowicza<sup>2</sup>. Po przeczytaniu i przemyśleniu doszedłem do wniosku, że lepiej samemu nie zabierać już głosu – choćby z powodów estetycznych właśnie...

Proszę przyjąć najlepsze wyrazy –

Jan Błoński

<sup>1</sup> Jan Błoński, Biedni Polacy patrzą na getto, „Tygodnik Powszechny” 1987 nr 2.

<sup>2</sup> Jerzy Turowicz (1912–1999), redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego” w latach 1945–1953, 1956–1999.

5.

2.7.1987

Szanowny i Drogi Panie,

Nie mogę sobie przypomnieć, czy odpisałem na Pana list z maja, czy nie. Został na biurku, więc chyba nie.

Nie ma żadnego „supła” z Pana Pasją, jest zwykle lenistwo i niezdecydowanie. Recenzję zrobiłem od razu w styczniu czy lutym (już nie pamiętam, kiedy to wyniknęło), powtarza ona tylko to, co napisałem w liście niemal dosłownie. Mam kopię, ale tylko jedną... naprawdę, nic tam nie ma nowego dla Pana. Potem? Potem odłożono do decyzji. I leży. I jeszcze będzie leżeć zapewne. Ale to nic nie znaczy, zupełnie nic.

Niech się Pan nie przejmuj i pisze dalej. Proszę też nie zapomnieć o mnie, zwłaszcza gdyby przejeżdżał Pan przez Kraków.

Proszę przyjąć serdeczne pozdrowienia.

Jan Błoński

6.

Kraków 24 lipca [1987]

Szanowny i Drogi Panie,

I cóż ja mam Panu poradzić? Mógł się Pan przekonać, że nie z kokieterii mówiłem Panu, że nie jestem dziś w wydawnictwach „wpływowy”... Dlaczego, nie trudno się domyśleć. Poza tym Pana książka nie jest łatwa do umieszczenia, bo jej estetyczno-religijny aspekt budzi nieufność w wydawnictwach „rządowych”, a znowuż kościelnych nie pociąga „strona Becketta”. Ale może to i dobrze, napisze Pan drugą, i potem jedną drugą pociągnie. Niech się jednak Pan tym nie zniechęca i próbuje dalej. Może Pan spróbować w „Czytelniku”, gdzie trafi ona prawdopodobnie w ręce Berezy<sup>1</sup>. Może mu się spodobać (ale nie musi), pod warunkiem, że Pan nie użyje mojej opinii, Bereza mnie po prostu nie cierpi i, o ile wiem, nie grzeszy wielkodusznością. Może Pan w „Znaku”, gdzie, owszem, jestem mile widziany, ale z góry ostrzegam, że Woźniakowski<sup>2</sup> bardzo nie lubi takich „modernizmów” (np. nie znosi Paźniewskiego<sup>3</sup>, którego ja bardzo lubię). PIW? Straciłem z nim kontakt, niewiele wiem o nowym dyrektorze; poza tym

<sup>1</sup> Henryk Bereza (ur. 1926), krytyk literacki, od 1951 redaktor „Twórczości”.

<sup>2</sup> Jacek Woźniakowski (ur. 1920), historyk sztuki, eseista, publicysta i tłumacz, w latach 1959–1992 redaktor naczelny Wydawnictwa Znak.

<sup>3</sup> Włodzimierz Paźniewski (ur. 1942), prozaik, autor m.in. Krótkich dni.

teraz wydaje bardzo mało rzeczy współczesnych. Dla innych wydawnictw, kościelnych czy przykościelnych rzecz będzie bardzo egzotyczna, marginalna, ale nigdy nie wiadomo. Pozostaje właściwie PAX, co może się Panu nie podobać, ale – paradoksalnie – nie jest to może najgłupsze rozwiązanie... Patrząc realistycznie, miałyby chyba Pan najwięcej szans albo tam, albo w którymś z nowych wydawnictw, których się teraz namnożyło, głównie robią one pieniądze, ale czasem chcą zaabstrahować czymś oryginalniejszym. Pozostają oficyny nieoficjalne, które – jednak dają wyraźnie pierwszeństwo polityce. Idem emigracyjne, które mało mają pieniędzy. Tak wygląda praktyczny tour d’horizon.

Więc potrzeba cierpliwości i uporu. Może ma Pan w Wie [Warszawie – przyp. red.] przyjaciół, którzy mogliby się wywieść, jak to jest np. w „Czytelniku”, może PAX-ie (współpraca z wydawnictwem, jak Pan wie, jest traktowana całkiem obojętnie, zresztą nie znam Pana poglądów w tym punkcie), a skądinąd spróbował np. w Wyd. Morskim, Lubelskim (stara się, wydaje, zdaje się, „Akcent”), Łódzkie mniej prawdopodobnie się nadaje. Nie jest to bardzo eleganckie, próbować w dwu miejscach naraz, ale ja bym to zrobił.

Przede wszystkim jednak – niech się Pan nie martwi i nie przejmuj! To było właściwie nieuchronne, bo WL jest w kiepskiej sytuacji finansowej, co wydaje się nie do wiary z takimi autorami, ale tak jest, z winy dyrektora chyba – i oczywiście czynniki polityczne, lokalne także etc. etc. Aha, przychodzi mi jeszcze taka myśl do głowy: może Pan spróbować innej taktyki, tzn. posłać fragment do „Twórczości”, może do „Res Publiki” (gdzie może się Pan na mnie powołać), gdyby się ukazał, łatwiej o wydanie. Ale zarówno tam, jak w wydawnictwach straszna jest powolność odpowiedzi i druku, prawdziwe nieszczęście literatury, także nauki, może nawet większe niż cenzura etc. W każdym razie niech Pan rozmnoży swe dzieło i spróbuje.

No cóż, nie bardzo Pana pocieszyłem. Ale mogę Pana zapewnić, że nie jest Pan jedyny w tej sytuacji. Bardzo byłbym ciekaw Pana odpowiedzi i decyzji. A tymczasem proszę przyjąć bardzo serdeczne wyrazy –

Jan Błoński

PS. Dowiedziałem się przypadkiem, że Pana książka wywołała w WL dużą dyskusję i że sporo osób było za – dyrektor przeważył.

szanowny Panie,

Dziękuję za miłe listy, wiesz  
ty, że Pan nie podupadł na duchu. Ale  
bardzo proszę, niech Pan raczej pisze nowe rzeczy, niż poprawia stare!  
Zawsze lepiej iść naprzód, na poprawki będzie czas, kiedy Pan będzie  
miał tyle lat co ja.

Berezę, Bugajskim<sup>1</sup> itd. nie bardzo się przejmuję, dobrze wiedziałem, że  
do merytorycznej dyskusji nie bardzo są oni zdolni i właściwie wystarczy  
to właśnie wykazać. Ale gotów jestem napisać na zakończenie krótką odpow-  
owiedź, w każdym razie zaproponowałem to redakcji. Ale jest jeszcze podobno  
kilka innych głosów, więc wypada poczekać.

Do „Res Publici” trzeba było od razu posłać fragment, bo pismo nie bar-  
dzo jest nacelowane na prozę i gonić za Panem nie będzie. Ale to głupstwo.  
Niech Pan robi kseroksy\*, choć to kosztowne, albo przyjedzie do Krakowa,  
to Panu zrobię na UJ i wyda Pan przyjemniej swoje pieniądze. Ściskam  
serdecznie dłoń –

Jan Błoński

\* zamiast przepisywać!

8.  
Kra-ków 26.11.87

Szanowny i Drogi Panie,

Przepraszam, że kazałem tak długo czekać na odpowiedź, a domyślam  
się też, że od czasu do czasu potrzebuje Pan jakiegoś sygnału literackiego  
zainteresowania... Oczywiście, że z ciekawością przeczytam Pana opowia-  
danie. Cóż powiedzieć o tych praktykach wydawców? PIW, jak wiado-  
mo, ograniczył do minimum i wachlarz tytułów i, zwłaszcza, publikacje  
współczesne. Dlatego też uchodzi za najmocniejszego ekonomicznie...  
Pod tym względem PAX ma większe pole manewru. Ale to są wszystko  
marginalia, głupstwo okolicznościowe, niech się Pan broń Boże tym nie  
zraża i nie martwi, po prostu teraz takie czasy. Istotnie, pomyślałem sobie,  
że powinienem próbować, nie powiem ożywienia, ale raczej, poruszenia

<sup>1</sup> Leszek Bugajski (ur. 1949), krytyk literacki, publicysta.



się krytyki, jakiś obowiązek literacki wypełnić. Ale naprawdę uważam Huellego<sup>1</sup> i Polkowskiego<sup>2</sup>, a także innych, za bardzo wybitnych, i jestem zupełnie pewien, że w innych czasach hulaliby już po Warszawie jak kiedyś Grochowiaki, Hłaski itd. Co lepsze, poddasze czy knajpa, trudno powiedzieć. Ufajmy, że opór otoczenia da właśnie pisarzom większą siłę i samodzielność... Ale zarazem jest w tym wszystkim coś osobliwie staroświeckiego... Przynajmniej nie mam wrażenia powtórki życia, przeciwnie, chce mi się otwierać oczy coraz szerzej, co zresztą może także oznaczać tylko niecierpliwość na zmiany, których mogę nie doczekać. Jak to było z Pana znajomością z Andrzejewskim<sup>3</sup>? Bardzo byłbym ciekaw paru wiadomości o Panu! Czy i jak zatracił Pan jednak o „świat literacki”? Jak to właściwie było? Oczywiście, myślę o tym od strony Pana powieści, tzn. skąd Panu przyszedł taki sposób komponowania i opowiadania? – Co do dyskusji w „Literaturze”<sup>4</sup>, podsumował ją już dobrze Jarzębski<sup>5</sup> w „T.P.”. Wiele nie da się dodać, można by tylko powiedzieć, trochę na ślepo, że cała ta gromadka pisarzy czy kandydatów na pisarzy zgrzeszyła jakąś małodusznością. Podejrzewam, że tak – en passant – podsumuje ich przyszły kronikarz. Ale nie zdziwiłbym się także, gdyby któryś z nich się nagle obudził i dał coś bardziej pożywnego...

Bardzo też proszę, niech Pan mnie nie przecenia. To prawda, co podseptuje Jarzębski, cały ten artykuł napisałem bardzo szybko, nie wiedząc jak wyplątać się z zobowiązania dla Tow. im. Mickiewicza. Nie może on w żadnej mierze pretendować do jakiejś syntezy. Ale są chwile czy sytuacje, że na syntezę szkoda czasu, i podejrzewam, że to był właśnie taki przypadek. Potem „Literatura” rozgadała sprawę, szczęśliwa, że wreszcie toczy się jakaś literacka dyskusja, że może usprawiedliwi swój tytuł. Wszystko to nie jest oczywiście naganne, w każdym razie na zakończenie napisałem bardzo krótko.

Proszę przyjąć najlepsze wyrazy

Jan Błoński

<sup>1</sup> Paweł Huelle (ur. 1957), pisarz, autor m.in. Weisera Dawidka, redaktor pism literackich, ostatnio redaktor naczelny kwartalnika „Bliza”.

<sup>2</sup> Jan Polkowski (ur. 1953), autor tomików wierszy, dziennikarz i polityk, w latach 1983–1990 redaktor naczelny wydawanego w drugim obiegu kwartalnika „Arka”, ostatnio opublikował Cantus.

<sup>3</sup> Jerzy Andrzejewski (1909–1983), pisarz, autor m.in. Nocy, Bram raj, Idzie skacząc po górach, Apelacji, Miazgi i tomów Dziennika; patrz Korespondencja Jerzego Andrzejewskiego do Krzysztofa Myszkowskiego, „Tytuł” 1993 nr 1(9).

<sup>4</sup> Po szkicu Jana Błońskiego pt. Dwie groteski i pół..., „Literatura” 1987 nr 4.

<sup>5</sup> Jerzy Jarzębski (ur. 1947), krytyk, historyk literatury i eseista, autor m.in. Gry w Gombrowicza.



9.

Kraków 2 marca [1988]

Szanowny i Drogi Panie,

Dziękuję za oba listy i przepraszam, że się tak długo nie odzywałem. Wszystko, co Pan pisze, jest bardzo ciekawe i szczerze żałuję, że nie mogę z Panem spotkać się, porozmawiać. Już Pana uwagi o Andrzejewskim dają mi wiele do myślenia o dziwnych drogach, którymi rozwija się literatura i o różnicach w „repcji” pisarzy, zależnych od rozmaitych (też pokoleniowych) doświadczeń... Trochę mnie Pan jednak przekonał, bo istnieją różne piękności, także stylistyczne, i męczące, a czasem nieznośna „piękna fraza” Andrzejewskiego może stanowić także wzór dla bardzo wyszukanej i solidnej literatury... Ale mniejsza z tą sprawą, której nie da się w paru słowach omówić. Zaciekała mnie też Pana krytyka mojego art. w „T.P.”<sup>1</sup>, za którą szczerze jestem wdzięczny. Kiedy ten tekst przedstawiłem po francusku, prof. Beauvois<sup>2</sup> (który Polskę zna, ale Francuz do szpiku kości) skwitował go tak: „ach, więc Kresy to po prostu Gemeinschaft do kwadratu...”, rozumiał zatem moje uwagi jako demaskację. Pan w nich

<sup>1</sup> Jan Błoński, Polski raj, „Tygodnik Powszechny” 1987 nr 51/52.

<sup>2</sup> Daniel Beauvois (ur. 1938), historyk, tłumacz i publicysta.

widzi nostalgiczną apologię, i nie bez racji, bo wypowiadam się w innym kontekście. Zapewne trzeba było tam dodać sentymentu, a tutaj ironii, której trochę jest, boć to Soplicowo strasznie parafiańskie... ale teraz nie ma na nią mody, więc jakby wyparowuje w lekturze, w każdym razie ten balans nie był doskonały i bardzo dziękuję, że Pan mi na to zwrócił uwagę.

A teraz to, co Pana najbardziej zajmuje. Epilog bardzo mi się podobał. W sumie można go uznać za rodzaj „streszczenia” Pana powieści, jakąś nową wersję natrętej sytuacji czy doświadczenia. Ale silniejszy jest, bardziej zwarty i bardziej przejmujący. Stylistycznie bardzo silny, bardzo udany, miałbym najwyżej zastrzeżenie do paru słów, „postradywując”, „potrafiący”, gdzie indziej to byłoby bez znaczenia, ale nie w tak wypracowanej prozie. Także stosunek do bohatera jest cieplejszy, on bardziej żyje, bardziej nas obchodzi. Pozostaje oczywiście inspiracja beckettowska, ten zaśpiew pastiszowy. Jest jasne, że Pan z czasem musi poza to wyjść, zachowując zapewne zasady poetyckiej organizacji tekstu. Może by to osłabło czy zniknęło, gdyby nie podobieństwa sytuacyjne. Na drodze do własnego wyrazu nie może Pan ominąć tego problemu, ale pojmuję, że nie da się go załatwić w rok czy dwa. Jakkolwiek by było, to jest istotny krok naprzód. Gdybym miał równej jakości jedno czy dwa opowiadania, może to Funebre, o jakim Pan pisze, potrafiłbym łatwiej zainteresować, czy przekonać ludzi zdolnych wpłynąć na wydanie czy publikację, w ogóle też Pana sytuacja zaczyna mnie trochę złościć, coś z tym trzeba zrobić, choćby zmusić „przeciwników” do jasnego „nie, to nam się nie podoba”, ale oni boją się, i wciągają tak Pana w narodową topiel. Ale myślę, że Pan się nie przejmuje.

Przychodzi mi do głowy, po przypomnieniu sobie Pana listu z grudnia, że właściwie jest z Pana – na tle naszej duchowości i gustów literackich itp. – bardzo rzadkie zwierzę (Eckhart<sup>3</sup>, Loyola<sup>4</sup> etc...) i tym bardziej miałbym Pana ochotę zobaczyć. Może Pan ma jakieś plany wakacyjne czy inne, w naszych stronach? Ale wcześniej musimy coś zrobić z Pana tekstami, proszę więc o wiadomości.

Proszę przyjąć najlepsze wraży –

Jan Błoński

<sup>3</sup> Mistrz Eckhart (1260–1327), filozof, teolog, charyzmatyczny kaznodzieja, autor m.in. Kazań i Traktatów.

<sup>4</sup> Św. Ignacy Loyola (1491–1556), teolog, założyciel zakonu jezuitów, autor m.in. Ćwiczeń duchownych.

10.

Kraków 11 kwietnia [1988]

Szanowny Panie,

Listy Pana sprawiają mi wielką przyjemność, ale wieści w nich zawarte nie zawsze, niestety. Coś trzeba koniecznie zrobić z tym Pana pisaniem. Spotkałem niedawno p. Marka Zielińskiego, red. literackiego w „Więzi” i ponieważ nie byłem pewny, czy Pan tam czegoś nie posłał, zacząłem mówić o Panu. Obiecał uważnie przeczytać, jeśli jest taki tekst w redakcji. Ale zdaje mi się teraz, że nie ma, niech więc Pan pošle, opowiadanie albo i dwa, ale nie powieść, bo co z nią tam zrobić? Przynajmniej na pewno odpowie, bo sam miał do mnie prośbę... Gdyby Pan miał jakąś odpowiedź z wydawnictw, niech Pan mi zaraz da znać, bo właśnie sam też coś próbuję.

Łączę najlepsze wyrazy –

Jan Błoński

11.

Kraków 24.5 [1988]

Szanowny i Drogi Panie

Dziękuję za list i wypisy. To wszystko tzn. te recenzje użytkowe gadani-ny bez wielkiego znaczenia, sam takie pisywałem, nie mam więc złudzeń. W Polsce wszystko musi być biurokratycznie „udokumentowane”, stąd te tasiemcowe recenzje, wypychane watą intelektualnych skojarzeń, często nawet poniżej poziomu recenzenta. Niech się Pan tym nie przejmuje, bardziej mnie martwi brak decyzji. Przynajmniej Zieliński się odezwał, zawsze to coś. Rękopis może by Pan posłał do Wyd. Morskiego, w końcu pochwaliłem im tak mocno Huellego, że chyba mógłby się Pan na mnie powołać? Albo niech Pan – mimo wszystko – spróbuje w „Znaku”, chociaż w zasadzie Woźniakowski wybitnie nie lubi takiej prozy. Jest jednak tak kapryśny, że kto wie? Rozumiem doskonale, że Pana to wszystko męczy i zniechęca. Poznaje tak Pan – na własnej skórze – podszewkę naszego życia literackiego... Co do Ionesco<sup>1</sup>, to wcale się nie zdziwiłem, on

<sup>1</sup> Eugène Ionesco (1909–1994), pisarz, autor m.in. Łysej śpiewaczki, Krzesel, Nosorożca, Samotnika; Jan Błoński przetłumaczył jego utwory, patrz m.in. Eugène Ionesco, Teatr, Warszawa 1967.

Łamane i napisane 88

Drogi Panie Krzysztofie,

Przepraszam, że nie uspokoiłem Pana wcześniej co do Pana opowiadania, które dotarły do mnie w właściwym czasie, ale - przynajmniej - zapominałem o nich złożony w stercie korespondencji do załatwienia. Może nie powinienem się do tego przyznawać, ale mam nadzieję, że mi Pan wybaczy. Oba teksty spodobały mi się nadspodziewanie, zwłaszcza Pobożne życzenia, gdzie potrafił Pan przez cały czas utrzymać czytelnika w niepewności - i ciekawości - co się stanie i gdzie zakończenie odśpiewania właściwy sens owego „stukania”, od którego się wszystko zaczyna. Także rytm, charakter całości jest bardzo dobrze utrzymany. Błogosławieństwo jest w porównaniu drobiazgiem, ale znać i tutaj coraz większą biegłość ręki. Co do Życzeń, zastanawia mnie tylko obsesyjność Pana wyobrażeń, przecież opisuje Pan po raz trzeci to samo właściwie! Rozumiem, że tak wolno i Beckett tak robił, ale jednak! Nawet ulice w Toruniu te same. Może się jednak Pan w końcu przeniesie, choćby na Garbary, nie mówiąc o Bydgoskim Przedmieściu.

Opowiadania chyba mogę zatrzymać? - może i ja spróbuję je tu i ówdzie pokazać - przypuszczam, że nie ma Pan nic przeciwko, tym bardziej, że nie robię sobie natychmiastowych nadziei.

Dziękuję Panu za bardzo miłą wizytę i łączę serdeczny uścisk dłoni -

Opowiadania chyba mogę zatrzymać? - może i ja spróbuję je tu i ówdzie pokazać - przypuszczam, że nie ma Pan nic przeciwko, tym bardziej, że nie robię sobie natychmiastowych nadziei.

Dziękuję Panu za bardzo miłą wizytę i łączę serdeczny uścisk dłoni -

J. Błński

już dawniej drukował takie rzeczy, ale po mało znanych pismach, i nie bardzo się to miało do jego sztuk i zwłaszcza, do ich zwykłego odbioru. Poznałem go kiedyś, bardzo, bardzo dawno, robiłem z nim wywiad dla „Dialogu”. I już się takie tony odzywały. On zawsze był „wschodnioeuropejski”, doskonale rozumiał polskie sprawy, i pod spodem żarzyły się rozmaite metafizyczności, ale cóż, to się w Paryżu nie sprzedawało, a poza tym, trzeba uczciwie przyznać, jak zaczynał pakować to do swoich sztuk (a trochę do późnych próbował) to wychodziły mu banały.

Bardzo serdecznie pozdrawiam, niech się Pan trzyma!

Jan Błński

12.

Żarnowiec 1 sierpnia 88

Drogi Panie Krzysztofie

Przepraszam, że nie uspokoiłem Pana wcześniej, co do Pana opowiadań, które dotarły do mnie we właściwym czasie, ale - przynajmniej - zapominałem o nich złożony w stercie korespondencji do załatwienia. Może nie powinienem się do tego przyznawać, ale mam nadzieję, że mi Pan wybaczy. Oba teksty spodobały mi się nadspodziewanie, zwłaszcza Pobożne życzenia, gdzie potrafił Pan przez cały czas utrzymać czytelnika w niepewności - i ciekawości - co się stanie i gdzie zakończenie odśpiewania właściwy sens owego „stukania”, od którego się wszystko zaczyna. Także rytm, charakter całości jest bardzo dobrze utrzymany. Błogosławieństwo jest w porównaniu drobiazgiem, ale znać i tutaj coraz większą biegłość ręki. Co do Życzeń, zastanawia mnie tylko obsesyjność Pana wyobrażeń, przecież opisuje Pan po raz trzeci to samo właściwie! Rozumiem, że tak wolno i Beckett tak robił, ale jednak! Nawet ulice w Toruniu te same. Może się jednak Pan w końcu przeniesie, choćby na Garbary, nie mówiąc o Bydgoskim Przedmieściu.

Opowiadania chyba mogę zatrzymać? - może i ja spróbuję je tu i ówdzie pokazać - przypuszczam, że nie ma Pan nic przeciwko, tym bardziej, że nie robię sobie natychmiastowych nadziei.

Dziękuję Panu za bardzo miłą wizytę i łączę serdeczny uścisk dłoni -

Jan Błński

13.

14.8.88

Szanowny i Drogi Panie,

Wróciwszy do domu, zastałem Pana listy. Nie miałem wielkich złudzeń co do „Znaku”, jest prawdą, że nie bardzo zajmują się literaturą (tj. „fikcjami”), co zrozumiałe, aby mieć jakieś miejsce wśród wydawców literatury, nie można wydawać 1–2 książek rocznie. Ale jednak jakiś tam efekt się zaznaczył, ktoś o Panu wie. Nowele oczywiście dostałem, pisałem już Panu o nich, może bardziej się Panu poszczęści, pokazałem je paru osobom i czekam, trochę to musi potrwać. Niech Pan koniecznie będzie obecny w prasie, od czasu do czasu! Za troskę o moje książki dla mnie – bardzo dziękuję. Ściskam serdecznie dłoń –

Jan Błoński

PS. Wzruszyłem się bardzo Pana pamięcią o naszej rozmowie i ucieszyłem się, że pamięć o moim Ojcu<sup>1</sup> uchowała się jeszcze w „toruńskich” kręgach. Proszę bardzo serdecznie pozdrawić wszystkich, którzy o nim pamiętają i podziękować za miłe słowa.

14.

[telegram, 8.9.1988]

BRAWO<sup>1</sup>  
Błoński

15.

20 listopada 88

Szanowny Panie,

Dziękuję za listy i przepraszam, że nie uprzedziłem Pana o moim wyjeździe. Istotnie, ten rok akademicki spędzę najpewniej w całości we Francji. Oba Pana

<sup>1</sup> Józef Błoński (1891–1972), absolwent polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, major Wojska Polskiego, przed wojną pracował w Ministerstwie Spraw Wojskowych i Ministerstwie Oświaty, a od 1.9.1938 w Kuratorium Oświaty w Toruniu, gdzie wrócił w 1945 roku po latach okupacji spędzonej z rodziną w Warszawie i pracował do roku 1951; współzałożyciel YMCA w Polsce, autor Pamiętnika wydanego przez Wydawnictwo Literackie (1981).

<sup>1</sup> Po ukazaniu się w „Tygodniku Powszechnym” 1988 nr 35 opowiadania pt. Błogosławieństwo – debiutu prozatorskiego Krzysztofa Myszkowskiego.

listy bardzo mnie ucieszyły i myślę, że spełniłem swe zadanie, podtrzymując Pana trochę na duchu: lepiej albo gorzej, wcześniej albo później Pana sprawy wydawnicze potoczą się na pewno oczekiwanym trybem. Co nie znaczy, że zgłaszam désintéressement (nie wiem, czy powinien tu być akcent czy nie, ale nie chce mi się sprawdzać i już!) przeciwnie, zawsze pozostaję do Pana dyspozycji. Ale „najgorsze” już pewnie przeszło. Myślę, że Pan odwiedził WMorskie, oczywiście, że te gesty trzeba robić, nawet jeśli nie ma się na nie zbytnej ochoty: w końcu tej Pani też jest przyjemnie, że coś wynalazła, na coś zwróciła uwagę itp. Niemniej w cierpliwość musi się Pan i tak zbroić: a tymczasem zaznaczać swoje istnienie fragmentami, artykułami, itd. gdzie i jak się da. To jest proza Pana zawodu, albo, jeżeli Pan woli, zawodowa strona powołania.

Cieszę się, że odczytał Pan mój artykuł<sup>1</sup> tak dokładnie wedle intencji moich. Prawda to, że istnieje u nas niejaka skłonność – od dawna – do nie-mówienia pełnym głosem o duchowych wyborach, zwłaszcza religijnych; i tak, szczerze mówiąc, Miłosz<sup>2</sup> także nie jest zupełnie bez winy. Trochę tak, jakby ludzie bali się „wychylić”, jakby nie brali siebie całkiem serio. To odnosi się zresztą nie tylko do spraw religijnych, a wynika z lęku po prostu, z zapatrzenia w Zachód etc., to jest inny aspekt „nieautentyczności” kulturalnej, o której tyle i tyle razy mówiono. Wbrew temu co Pan pisze i ja miałbym sobie wiele do wyrzucenia. Poza tym lata mowy ezopowej robią swoje, całkiem wprost, to ja już chyba się nie nauczę mówić. Ale może istotnie tak jest, że nieraz do tych spraw dość jasno wracałem, a jeśli nawet Pan to – z osobistych względów – szczególnie łatwo odczytał, to już to może być dla mnie pewną pociechą. Co do książki Fiuta<sup>3</sup>, to w istocie jest ona może trochę mniej dobra, niż by wynikało z mojej recenzji<sup>4</sup>; ale w każdym razie jest gruntowna i porządna, jest jakimś punktem wyjścia. Autor, którego bardzo lubię i którego – mogę to powiedzieć, bo on to sam często przypomina – niejako „zapoznałem” z Miłoszem, dając mu książki, których po prostu we wczesnych latach 70-tych nie znał... autor więc należy do ludzi, do badaczy, którzy bardzo boją się zająć własne stanowisko, odwołują się, jak mogą itd., co obniża nieco siłę i oddziaływanie książki. Ale cóż Pan chce, w każdym – naprawdę – kraju po

<sup>1</sup> Jan Błoński, To co święte, to co literackie w: Kilka myśli co nie nowe, Kraków 1985.

<sup>2</sup> Czesław Miłosz (1911–2004), poeta, pisarz, autor m.in. osiemnastu tomików wierszy, Ziemi Ulro, Ogrodu nauk, Metafizycznej pauzy, Szukania ojczyzny, Życia na wyspach; laureat Nagrody Nobla (1980).

<sup>3</sup> Aleksander Fiut (ur. 1945), historyk literatury, krytyk i eseista, autor m.in. Momentu wiecznego. O poezji Czesława Miłosza.

<sup>4</sup> Jan Błoński, Miłosz wreszcie przeczytany, „Tygodnik Powszechny” 1988 nr 36.



przyznaniu nagrody, jeżeli nie wcześniej, powstałoby chyba z pięć książek o laureacie. Tu nic, i to nie jest tylko wina władzy. To jest i niemrawość, i zawiść, i lekceważenie... coś dziwnego i szalenie polskiego. Więc dlatego chciałem mocno zasługi F. podkreślić, nawet jeżeli wolałbym, aby napisał książkę ostrzejszą w wymowie. A to, co Pan mówi, że woli Pan autorów niż komentatorów... cóż to dziwnego, to przecie normalne. Tylko że bez komentatorów, w jakimś sensie, autorów (prawie) nie ma. Krytyk to trochę portier, który otwiera drzwi, i zaraz się o nim zapomina, ale ktoś przecie musi te drzwi otworzyć... a jak nie otworzy na czas, to nieraz – biada autorowi, bo każdy ma swój moment, nawet najwięksi, i Miłosz, i Gombrowicz<sup>5</sup> inaczej by oddziałali, gdyby byli we właściwym czasie, nie powiem, popularni, ale przynajmniej przeczytani przez elitę.

Bardzo wzruszyłem się pamięcią Pana Rodziców o moim Ojcu<sup>6</sup>. Już coraz mniej jest ludzi, którzy go mogą pamiętać, ja byłem i jestem szczególnie do niego przywiązany. P. Bernackiego też pamiętam, zmarł on zresztą przed moim Ojcem, stosunkowo młodo. Był to bardzo porządny człowiek, jak zresztą tylu ludzi z dawnej polskiej inteligencji, na której tyle psów nawieszano... aż przyszła nowa elita i co potrafi, każdy widzi. Ale trzeba dojść do pewnego wieku, aby zrozumieć ile pokoleń musi się namęczyć, aby

<sup>5</sup> Witold Gombrowicz (1904–1969), pisarz, autor m.in. *Ferdydurke*, *Trans-Atlantyku*, *Ślubu*, *Kosmosu*, *Dziennika*.

<sup>6</sup> Krótko pracowali razem w Kuratorium Okręgu Szkolnego Bydgoskiego w Toruniu.

wychować ludzi, którzy – powiedzmy – nie kradną, przyjmują odpowiedzialność za własne decyzje itd. Całe kontynenty – Afryka, a teraz zdaje się Chiny – przewracają się, bo nie ma tam ludzi zaopatrzonych w takie proste cnoty. I ja, przynaję, nie domyślałem się, jak je trudno w społeczeństwie albo w jego części, co może wystarczyć – wytworzyć.

Posyłam Panu swój uniwersytecki adres, wystarczy to co podkreślone, gdyby miał Pan ochotę napisać. Prywatnego nie warto, bo chyba zmienimy mieszkanie. Łączę bardzo serdeczne wyrazy i Najlepsze Życzenia na Boże Narodzenie i Nowy Rok!

Jan Błoński

16.

Clermont, 31.12. [1988]

Drogi Panie Krzysztofie

Dziękuję za list i miłe słowa, którymi mnie Pan zawsze obdarza w nadmiarze. Recenzja Orskiego<sup>1</sup> jest rzeczywiście bardzo życzliwa i co więcej, trafna, bo kładzie nacisk na takie aspekty Pana pisania, o których nie umiałem wyraźnie powiedzieć. Aż przykro, że musiał Pan odmówić. Mam nadzieję, że zyskał Pan od Wyd. Morskiego umowę albo zobowiązanie pisemne do zawarcia umowy; może w Gdańsku przyzwoiciej się wydawcy zachowują, niż w Krakowie i W-wie, ale słowem, bardzo proszę, niech Pan całkiem nie ufa. Poza tym widzę istotnie, że nabiera Pan rozpędu! Pojmuję, że Pan te starania ciężko przeżywał: w końcu domyślam się – cała ambicja życia (dotychczasowego) znalazła się na szali... i to raczej byle jakiej, bo czas rzeczywiście niezbyt sprzyjający. Ale widzi Pan, że rzecz oryginalna zawsze się jakoś przebijie. Pisze Pan o „wahaniach, mrokach, wątpliwościach”. Zapewne, ale też taki jest zawsze los pisarza, artysty czy w ogóle człowieka wrażliwego, czarny kolor przeważa, niezależnie od zewnętrznych okoliczności. Ale oczywiście życzę Panu, aby choć chwilami ustępował! Dziś koniec roku, więc Najlepsze słowa dla Pana i Pana Rodziny na 1989, który – coraz silniej mi się to stąd wydaje – będzie dla nas ciekawym rokiem!

Jan Błoński

<sup>1</sup> Mieczysław Orski (ur. 1943), krytyk, autor m.in. *Autokreacji i mitologii*, od 1972 roku redaktor, a od 1992 redaktor naczelny „*Odry*”.

Ukraina 31.12.

Drogi Łuciu Kuryntsiu,

Dziękuję ci, list i wiele słów,  
którymi umiełam razem obdarować  
naszemu. Kierując do Ciebie, jest niezwyk-  
nie bardzo i głęboko i co więcej, bracie,  
bo właśnie u Ciebie jest takie ciepłe słowo  
przebieg, o którym nie miałem wyobrażeń  
później. To przykro, że nie miałam Cię od-  
mówić. Mam nadzieję, że przyjdzie Ci od  
kogoś. Wskazuję Ci numer albo zobaczysz  
przebieg do naszego umyślnego; może w  
jakimś przydomku jest wyjątkowy, raczej  
moje, niż w Kuchnie i w-mie, ale słowo,  
bardzo proste, wiec Ci każdemu nie  
ufa, i że tym, który istnieje, i u Ciebie  
Cię napisać! Po prostu, że Ci te słowa

ciężko przemyślał: w końcu - Józefowi  
ty - cała ambicja życia (dotychczasowego)  
znalazła się na nabi... i to raczej by-  
lejał się, bo was niezwykłe uciekły  
sprawdźcie. Nie widzi Ci, że nie są  
finalna, razem nie jesteś przeliza. Line  
Łuciu o 'wahać się, uciekać, wstydzić się.'  
Zapewne, ale tej tak jest razem 103  
przebieg, a nie tylko u Ciebie uciekać ucie-  
kając; naszymi słowami, uciekając  
od rzeczywistości. Nie omylił  
tytuł Łuciu, aby dostać Ci ten list  
później! To Ci koniec, więc następuje  
słowo. Nie Łuciu i Łuciu Kuryntsiu nie  
1989, który - co Ci więcej, niż to słowo  
wydaje - będzie Ci was uciekając  
w końcu!

J. B. Kuryntsiu



1989

Drogi Panie Krzysztofie,  
 Bardzo jestem zmartwiony, kiedy myślę o Panu, bo nie tylko nie umiem Panu w niczym pomóc, jeżeli chodzi o książkę, ale na dodatek nie odnalazłem tekstu Pana recenzji z wierszy Krynickiego. Nie pamiętam, co z nim zrobiłem, może nawet zniszczyłem, bo nie przyszło mi w ogóle do głowy, że mógł Pan mi (czy komukolwiek) posłać jedyny egzemplarz. Na jaki trud teraz Pana naraziłem! Co do książki, to myślę, że nie pozostaje nic innego, jak spróbować za granicą, może w Paryżu, może w Pulu i Charkowkiego? ... a może posłać też fragment do „Zemsty” Krynickiego, choć to niewiele da? Rzekłbym „futs” o tyle, że nie wiem czy Pan nie może pozwolić, i ja muszę też chętnie pomóc Panu zalecić: może mi dotrzeć jakiś recenzja, żeby się Pan wyżył. Nie jestem zadowolony z takich sytuacji, bo książka to słabo odpasła do naszego myślenia - mimo wszystko - a

ale może nie, tylko nie mogę nic powiedzieć, mimo wszystko z książką do końca!

17.

Clermont 10 czerwca 89

Drogi Panie Krzysztofie,

Przepraszam, że nie odpisałem od razu, pod koniec pobytu człowiek zdaje sobie sprawę, czego nie zrobił, i gubi się w mnóstwie sprzecznych działań... Dziękuję za list i pamięć o mnie, a także za informacje o Pana losach. Myślę, że w sumie można ten rok uznać za szczęśliwy dla Pana twórczości, a także dla nas wszystkich... Widzę, że rozwinął Pan ożywioną działalność krytyczną<sup>1</sup>, co na pewno dobrze zrobi dla powieści także, po prostu jest Pan obecny i stopniowo wyłoni się Pana „obraz” literacki... Nie mówię już, że – znając Pana sumienność – i wymagania – można być pewnym wartości tych recenzji czy artykułów. Ciekaw jestem zwłaszcza, co Pan napisał o Krynickim<sup>2</sup> i Andrzejewskim.

Mam nadzieję, że pokonał Pan trudności wydania powieści? Strasznie powoli to załatwiane, znać ogólnopolski paraliż także i w tych sprawach... Ale właśnie tutaj pomaga trochę Pana „ogólna” aktywność. – Czy mógłby Pan porozumieć się ze mną koło 1 lipca, np. zadzwonić do Krakowa (66-16-79)? Stąd wyjedziemy za dni parę, i koło 1 lipca będę już dobrze znał swoje przyszłe plany: pojedziemy pewnie nad morze w sierpniu, kto wie, czy nie udałoby się spotkać gdzieś po drodze? W każdym razie proszę o znak, już do Polski. Ale jeszcze raz dziękuję za pamięć i listy do Clermontowa!

Proszę przyjąć najlepsze wyrazy – do zobaczenia!

Jan Błoński

18.

[1989]

Drogi Panie Krzysztofie,

Bardzo jestem zmartwiony, kiedy myślę o Panu, bo nie tylko nie umiem Panu w niczym pomóc, jeżeli chodzi o książkę, ale na dodatek nie odnalazłem tekstu Pana recenzji z wierszy Krynickiego. Nie pamiętam, co z nim zrobiłem, może nawet zniszczyłem\*, bo nie przyszło mi w ogóle do głowy, że mógł Pan mi (czy komukolwiek) posłać jedyny egzemplarz. Na jaki trud teraz Pana naraziłem! Co do książki, to myślę, że nie pozostaje nic innego, jak spróbować za granicą, może

<sup>1</sup> Dotyczy szkiców krytycznych i recenzji publikowanych w „Odrze” i „Tygodniku Obywatelskim Solidarności” oraz rozmów z Antonim Liberą o twórczości Samuela Becketta opublikowanych w „Tygodniku Powszechnym” i „Dialogu”.

<sup>2</sup> Ryszard Krynicki (ur. 1943), poeta, tłumacz, wydawca, współwłaściciel Wydawnictwa a5, autor m.in. Magnetycznego punktu.

jakie były te wydawnictwa kr- pulsuwaj's  
 krajowy, to się przecież brać, kiedy w Polsce  
 wchodzi? Ale co robić? Miałem (cichą) nadzieję, że władze SPP obudzą się wreszcie  
 do praktycznego działania i albo wydrą od rządu trochę grosza, albo znajdą gdzie  
 indziej fundusze na najważniejszy cel, jakim jest ułatwienie debiutów i wydawanie  
 rzeczy rzadkich i trudnych. Ale to jakoś nikomu nie przychodzi do głowy, jeżeli się  
 myśli o takich sprawach, to od strony korporacyjnej – broni interesów życiowych  
 literackiego tłumu. Jest to niestety samobójcza droga i na pewno w końcu ludzie  
 się pobudzą, ale cóż Panu po tym.  
 Widziałem, że napisało o Panu to bydgoskie pismo „S”<sup>2</sup> (nienajlepsze...),  
 które mi chyba Pan przysłał – bardzo dobrze, nie ma rady, trzeba się trochę  
 pchać. Gdybym znalazł jeszcze ten tekst, zaraz go Panu pošlę.  
 A tymczasem przepraszam i ściskam serdecznie dłoń –

Jan Błoiński

w „Pulsie” u Chodakowskiego?..., a może posłać jej fragment do „Zeszytów Lite-  
 rackich”, choć to niewiele da? Radziłbym „Puls” o tyle, że może się Pan na mnie  
 powołać, i ja mogę też Chodakowskiemu Pana zalecić, proszę mu dołączyć moją  
 recenzję, gdyby się Pan zdecydował. Nie jestem zwolennikiem takich rozwiązań,  
 bo książki te słabo trafiają do krajowego czytelnika – mimo wszystko – a poza tym  
 te wydawnictwa też przeżywają kryzys, bo skąd pieniądze brać, kiedy w Polsce  
 wolność? Ale co robić? Miałem (cichą) nadzieję, że władze SPP obudzą się wreszcie  
 do praktycznego działania i albo wydrą od rządu trochę grosza, albo znajdą gdzie  
 indziej fundusze na najważniejszy cel, jakim jest ułatwienie debiutów i wydawanie  
 rzeczy rzadkich i trudnych. Ale to jakoś nikomu nie przychodzi do głowy, jeżeli się  
 myśli o takich sprawach, to od strony korporacyjnej – broni interesów życiowych  
 literackiego tłumu. Jest to niestety samobójcza droga i na pewno w końcu ludzie  
 się pobudzą, ale cóż Panu po tym.

Widziałem, że napisało o Panu to bydgoskie pismo „S”<sup>2</sup> (nienajlepsze...),  
 które mi chyba Pan przysłał – bardzo dobrze, nie ma rady, trzeba się trochę  
 pchać. Gdybym znalazł jeszcze ten tekst, zaraz go Panu pošlę.

A tymczasem przepraszam i ściskam serdecznie dłoń –

Jan Błoiński

Przepraszam, że tak późno odpisuję. Zaraz po Miłoszu i ja wyjechałem jego śladem – opowiem przy okazji – i spędziłem prawie trzy tygodnie za granicą.

\*ale raczej nie, tylko nie mogę nic znaleźć w moich górach papierów nieraz wożonych z kraju do kraju!

19.

Kraków, 22 listopada 89

Drogi Panie Krzysztofie,

Dowiedziałem się od prezesa Szczepańskiego<sup>1</sup>, że w Warszawie dzia-  
 ła już wydawnictwo, które ma mocne podstawy finansowe (w innych  
 przedsiębiorstwach właściciela), zarazem zaś wysokie literackie ambicje.  
 Podobno zgromadziło już koło 20 umów – szefem polskiego działu jest

<sup>1</sup> Jan Chodakowski (ur. 1952), wydawca i redaktor „Pulsu” (od 1981 roku w Londynie).

<sup>2</sup> „Tygodnik Obywatelski Solidarność. Pomorze Kujawy” był wydawany w Bydgoszczy w latach 1989–1990.

<sup>1</sup> Jan Józef Szczepański (1919–2003), pisarz, ostatni prezes Związku Literatów Polskich i pierwszy prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, autor m.in. Polskiej jesieni.

przepraszam, że tak późno odpisuję. Zaraz po  
 Miłoszu i ja wyjechałem jego śladem – opowiem  
 przy okazji – i spędziłem prawie trzy  
 tygodnie za granicą.



Tomasz Burek<sup>2</sup>. A oto jego adres: Oficyna Wydawnicza Interim, 00–403 Warszawa, ul. Ludna 5a/6, na ręce red. T. Burka. Aha, mają nawet telefon: 29 81 02. Pozwoliłem sobie napisać do Burka, zapowiadając Pana przesyłkę, bo myślę, że nic Pan nie ryzykuje, posyłając tam swój maszynopis... Kto wie, może coś zaskoczy... Niech Pan koniecznie załączy moją recenzję, zapowiedziałem ją w liście.

Jeszcze raz przepraszam za Krynickiego, chwała Bogu, że zachował Pan jakieś notatki czy brulion. Dziękuję też za pamięć i miłe słowa. Pewnie, że „nie musi być łatwo”, jak to przypominał Andrzejewski, może nawet lepiej, aby było trudno, bo to może być miara nowości, odrębności... ale do nas należy, aby do tej „łatwości” doprowadzić. Cieszę się w każdym razie, że Pana nic nie zniechęca. Ale też Pana podziwiam, bo praca nauczycielska bardzo jest męcząca i wyczerpująca umysłowo i psychicznie... w każdym razie mnie (trochę) wyczerpuje, chociaż o tyle mam jej mniej i nie ma żadnego aspektu pedagogicznego.

Proszę przyjąć bardzo serdeczne wyrazy –

Jan Błoński

20.

Kraków 23 grudnia 89

Szanowny i Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za Pana listy i wiadomości, zawsze tak samo życzliwe, cierpliwe i żarliwe... i proszę ode mnie – od nas – przyjąć przynajmniej bardzo serdeczne, z całego serca płynące Życzenia na Boże Narodzenie i Nowy Rok. A czego życzenia, to wie Pan sam najlepiej, przynajmniej w tych sprawach, o których piszemy. Co prawda, nie mam żadnych wątpliwości co do ostatecznego wyniku wszystkich naszych starań, ale pojmuję dobrze, jak to Pana męczy i niecierpliwi. Przeraziłem się trochę, czytając, że znowu dał Pan „ostatni” egzemplarz p. Liberze<sup>1</sup>... mam nadzieję, że to ostatni do dyspozycji, a nie w ogóle ostatni. Gubienie rękopisów jest ulubionym zajęciem wydawców i krytyków, o czym mogłem się i ja przekonać, i Pan po moim wyczynie z Pana rzeczą o Krynickim. Z „purgatorium” rzeczywiście dziwna zbieżność – ale może mówi ona więcej

<sup>2</sup> Tomasz Burek (ur. 1938), krytyk literacki, eseista, historyk literatury, autor m.in. *Zamiast powieści*.

<sup>1</sup> Antoni Libera (ur. 1949), pisarz, tłumacz, reżyser teatralny, autor m.in. powieści pt. *Madame*.

o sposobie myślenia i odczuwania krytyków, aniżeli poety... Zresztą tytuł *Czyściec ciszy*<sup>2</sup> jest o wiele lepszy... Oczywiście, że mogą odpowiedzieć na parę pytań dla Waszego „Tygodnika”: teraz tutaj wychodzi też „Małopolska”, trochę podobna, ale jeszcze nie widać jasno, co z tego wyniknie. Pomału, jak słyszę, zaczyna się przemieszczać i przemieniać nasze życie literackie: Majowi<sup>3</sup> udało się z pomocą małopolsko-śląskiego wydawnictwa exsolidarnościowego zmontować miesięcznik o nazwie „NaGłos”, tak jak jego imprezy w stanie wojennym. Pierwszy numer się już drukuje; jeśli Pan zechce, chętnie opowiem Szanownej Redakcji o Pana imieniu, zresztą ona (redakcja) złąkniona jest ludzi młodych z całej Polski. Co będzie dalej, nikt nie wie, ale na parę numerów pieniądze podobno zapewnione. Poza tym Min. Kultury zaryzykowało dużo (?) pieniędzy na nowy tygodnik literacki – żeby zaspokoić żądania SPP i ex-podziemia, nie odbierając pism starej gwardii... Imprezie tej przypatruję się z pewnym sceptycyzmem, ale pewnie zaskoczy. Na pewno też ma szansę polska wersja „Lettre Internationale”, międzynarodowego pisma (kwartalnika), wydawanego przez Antonina Liehma w Paryżu... nie wiem, czy Pan to widział, jest to na pewno najbardziej „poziomowe” i jednocześnie sympatyczne politycznie pismo literackie w Europie, wychodzi po włosku, francusku, niemiecku i bodajże hiszpańsku jednocześnie. Szansa jest, bo Liehm nie miał złudzeń i wystarał się podobno o odpowiednie subwencje w fundacjach amerykańskich... Oczywiście tam nie będziemy pisywać, bo tylko 20% jest we wszystkich wersjach „lokalne”, reszta pochodzi z międzynarodowych dostaw. W każdym razie jest to o wiele żywsze i aktualniejsze niż „Literatura na Świecie”, zresztą całkiem pożyteczna.

Ogromnie lubię Musiała<sup>4</sup>, ale jego wynurzenia w „Tygodniku Obywatelskim” nie bardzo mi się podobały. Jakoś tak bez dystansu o sobie... Jest to zresztą – między nami – główna skaza jego pisarstwa. Przepraszam, że się tak wyrażam o Pana przyjaciółkach, ale mówiłem mu to – a raczej pisałem – nieraz, więc trochę się zmartwiłem, że znowu. Co prawda, temat i sposobność jest błaha. Nie ma nic jednak niebezpieczniejszego dla pisarza niż samozachwył!

I tyle plotek. Pytał Pan o mnie. Niewiele robię mądrego, prędko się męczę (w głowie) i dużo mam roboty opiniodawczo-administracyjnej, której się oddaję z podejrzaną gorliwością. Bawiła mnie ostatnio *Ferdydurke*, niby tak

<sup>2</sup> *Czyściec ciszy*, „Odra” 1990 nr 4, tytuł recenzji wyboru poezji Ryszarda Krynickiego pt. *Niepodlegli nicości*.

<sup>3</sup> Bronisław Maj (ur. 1953), autor siedmiu tomików wierszy i felietonista, redaktor naczelny „NaGłosu” (1983–1996).

<sup>4</sup> Grzegorz Musiał (ur. 1952), pisarz, lekarz, redaktor, autor m.in. *Stanu płynnego*.

znana, ale jednak niepoznana – i coś o niej przygotowuję, ale bardziej polonistyczne to niż literackie! – Panu by się więc nie podobało!

Proszę przyjąć Najlepsze Życzenia i Wyrazy dla całej Rodziny, a już zwłaszcza dla Matki Pana – ściskam serdecznie dłonie!

Jan Błoński

21.

Kraków 11 stycznia 90

Szanowny i Drogi Panie,

Dostałem przed chwilą, list od p. Burka, który pisze tak: „Podziela Pańską (=moją) opinię i będę się starał przekonać znajomego wydawcę do druku proponowanej książki”. Dalej są zwykłe jeremiady finansowo-fiskalne. Gorzej, że informacja Szczepańskiego nie była całkiem ścisła i Burek nie jest w tym wydawnictwie tak ważny i wpływowy jak myślałem: jest redaktorem dwu serii krytycznych, czy raczej publicystyczno-krytycznych i nie decyduje czy współ-decyduje, niemniej „z czasem może uda się przepchać coś bezinteresownego, choćby dujardinowsko-beckettowskiego... Grunt w tym kierunku zacząłem urabiać”. W każdym razie znalazł Pan życzliwego czytelnika, i to niezgorszego.

Był w Krakowie Chodakowski – „właściciel” „Pulsu” i „Polonii” – i przyszedł też do mnie z wizytą, razem z p. Pilchem<sup>1</sup>, który znowu zna Pana z „Tygodnika”. Opowiedziałem mu o Panu – tzn. Chodakowskiemu – i wydawał mi się zainteresowany. Trudno to wyczuć, ale może zabawiłoby go pokazanie, że coś wynalazł, czego w kraju nie doceniono. Prosiłem Burka, aby się dość szybko zdecydowali, nawet negatywnie; w jakimś sensie grunt u Chodakowskiego byłby przygotowany, on zaś sam jest bardzo zabawny, łączy doskonale swoją kolonialną – tak! – angielskość (wychował się na Malajach) z polskością, do której coraz silniej go ciągnie. Bardzo mi się podoba!

Przepraszam, że na tym kończę, znowu przywały mi listy i obowiązki. Ale jak Pan widzi, myślę czasem o Panu, chociaż pewnie nazbyt praktycznie! Ściskam serdecznie –

Jan Błoński

<sup>1</sup> Jerzy Pilch (ur. 1952), pisarz, felietonista, scenarzysta filmowy, autor m.in. Innych rozkoszy i Spisu cudzożonczic.

22.

Kraków 1 lutego 1990

Drogi Panie Krzysztofie,

Przed chwilą doszła mnie wiadomość, która – w jakimś sensie – jest tą „kroplą, co przelewa czarę” itd. To wydawnictwo Interim, w którym – idąc za J.J. Szczepańskim – pokładałem pewną nadzieję, nie tylko dla Pana (bo niedawno i mnie coś proponowało), już zawiesiło działalność, po dwu czy trzech książkach; nie zbankrutowało, bo ma podstawy pozawydawnicze, ale zawiesiło... podstawy (inne firmy) widocznie za słabe. Poza tym nic nie działa, praktycznie nie ma książek, bo „Dom Książki” nie ma czym zapłacić wydawnictwom, wydawnictwa drukarniom etc. Okazało się, że plan Balcerowicza działa, ale nie na tych, na których był wycelowany. Wiem, że w sprawie pomocy dla książek – tzn. praktycznie obniżenia stopy podatku obrotowego – mają się niedługo zobaczyć z Mazowieckim przedstawicielem związku etc., nota bene po wielu tygodniach starań, bo biedaka skutecznie chronią sekretarze... – ale efektów prędko spodziewać się nie można.

Wszystko to tak mnie zezłościło – mam poniekąd też wyrzuty sumienia wobec Pana, jako że słuchał Pan moich rad – że muszę coś szczególniejszego zrobić dla tej książki. Dlatego chciałbym koniecznie dostać od Pana choćby jedną kopię. Boję się, że Pan już sam ma jedną tylko; w tej sytuacji proszę zrobić jedną lub lepiej dwie kopie na mój koszt. Proszę się nie obawiać, ten wydatek zostanie mi zrefundowany. Jeśli ma Pan dwa egzemplarze, proszę mi jeden przysłać poleconym listem, a ja zrobię kopię na uniwersytecie za darmo albo tak jakby. Proszę się nie obawiać, nie będę zajmować się żadnymi wydawniczymi sprawami, postaram się natomiast, albo ściślej, spróbuję się postarać, aby ta książka została, jakoś spostrzeżona czy wyróżniona przed publikacją. Znam parę takich nagród itp. i ponieważ nigdy się o nic takiego nie starałem, mogę spróbować bez podejrzenia o natręctwo.

Całkiem niezależnie od powyższej sprawy, namawiam Pana jak najgoręcej do posłania książki Chodakowskiemu\*. I Pilch i ja wspominaliśmy mu dłużej o Panu. Ja sam jeszcze teraz napiszę do niego krótki list i jeśli Pan pozwoli, poproszę Burka, aby posłał mu swoją opinię (ale lepiej od siebie, niż żeby Pan mu cytował list, bo Chodakowski jest jednak „człowiek Zachodu”, gdzie ludzie są przyzwyczajeni bardziej do tego, że co innego mówi się z grzeczności autorowi, a co innego myśli: takie polecenie powinno wyjść od Burka samego). Ja też napiszę – czy przepiszę – swoje myśli na Pana temat z dawnego listu-recenzji, dołączając je do listu do Chodakowskiego. Ale w Pana

przesyłce ewentualnej do Anglii może Pan i powinien nawet powołać się na mnie wprost, tzn. że ja Panu poradziłem zwrócić się do niego.

Inna sprawa jeszcze, żeby postawić kropki nad i... nie przynosiłem, jakoś Panu szczęścia, mimo najlepszych intencji. Pamiętaj Pan, że posłał mi Pan opowiadania dla „Tygodnika Powszechnego”, które tam zaniósłem i które tam zostały przyjęte\*\*, ba, złożone! – oni mają czy mieli taki zwyczaj, że kwalifikowali, składali, a potem upychali w miarę wolnego miejsca (wolnego dla literatury...). Potem wyjechałem na rok prawie i byłem przekonany, że to dawno wydrukowano. Niedawno dopiero wyszło, że nie, że wszyscy zapomnieli, a samego tekstu złożonego nie umieją odnaleźć, bo zmienili skład czy nawet zecernię i wiadomo co dalej. Więc wyobrażam sobie, co Pan sobie o mnie myśli! Nie dość, że niczego nie potrafiłem załatwić, to jeszcze zgubiłem – ja sam z kolei – Pana recenzję dla „Odry”!! Czuję się haniebnie. Bardzo proszę, niech Pan mi przyśle swoje jakieś prozy, także tamte opowiadania, abym mógł znowu tam pójść i trochę się poawanturować, tym razem, mam nadzieję, ze skutkiem.

Tak mnie to wszystko zmartwiło i rozeźliło, że nie mam serca kontynuować zwykłej wymiany myśli. W każdym razie – wszyscy u nas zdrowi, pogoda piękna i zbiory zapowiadają się dobrze. Łączę ukłony dla Pana Matki i Pana serdecznie ściskam –

Jan Błoński

„NaGłos” też chyba nie wyjdzie albo z wielkim spóźnieniem, co nasz biedny Maj przyplacił już jakąś paskudną alergiczną chorobą, tak się – jak przystało poecie – przejął.

\* Puls Publications BCM Box 697 London WC1N3XX albo Polonia Book Fund Ltd. 8 Queen Anne’s Gardens, London W41TU

\*\*tzn. jedno, krótsze, zostało oficjalnie przyjęte

23.

[1990]

Drogi Panie Krzysztofie

Jestem przerażony tym, co Pan mi napisał. Błagam Pana, niech Pan natychmiast wsiada w pociąg i wyciągnie choć jeden egzemplarz z Wyd. Morskiego, Gdańskiego czy Chińskiego, i tak nic nie wydadzą, a Pana rzecz zginie. Jeżeli Pan sam w ciągu tygodnia tego nie zrobi, polecę sam do Gdańska, czy gdzie trzeba!

Dziękuję za opowiadania. Przeczytałem je raz jeszcze i podobały mi się znacznie bardziej niż za pierwszym razem. Zwłaszcza Epilog, który jest jak jakaś krótsza wersja powieści, dlatego nie bardzo się nim wcześniej zajmowałem. Najmniej podobał mi się tytuł, może by Pan zmienił, np. na Jak obłoki. Tak mi się to nasunęło, kiedy czytałem przypominał mi się Sęp<sup>1</sup> i Miłosz. Ale oczywiście nie proponuję Panu tego serio, tylko jako świadectwo lektury, że tak powiem.

Pobożne życzenia są mimo wszystko – dla zwykłego czytelnika – bardziej ezoteryczne. Ale literacko tyle samo warte.

Wiele z tym nie zrobię, bo 18 stron prozy można wydrukować tylko w „tołstym żurnalu”, jak mówią sąsiedzi. Ale coś wymyślę i odeślę Panu kopię! Ja myślałem, że Pan mi przyśle takie krótkie (4–5 stron?) opowiadanie o dobrym uczynku, nie pamiętam, jaki miało tytuł. To „T.P.” był gotów wydrukować. Może to Pan gdzieś wygrzebie?

To, co Pana spotyka, uważam za skandal, za dowód głębokiego upadku kultury literackiej w Polsce. I dlatego ostrzegam Pana, że nie popuszczę! Tylko błagam, niech Pan odzyska zaraz choć jeden tekst – dla siebie! I niech Pan nigdy nie robi czegoś takiego więcej. Przecież to całe Pana życie, cała ambicja, te teksty. To tak, jakby Pan siebie samego nie szanował, a – jak powiadał Gombrowicz – „kto nas będzie szanować, jak sami siebie nie będziemy szanowali?”

Ściskam dłoń bardzo serdecznie –

Jan Błoński

PS. Do Chod. już napisałem opisując całą książkę. Teraz zrobię mu oskome Pana Epilogiem.

24.

Kraków, 20 kwietnia 1990

Drogi Panie Krzysztofie,

Przepraszam, że do Pana nie pisałem i że teraz też nie bardzo mogę się rozpisywać. Zdaje się, że przekroczyłem jakąś granicę, której nie powinienem przekraczać, namotałem mianowicie mnóstwo spraw, poczynając od wizyt naszych Wielkich (Miłosz, Barańczak<sup>1</sup>, Kott<sup>2</sup>, etc.) w Krakowie na Uniwersytecie, co trzeba już na maj przygotować, poprzez rozbudowę Biblioteki Naro-

<sup>1</sup> Mikołaj Sęp Szarzyński (ok. 1550–1581), poeta, autor Rymów abo wierszy polskich.

<sup>1</sup> Stanisław Barańczak (ur. 1946), pisarz, poeta, tłumacz, krytyk, redaktor i wykładowca, autor m.in. Chirurgicznej precyzji.

<sup>2</sup> Jan Kott (1914–2001), krytyk i teoretyk teatru, eseista, tłumacz, autor m.in. Szekspira współczesnego.

dowej, aż do zupełnej niespodzianki, tzn. zajęcia się, za sprawą Ministerstwa Kultury, które nie bardzo już wiedziało, kogo w to ubrać – zajęcia się zatem Polskim Komitetem Europejskiej Fundacji z Amsterdamu, która zgłosiła się ratować – w skromnej mierze – polską kulturę, oraz stapiać ją z zachodnią, budować mosty, pracować ponadnarodowo, itd. itp. – taka jest ich odmiana urzędowej mowy. Ale w końcu jest to pożyteczne, potrzebne, a zatem. Może i w jakimś skromnym stopniu uda się pomóc także literaturze.

I tutaj przechodzę do Pana. Pana maszynopis, który uprzednio rozmnożyłem, trochę nieumiejętnie, blade, ale jednak czytelnie – posłałem do Londynu, dołączony jeszcze słów parę. W jakie dwa, trzy miesiące chyba Chodakowski coś odpowie. Jeśli nic z tego nie wyniknie, mam jeszcze inną drogę działania, może prostszą. Ale nie chcę o tym mówić, tymczasem. Dla mnie Pana sprawa to jest trochę test. Spotyka się Pan – co tu gadać – z wielkim niezrozumieniem, pracuje przeciwko prądowi. Nikt Pana nie rozumie, np. w „Tygodniku Powszechnym” nie bardzo – a może wcale – zrozumieli Po co. Jeden Pilch powiedział mi, ale czy szczerze?... że to jest chyba bardzo dobre, bo jest właściwie o niczym, ale czuje się, że każde zdanie jest konieczne – i to jest dowód wybitności. Rozumiem intencję tej wypowiedzi, ale – dlaczego o „niczym”? Codziennosc to jest nic? Zwykle życie to jest nic? W istocie Pana czytelnicy nie mogą przekroczyć czy przeskoczyć jakiegoś progu raczej „formalnego”, przyzwyczaić się do sposobu pisania, jaki za Beckettem itd. stał się dość częsty na Zachodzie (a w każdym razie we Francji, anglojęzycznej literatury na tyle nie znam). Rozumiałbym, jak by Panu zarzucano zależność, naśladownictwo, bo taka książka wymaga pewnej zmiany rytmu, przedstawienia się wewnętrznego u czytelnika... ale tu nie ma nawet zarzutu, ale zwykle niezrozumienie, nieprzyswajalność. A w końcu nawet jeśli wpływ Beckettowski jest – powie ktoś – za silny, to przecie powinno się docenić sam fakt, że ktoś to zrobił po polsku, z polskiego materiału – no i przecie, na Boga, z bardzo wyraźnym odwróceniem ogólnego wniosku, duchowej sugestii, jaka płynie z tekstu. Już przestaję mówić to, co Pan wie, ale to na dowód, że ciągle jakoś przeżywam Pana gorczy – bo to nie może być przyjemne – i zarazem stało się to dla mnie punktem honoru. Wracając do Pana tekstów, trafiły w końcu do Maja, który chciał – chce – wydawać „NaGłos”, ale ukaże się na pewno tylko jeden numer, pierwszy, a na potem szuka się sponsora. Biedny Maj od tego się rozchorował – strasznie przeżywa te literackie, a nawet wydawnicze sprawy – aż alergii jakiejś dostał i do szpitala poszedł! – nie miałem więc serca pytać go, czy myśli coś z Pana tekstem zrobić, bo zaraz rozpacza i przygnębiony.

W sumie okazuje się, że lata Jaruzelskie bardzo dotkliwie ugodziły literaturę, zmywając niejako bardziej wyrafinowane przejawy kultury literackiej, które przecie w podziemiu odkwitnąć nie mogły, chyba u jednostek. Ale tym bardziej proszę mi wierzyć, że choćbym dziesięć lat miał się o Pana dopominać, to będę to robić do momentu, kiedy będzie się Pan mógł bronić sam. Proszę przyjąć bardzo serdeczne wyrazy –

Jan Błóński

25.

Kraków, dnia 8 czerwca 1990 r.

Drogi Panie Krzysztofie,

Proszę mi wybaczyć, że nie odpisywałem od razu, jednak liczne wizyty – które sam sprowokowałem... – bardzo mi wiele czasu zajęły; a potem byłem jeszcze parę dni za granicą. W swoim liście dostrzega Pan to, co i tutaj – czy w ogóle w większych ośrodkach – już od pewnego czasu staje się problemem numer jeden: brak kadr, brak ludzi zarazem wykształconych, sprawnych i – w miarę, bo przecie nie można żądać niezwykłości – w miarę więc bezinteresownych, którzy byliby skłonni i zdolni zająć się życiem kulturalnym i oczywiście także politycznym, chociaż o to zawsze łatwiej, z wiadomym skutkiem. Mogę Pana zapewnić, że brak jest także dyrektorów departamentów w ministerstwach, także Kultury, brak naczelników, prezesów, posłów, wszystkich brak. Na moich oczach rozlatuje się sporo odważnych i wartościowych inicjatyw, właśnie z tego powodu. Widać najgorsze straty ponieśliśmy nie tam, gdzie się nam zdawało. Ale cóż stąd za wniosek można wyciągnąć? Tylko jeden, a mianowicie robić, co się umie i nawet troszeczkę więcej niż się umie, bo jest nadzieja, że się człowiek nauczy, jeżeli tylko ma trochę uporów i wytrwałości. W tym punkcie domyśla się Pan, że namawiałbym Pana na wejście do pism, instytucji, ośrodków opinio- i kulturotwórczych; niech się Pan nie boi, umie Pan więcej od większości swoich towarzyszy. Umie Pan przede wszystkim pisać, a to jest rzadka umiejętność... Co do szkoły, to przecie w razie jakichś kłopotów może Pan zawsze do niej wrócić; nie sądzę, aby takie tłumy pchały się tam do pracy, wśród ludzi z pełnymi kwalifikacjami, oczywiście w sprawach literackich też nie ma Pan tak wiele czasu do stracenia.

Pana powieść zawędrowała do redakcji „Tygodnika Literackiego” (Warszawa, coś Pan o tym wie, a może już numer pierwszy wyszedł) i wzbudziła pewne zain-

teresowanie. Gotowi byliby wydrukować fragment, wsparty fragmentem z mojej recenzji. Ja się oczywiście zgodziłem, myślę, że Pan nie będzie mieć nic przeciwko. Przeiksowałem [przekreśliłem – przyp. red.] powyżej dwa słowa, bo to było tak: od Burka do redaktorów trafiła moja recenzja, i potem ktoś zdaje się przeczytał Pana w „Akcentie”<sup>1</sup> i zwrócił się do mnie o tekst, co zrobiłem. Gdyby Pan miał zastrzeżenia, podaję adres: „Tyg. Lit.”, red. Waldemar Gasper, Wilcza 1 m. 21 Wwa, tel. 21 12 79.

Cóż jeszcze? Poczekajmy jeszcze trochę na Chodakowskiego, ale z Wydawnictwa Morskiego oczywiście, że lepiej wycofać rękopis, oni tego przecież nie wydadzą. Ja sam porobiłem więcej kopii, ale trochę błędnych. Czasem zaglądam do nich, i utwierdzam się w swoich opiniach, coraz bardziej się dziwiąc, że Pana proza – tak jasna i czywista w swej jakości przynajmniej stylistycznej, jeżeli ktoś innych warstw nie odczuje... – że więc trafia ona na opory. Ale to tak pewnie musi być.

Lipiec spędzimy w Wiedniu – dobrzy ludzie dali mi stypendium – a potem pojedziemy nad morze z wnukiem-Francuzem, niestety nie na długo, musimy zadowolić się dwoma tygodniami, tam gdzie zawsze. We wrześniu natomiast planujemy podróż do Francji samochodem, jak za dobrych gierkowych czasów... oczywiście jednak połączoną z którymś z kolei sympozjów o środkowej Europie. Właściwie to dopiero teraz opinia zachodnia zaczyna n a p r a d ę uprzytomniać sobie, co się stało, i całkiem nie wie, co z tego ma dla prostego człowieka wynikać. Pewnie niewiele, ale onże – prosty człowiek – boi się wszelkiej zmiany i obwąchuje wschodnie... bardzo nieufnie, chyba że ma jakieś wyższe czy bezinteresowne uczucia, co nie jest oczywiście powszechnym zjawiskiem. Ale my się na szczęście z takimi spotykamy.

Proszę przyjąć bardzo serdeczne wyrazy –

Jan Błoński

26.

[Wiedeń] 20 lipca 90

Drogi Panie Krzysztofie,

Jak Pan widzi po kopercie, znalazłem się tutaj – na miesiąc, który się już niedługo niestety skończy – i to już chyba w ostatniej chwili przed wyzio-

<sup>1</sup> Krzysztof Myszkowski, Potrzask, „Akcent” 1989 nr 2.

nięciem ducha, a raczej, przed zupełnym ogłupieniem w kołowrocie zajęć, których nie mam jakoś serca przerwać czy ograniczyć. No bo tak się jakoś złożyło, że właściwie dopiero teraz mam właściwe – niejako naturalne – pole działania w społeczeństwie... czy raczej w społeczności kulturalnej, niewielkie naturalnie, ale dla mnie zabawne i dające poczucie pożyteczności, ale czując się w ogóle dobrze i w tej roli swobodnie, nie mam już naturalnie wytrzymałości i pamięci, jakie miałem przed dwudziestu laty, powiedzmy. Więc wszystko mi się miesza w głowie, sam siebie popędzam i w końcu trochę się zgubiłem między uniwersytetem, BN-em, Fundacją i jeszcze – nie umiałem się powstrzymać – związkami literatów...

Na szczęście, zaprosił mnie – ale mogę być z żoną<sup>1</sup> i właśnie od paru dni jestem – znany może Panu z rozgłosu prof. Michalski<sup>2</sup>, co jest dyrektorem powyższego instytutu i nie tylko filozofem wybitnym, ale jeszcze nieprzeciętnym organizatorem. Jak Pan wie, byłem tu kiedyś rok i teraz p. Michalski pamięta o mnie i zaprasza, podobnie jak paru swoich dawnych współpracowników. Odpocząłem niezwykle, nikt nie dzwonił, nikt niczego nie chciał, przynajmniej ode mnie, i chociaż bardzo wiele nie zdziałiałem tutaj, żadnego dzieła większego nie podjąłem, ale dużo uporządkowałem i w ogóle poczułem się trochę dziarszyszy, jeżeli tak wolno powiedzieć.

Cieszę się, że się Pan ucieszył swoim pojawieniem w „Tygodniku”<sup>3</sup>. Zaraz się też inni odezwali, bo jest wielka różnica między publicznymi a prywatnymi (czy wydawniczymi) pochwałami. Może i to Wyd. Morskie w końcu Panu wyda Pasję. Jeżeli nawet nie, to zaczynam już teraz być w sytuacji, w której wycisnę to z jakiegoś wydawnictwa, ponieważ moje – nasze – fundacyjne starania zaczynają przynosić jakieś rezultaty. Już teraz niech się Pan nie martwi, to się za dwa–trzy miesiące zdecyduje. A w Bydgoszczy też naciskajcie z góry, to już także dojrzewa.

Czy uda nam się zatrzymać w Bydgoszczy, nie wiem, bo muszę nad morze pojechać przez Warszawę – gdzie interesy – ale w każdym razie uprzedzę Pana. A tymczasem ściskam serdecznie –

Jan Błoński

<sup>1</sup> Teresa Błońska, zd. Płońska (1930–2002), chirurg dziecięcy.

<sup>2</sup> Krzysztof Michalski (ur. 1948), historyk filozofii, tłumacz, eseista, rektor Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu.

<sup>3</sup> Krzysztof Myszkowski, Nareszcie; Po co, „Tygodnik Literacki” 1990 nr 2.

27.

Żarnowiec 7 sierpnia 90

Drogi Panie Krzysztofie,

Bardzo byłem wzruszony Pana listem, bo sam Pan w – pisarskich kłopotach, tak długo walczy Pan z niezrozumieniem ludzkim, a znajduje Pan ochotę i czas, aby myśleć o moich sprawach: bo nie mam żadnych wątpliwości, że to Pan wmawia p. Solińskiemu<sup>1</sup> mojego Sępa<sup>2</sup>!

Oczywiście, że to byłaby dla mnie wielka radość, bo uważam, że to pewnie najlepsza – z fachowego punktu widzenia – rzecz jaką napisałem i nie sądzę, żeby wiele poza nią wyszły prace nowsze. Ma ona także ten plus, że jest w lekturach zalecanych dla szkół średnich (przynajmniej więc dla nauczycieli...) i ani subwencji na nią Ministerstwo odmówić właściwie nie może, ani też nie wypada bibliotekom (choćby licealnym) przejść obok niej całkiem obojętnie. Ale oczywiście, pieniędzy ani na Sępie ani na Błońskim nikt nie zarobi.

Tak więc oczywiście zgoda, książka nie wymaga żadnych zmian – tak mi się zdaje – ale addenda, owszem, zwłaszcza, w partii dotyczącej ustaleń tekstu (uzupełnienie bibliografii jest łatwe). Musiałbym mieć na to czas jakiś, bo to jest bardzo żmudna rzecz, zwłaszcza po bardzo szczegółowych rozważaniach leksykologicznych Vincenza<sup>3</sup>.

Bardzo dobrze, że się Pan włącza w miejscowe życie literackie. Tym to ważniejsze, że – jak to zwykle w miarę postępu demokracji – życie polskie się istotnie decentralizuje i czasy absolutnej supremacji Warszawy należą zapewne do przeszłości. Ale najważniejsze wydaje mi się, że Pan już ze swego czyścica wychodzi. Myślę, że po wakacjach powinien Pan uzyskać decyzję Wyd. Morskiego – i niech Pan na nią nalega! – to na jesieni będę już sam starał się coś zrobić w znajomych wydawnictwach. Obecnie – zdradzam małą tajemnicę – mam już jakiś pośredni środek nacisku, ponieważ Fundacja Europejska przyznała nam (Komitetowi Polskiemu) trochę pieniędzy na wsparcie polskiej książki, właściwie na tłumaczenia, ale można to chyba wykorzystać do „przyjacielskiego nacisku”... jak to zresztą z góry mówiliśmy tym Holendrom, tłumacząc, że debiuty stały się też niemożliwe. Proszę to jednak zachować dla siebie, bo będziemy mieć straszne życie, a pieniędzy mało. W każdym razie będę próbować z większymi szansami powodzenia.

<sup>1</sup> Krzysztof Soliński (1950–2006), pisarz, wydawca, autor m.in. Atebe.

<sup>2</sup> Jan Błoński, Mikołaj Sęp Szarzyński a początki polskiego baroku, Kraków 1967.

<sup>3</sup> Andrzej Vincenz (ur. 1922), profesor slawistyki, publicysta.

W Żarnowcu będziemy do 16–17, więc się rozminimy. Ale będę w Krakowie do 7 września i potem od 27, więc nic nie stracone, może by teraz Pan nas odwiedził?

Jeszcze raz dziękuję i proszę przyjąć bardzo serdeczne wyrazy –

Jan Błoński

28.

Kraków, dnia 20 października 1990

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za list i przepraszam za milczenie. Mówił mi Burek, że Pana książka uzyskała pozytywną opinię od komisji Funduszu Literatury – zapewne za jego staraniem; ucieszyłem się jak Pan, chociaż Burek zastrzegął się, że opinia nie jest równoznaczna z natychmiastowym uruchomieniem tych kwot, Ministerstwo musi najpierw uzbiierać czy otrzymać pieniądze... W każdym razie kiedyś się to zrobi. Publikacje w „T.L.” niewątpliwie tu pomogły i moim zdaniem – mógłby Pan posłać im niedługo któreś np. z opowiadań, możliwe niedługie, jeśli nie zaraz, to chyba po pewnym czasie wydrukują. Ja też uważam, że Pana najgorszy czas ma się ku końcowi. Rozumiem Pana niecierpliwość, rozumiem też niechęć do tych mizerot z ex-„Faktów”, na jakich Pan napadł, mimo wszystko jednak, niech Pan nie kontynuuje tych polemik, aby się nie umazać błotem, kłamstwem, które zawsze w bliskości takich ludzi się pojawia. Jeszcze raz: ma Pan na pewno rację, trzeba z tym kiedyś skończyć, ale zarazem do wyższych rzeczy jest Pan powołany, a te „czystki” w przeważnej mierze same się niejako zrobią, bo nicość nawet niemądrych ludzi nudzi. Tak mi się zdaje, ale może się mylę, może to jest potrzebne w Pana środowisku, w tym konkretnym przypadku – nie upieram się więc nadto.

Miałem i mam dalej tyle zajęcia porządkowo-administracyjnego, zwłaszcza w związku z nowymi wizytami wielkich tego świata (literackiego), którymi miło było się opiekować... że na nic nie znajduję czasu, zwłaszcza że nie mogę powstrzymać się od wyjazdów do Wwy czy za granicę, gdzie będę w dniach 1–4.10 i może także 15–20.X. To na wypadek, gdyby Pan się tu wybierał; przypominam nr telefonu 56 16 79. Tak naprawdę jednak – to przeraża mnie postęp czasu i moich spóźnień, chyba przestanę urzędować na uniwersytecie, ograniczając się do wykładów, przynajmniej na najbliż-

<sup>1</sup> Krzysztof Myszkowski, Folwark literacki, „Kujawy” 1990 nr 37.

sze lata. Właściwie nigdy nie można być pewnym, co człowieka w takich zajęciach kusi: poczucie obowiązku czy potrzeba poczucia się „ważnym”, głęboko złudna rzecz jasna. Na wszelki wypadek i zgodnie z jansenistycznymi skłonnościami, które gdzieś we mnie zalegają, postanowiłem więcej siedzieć w domu, przynajmniej od stycznia czy lutego, kiedy będą na uniwersytecie wybory. Może wtedy mógłbym zająć się tym Sępem, jeżeli naprawdę uważa Pan to za możliwe. Dla mnie to byłaby wielka radość, gdybym mógł ponownie wydać tę książkę. Czy mam zrobić fotokopię i posłać do Bydgoszczy (mam wszystkiego 2 egzemplarze)? Jedyne, co muszę tam zmienić to omówienie bibliografii i nowych propozycji odczytania tekstów Sępa. Ale chyba nie warto się tym zajmować, nie mając pewności, że książka się rzeczywiście ukáže? Jeżeli rzecz jest naprawdę realna, proszę mi powiedzieć, do kogo mam napisać i na jaki adres. Myślę, że wydawca uzyskałby subwencję z Min. Edukacji, jeżeli by dobrze się do tego zabrał, gotów jestem mu pomóc w miarę moich możliwości.

Proszę przyjąć bardzo serdeczne wyrazy! I niech Pan mi coś przyśle, kiedy gotowa będzie większa rzecz Pańska! Ściskam serdecznie –

Jan Błoński

29.

Kraków, 10 listopada 1990

Drogi Panie Krzysztofie,

Od dawna marzę o tym – i nawet trochę się staram – aby pomóc wydać Pana książkę, a tymczasem to Pan mi przynosi wznowienie Sępa na talerzu, bez żadnych starań w PWN-ie, którego dosyć nie lubię, nawet w odnowionym wydaniu. P. Soliński napisał do mnie formalny list, na który odpowiedziałem, zapowiadając potrzebę dokonania uzupełnień w partii bibliograficzno-edytorskiej, co nie powinno zabrać więcej niż 2–3 miesiące. W tym czasie się też robi kopię.

Dla SPP zajmuję się sprawami książki i po ostatnich informacjach także ręce mi opadły, chociaż do tej pory nie zdołałem się dowiedzieć, czy to projekt oficjalny, czy wstępny itd. Jakkolwiek by było, mogę Pana zapewnić, że to jest mniej straszne, niż się wydaje. Prawdopodobnie nie rząd, ale fundacja (Ministerstwa) będzie teraz subwencjonować... tak się przynajmniej domyślam, po paru naradach, gdzie zbierałem „doświadczenia”. Najgorszy w tym jest nawet nie brak pieniędzy, ale strach przed

decyzją, wieczne przewlekanie i niezdolność do prawnej reorganizacji (albo likwidacji) wielkich firm, w imię wolnego rynku czeka się, aż umrą, ale stary system, konając, zatruwa i paskudzi wszystko. Lepszy jest – moim zdaniem – system okrutny a jasny, gdzie można przynajmniej szukać ratunku czy sposobu, niż mętny, dziurawy i wiecznie prowizoryczny, gdzie wszyscy czekają na zmiłowanie Boże (ministerialne), oprócz naturalnie aferzystów.

Ale i tak się nie damy. Niestety, moje odgrazania się niewiele skutkują, może dlatego, że za dużo srok łapię za ogon i parę mi po prostu uciekło. Przystaję więc dyrektorować w naszym Instytucie – chociaż właściwie to lubiłem – i ograniczam dobrowolne urzędowania; idąc za Pana przykładem postaram się choć częściowo pokończyć mnóstwo rozgrzebanych rzeczy. Zobaczmy, co z tych pięknych decyzji wyniknie, ale takie podjąłem, może co pomoże.

Cieszyłbym się bardzo, mogąc Pana tu zobaczyć. Chyba już po 20 listopada nigdzie dalej nie wyjadę, najwyżej do Wwy na dzień. Niech więc Pan dzwoni i przyjeżdża!

Proszę przyjąć najlepsze wyrazy –

Jan Błoński

PS. Jak Pan pewnie wie, Grzegorz<sup>1</sup> dostał w końcu nagrodę Kościelskich. Wręczenie nagród odbędzie się po raz pierwszy w Polsce, najpóźniej w styczniu. Oczywiście zawiadomię go oficjalnie, bo organizacji tej uroczystości mam tutaj dopilnować.

30.

Kraków, 9 lutego 91

Drogi Panie Krzysztofie,

Grzegorz Musiał powiedział mi w Warszawie, że znalazł Pan sposób na wydanie swojej książki, co mnie ogromnie ucieszyło: miałem wyrzuty sumienia, że mimo starań – nie udało mi się doprowadzić do podobnego sukcesu. Teraz Pan mi to potwierdza w liście i cieszę się jeszcze bardziej. Z Pana książką będzie tak jak z Chwinową<sup>1</sup>, którą przed chwilą dostałem: rozejdzie się lepiej, niż się wydawca spodziewał i po paru tygodniach czy raczej miesiącach będzie nie do znalezienia. Raczej miesiącach niż tygodniach,

<sup>1</sup> Grzegorz Musiał.

<sup>1</sup> Stefan Chwin (ur. 1949), pisarz, historyk literatury, autor m.in. Hanemanna.

bo główną przeszkodą jest fatalna informacja i dystrybucja. Dlatego byłoby dobrze, gdyby Pana – odważny – wydawca zapewnił sobie możliwość dodruku... Ale już się nie będę dalej wtrącał, skoro nie potrafiłem Panu naprawdę pomóc. Oczywiście cieszę się, że zechce Pan wykorzystać moje uwagi o Pasji, były zresztą drukowane, więc chyba nawet zezwolenia na cytaty nie potrzeba. Krótko mówiąc, wszystko jest na najlepszej drodze – przynajmniej to. A skoro Pan jedzie do Torunia, żeby pisać, to jeszcze lepiej. Dziękuję też za zaproszenie w lecie, nie wiem, czy data będzie Panu odpowiadać, pojedziemy nad morze zaraz po 1 sierpnia.

Teraz popatrzyłem znowu na Pana listy i zorientowałem się, że Grzegorz<sup>2</sup> pozbawił się dla mnie swojej książki. Proszę więc i jemu serdecznie podziękować... i poprosić żeby nie robił tego więcej, bo szukałem tej książki nie dla siebie. Ale jednak porwałem ją i jeszcze raz dziękuję! A tymczasem serdecznie ściskam –

Jan Błoński

31.

Kraków, dnia 25 maja 1991 r.

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za list i dobre słowa. Czuję się nawet trochę zażenowany, widząc jak Pan silnie przeżywa rozmaite moje – czy nasze – przygody... Mnie właściwie nie bardzo przerażają popisy takie jak niedawno w telewizji, bo prawdę mówiąc – zawsze tak było (raczej – tacy byli) i zdążyłem się przyzwyczaić. Może by trzeba było poróżnić, żeby być sprawiedliwym. Znałem ludzi prawdziwie dobrych – jednemu i moja rodzina i ja wiele zawdzięczała – którzy zarazem byli niemożliwymi antysemitami: to mogło się bowiem wpisać w bardzo tradycyjny, skrupulatny, uczciwy tryb życia. Często – choć nie zawsze – tacy ludzie w skrajnych sytuacjach umieli okazać serce, zawiesić swój antysemityzm na kołku. A potem do niego wracali... Bywają też wyrachowane draby, które – tak naprawdę – nic przeciw Żydom nie mają, ale liczą, że na antysemityzmie coś w opinii zarobią. Ale wielu ludzi naprawdę głęboko wierzy, że Żydzi chcą zawładnąć światem i co sobota zbierają się w piwnicy, żeby przewrócić rząd albo odebrać Kowalskiemu sklepik. Czasem to wszystko na dodatek pomieszane. Taki np. Bender robił na mnie wrażenie

<sup>2</sup> Grzegorz Musiał.

cynicznego – czy całkiem amoralnego – gracza politycznego (bo Pan wie, że on zarzucił Mazowieckiemu, iż nie protestował przeciw posunięciom rządu w 68, podczas gdy Mazowiecki stracił po paru protestach mandat i tenże mandat po dwu latach przypadł nie komu innemu jak Benderowi! – czy można sobie wyobrazić większy cynizm?). Ale na końcu tej dyskusji, kiedy już temuż Benderowi brakowało słów, jakoś się tak zamyślił, zmartwił, coś na mnie ponarzekał i wreszcie wyjąkał: to co on (=ja) mówi, to... to miazmaty! W tym momencie ogarnęła mnie wielka wesołość, bo nagle znalazłem się przed wojną: słowo miazmaty (rozsiewane przez Żydów) to jak podpis na świadectwie endeckiego wychowania, ten człowiek nie zmienił się od 15 czy 18 roku życia, kiedy dowiedział się o żydowskich miazmatach. I tak to sobie przechował na dnie serca, pilnie pracując na katedrę w KUL-u! Te same słowa, ta sama retoryka. Może on się naprawdę przeraził?! Skądinąd bardzo dużo jest w tym zwykłej inercji, trzymania się przeszłości, co w ogóle znamienne dla Polaków, bo jak się bronić przed komunizmem, czy w ogóle przed obcymi, jeżeli nie – długą pamięcią. Więc w tym samym worku trzyma się i Konstytucję 3 maja, i Kościuszkę pod Racławicami, i nawet Anhellego, i naturalnie żydowskie miazmaty. Czy można to nazwać wywróconym na nice systemem wartości? Chyba nie albo nie zawsze. W każdym razie mnóstwo jest odcieni w tym antysemityzmie i dlatego on taki i zagadkowy, i szkodliwy. Co nie znaczy, że nie ma w Polsce zdziczenia, dekuluracji, pewnie nawet więcej niż przed wojną, ale to znowuż jest jakiś inny gatunek. Jest antysemityzm na gruncie przebrzmiałych, skostniałych i anachronicznie rozumianych wartości, i jest trochę inny, wyrastający na braku tychże. Bo w Polsce jest bardzo duża część społeczeństwa, której nie tylko „wartości”, ale także cały styl czy tryb życia, poczynając od zwyczajów kulinarnych, a kończąc na elementarnej uczciwości, wydawaniu reszty czy czymś w tym rodzaju – więc taka część, której się to wszystko po prostu rozleciało, pod wspólnymi ciosami komunizmu, kultury masowej i dodajmy szczerze, alkoholizmu. To jest właśnie kurwujące bydlę, z gębą pełną bułki, flaszką w kieszeni i łokciem wycelowanym w brzuch sąsiada – zwykle też w eleganckich marmurkowych dżinsach; pamiętam, jak hordy takich biegały po Wiedniu i wstydzilem się mówić na ulicy po polsku, a im bardziej wszyscy dokoła nich milkli, tym oni głośniej wrzeszczeli i to było straszne. Oczywiście ci także podejmują wszystko co najgorsze z przeszłości, więc także bij Żyda. Podejrzewam, że coś takiego – jakieś pęknięcie, rozsypanie się paradygmatu – stało się pod wpływem pierwszej wojny, industrializacji i zwłaszcza kryzysu w Niemczech:



nie wiem, czy Pan wie, że w tym okresie właśnie robotnicy i w ogóle ludzie młodzi i biedni zapisywali się najbardziej do NSDAP. Jeżeli Pan o takim kolapsie myślał, to się zgadzam, to jest, a raczej może być, bardzo groźne. Ale jednak nie sądzę, aby taka „koszmarna pulpa”, jak Pan mówi, była w stanie się w Polsce zorganizować, znaleźć przywódców. Nasza wiedza o takich społecznych kryzysach jest jednak w gruncie rzeczy bardzo uboga. Najlepiej jeszcze przeczuwali to pisarze...

To więc, że Pan się tej pulpy lęka, dość mnie niepokoi... Co do „Potopu”, to go nawet nie widziałem, najpierw nie dochodził do Krakowa, a potem byłem tydzień w bardzo ładnym miejscu, a mianowicie nad Morzem Śródziemnym, w Beaulieu koło Nicei. Podział „T.L.” był małą katastrofą, bo znowuż w nowym, młodzieżowym „T.L.” za wielkie są wpływy Tekielego<sup>1</sup> i całej tej bandy improduktiwów, którzy usiłują wyrobić sobie jakieś miejsce w życiu kulturalnym, namawiając innych do pisania, wybrzydając się na starszych, pochlebając młodszym, krytykując wszystkich... i nic, ale to nic nie wnosząc, nawet w dziedzinie rozrywki. Jednak „T.L.” (nowy) miewa inicjatywy, które są przynajmniej pouczające, jak np. rozmowa z tymi anarcho-dowcipnisiemi sprzed dwu czy trzech tygodni. Podejrzewem, że w „Potopie” – nigdy nie potrafiłem zrozumieć, co ma znaczyć ten tytuł? – po prostu nie bardzo się redaktorom chce. Wszystko to jest rzeczywiście bardzo przygnębiające.

Ale co u Pana? Co z tą Pana książką? Ja sam też się nie spisuję, nie potrafiłem jak dotąd uzupełnić mojego Sępa i tylu innych rzeczy zrobić, ale to w końcu nie jest takie ważne jak Pana debiut. Przyznaję zresztą, że przeliczyłem się ze swoimi możliwościami, jest taki mechanizm życiowy, który sprawia, że w pewnej kulturalnej pustce nieliczni, jeszcze trochę czynni starsi ludzie, nabierają niezasłużenie za dużego znaczenia i przewracają się pod ciężarem „obowiązków”, które bardzo dobrze wykonywać mogą inni, ale których podejmujemy się z próżności. Domyśla się Pan, o kim piszę. Przynajmniej po wakacjach nie będę już dyrektorem IFP i pewnie wyzbędę się jeszcze paru zajęć. Ale nowe mi przybyły, wstydę się nawet powiedzieć jakie. A wszystko z lenistwa intelektualnego i próżności właśnie.

Ściskam Pana bardzo serdecznie –

Jan Błoński

<sup>1</sup> Robert Tekieli (ur. 1961), redaktor naczelny „Brulionu” (1986–1999), dziennikarz, publicysta.

32.

Kraków 7 lipca 1991 r.

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za list i pamięć, jak zawsze wierną! Przepraszam, że nie byłem w stanie odpisać wcześniej, tyle spraw skłębilo się przed wakacjami, że skapitulowałem, chodziłem tam i z powrotem po pokoju, zawalonym stertami – to co piszę nie jest hiperbolą ani żadną inną figurą stylistyczną – maszynopisów, książek, listów, dokumentów etc... i nic już nie byłem w stanie zrobić ani załatwić. Udało mi się na szczęście podpisać co najkonieczniejsze na uniwersytecie i uciec do Wiednia, jak w zeszłym roku (równie tu ciepło i męcząco co wtedy, ale darowanemu koniowi...). Teraz odpisuję pomału. Wielkiego pożytku z tego pobytu pewnie nie będzie, bo po prostu załatwiam najokropniejsze opóźnienia, coś się jednak może w końcu przejaśnić, bo kończy się moja kadencja dyrektorska i znowu stanę się może bardziej literatkiem niż profesorem. Data 1 stycznia rysuje się więc promienniejsza na horyzoncie, a nawet wcześniej powinno zrobić się nieco przestronniej.

Mam niewątpliwie poczucie marnowania czasu (którego tak dużo mi już nie zostało!) i zarazem, znikomej efektywności tych społeczno-administracyjnych obowiązków, których się podjąłem. Myślałem – i poniekąd myślę – że to tak trzeba było, przynajmniej przez czas jakiś, ale późno – za późno – to przyszło, i skutki raczej mizerne. Inna rzecz, że zjawisko było powszechne, w warunkach wolności wszyscy, jak Pan zauważył najlepiej, wzięli się do urządzania, zakładania, redagowania, urzędowania itd. Skutki nie są nadzwyczajne, ale czy mogło być inaczej? Wszystkiego się trzeba nauczyć, a za nami same były głupstwa i skamieliny. Mnie się wydaje, że uniwersytety w sumie raczej obronną ręką wychodzą z obecnego kryzysu, nauka też jako tako, gorzej ze sztuką, która – jak wiadomo – może czekać. W sprawach kultury najbardziej jednak gniewa mnie to, że i tam wszyscy chcieliby redagować i urządzać, podczas gdy należałoby raczej malować, pisać etc. Przekonałem się, zajmując się trochę sprawami wydawniczymi, że tak naprawdę – szuflady są puste, i z wyjątkiem pewnych dziedzin (np. publikacje eseistyczne z dziedziny szeroko rozumianej humanistyki, ale obcej! – oraz klasyka obca, najtrudniej w Polsce kupić takie dzieła jak Pani Bovary albo David Copperfield!) – z tym więc wyjątkiem nie jest w zasadzie trudno wydać książkę. Tym bardziej mnie złości los Pana debiutu i niesłychana powolność takich spraw. Co prawda Min. Kultury jest w gorszej sytuacji niż Nauki (tzn. Komitet do Spraw Nauki), tam jest w istocie dość

pieniędzy i udaje się nam nawet w Krakowie drukować prace np. doktorskie, które latami czekały. Obiecałem sobie, że we wrześniu musimy załatwić tę sprawę i już. A samo wydanie zrobiło się – przynajmniej w prywatnych wydawnictwach – piorunowe. Natomiast „stare”, jak się ślimaczą, tak ślimaczą. Niestety nic już tych ludzi nie uleczy. A może to w samych tych instytucjach siedzi jakiś demon bezwładu?

Co do pism, zawiniła, że tak powiem, polska anarchia. „Tyg. Lit.” miał szansę realną. Podział zmarnował wszystko, wina była raczej po stronie Gaspera, Tekielego itd., ale i starsi zawinili, obrażając się i wołąc „własny kątek” od codziennego szarpania się, z którego w końcu zdrowy rozsądek wyszedłby zwycięsko. Niech to diabli wezmą! Co do „Dekady”, nie wierzę w jej przyszłość, bo nikt nie chce rzucić się naprawdę na głęboką wodę, tzn. poświęcić się całkiem redagowaniu. A pisma nie można redagować „przy okazji”. Ale już dość narzekań, pójdę lepiej zjeść lody, bo w Wiedniu dobre bardzo. Ale jeszcze muszę jedno dodać: Pan jest człowiekiem, który umie rzucać się na głęboką wodę, i w końcu Pan wygra, w to nie wątpię ani chwili.

Ściskam bardzo serdecznie dłoń – odezwę się po powrocie – a tymczasem pozdrawiam serdecznie –

Jan Błoński

33.

Kraków, dnia 8 października 1991

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za liczne listy i naprawdę wzruszającą – pamięć. Przepraszam też za zwłokę w odpowiedzi, którą tak wyjaśniam: jak Pan się domyśla, w ostatnich miesiącach zupełnie już nie dawałem rady moim zbyt licznym obowiązkom. Powziąłem więc odpowiednie postanowienia i oto: 1. przestałem być dyrektorem IFP, 2. poprosiłem o roczny urlop na pracę naukową (tak zwaną), 3. staram się wykończyć i ograniczyć zajęcia uboczne, niestety bardzo liczne, chociaż – pojedynczo brane – nie nazbyt absorbujące, jak to Komitet Badań Naukowych, 3 fundacje, SPP etc. Już zacząłem odczuwać błogosławione skutki tych wydarzeń, choć z drugiej strony męczy mnie myśl, czy i co zdążę etc., bo jak dotąd załatwiam tylko to, co było zaległe. Ale troszeczkę postępuję.

Teraz przechodzę do spraw poważnych, czyli literackich. Ucieszyłem się, widząc Pana tekst w „Potopie”<sup>1</sup>, co do skrótu, to pewnie ze strachu, bo teraz takie autotematyczne uwagi (partie) raczej niemożliwe. A może też w niezbyt długim fragmencie mniej potrzebne... Niech się Pan tym specjalnie nie martwi, chociaż rozumiem takie autorskie przeżycia. Widziałem też Pana wypowiedź w „G.W.” (tzn. rozmowę z Grzegorzem<sup>2</sup>). A Drzewucki<sup>3</sup>? Jedyne plus tych bzdur to to, że Pana umieścił i opluł w dobrym towarzystwie. Chociaż o Smektale nic nie wiem, a Rylskiego<sup>4</sup> nic nie zdaje się łączyć z Huellem etc. Wszystko to zawiść i rozpaczliwa walka berezoidów o jakieś miejsce w literaturze... raczej w życiu literackim, czyli przy posadach. Artykuł ten miał też tą dobrą stronę, że wywołał niesłychanie gwałtowne reakcje w warszawskim światku literackim, protesty do redakcji itd., dość że – jak słyszałem z pierwszej ręki – w „G.W.” doszło do specjalnego posiedzenia z udziałem Michnika<sup>5</sup>, który kazał dopuścić ocenę przeciwną itp., wszystko to podobno podważyło pozycję redakcji książkowej z p. Gondowiczem<sup>6</sup> na czele. Kto to jest ten Gondowicz, nie mam pojęcia, ale to, że literacka kolumna „G.W.” jest zawstydzająco słaba – nie budzi wątpliwości. W ogóle warszawskie życie literackie bardzo słabe i opierające się na starszych, jako że młodszy zberezowani... Niech Pan się tym wszystkim specjalnie nie przejmie. I pamięta co mówił Grydzewski<sup>7</sup>: „dobrze czy źle, byle z nazwiskiem”. Na poziomie mass-mediów jest to – niestety – na ogół prawda.

Niejasne jest jednak dla mnie, co się właściwie dzieje z Pana książką. A raczej książkami, o ile zrozumiałem? Nie wiedząc, czy cokolwiek się posuwają, pozwoliłem sobie, nie pytając Pana o zdanie, dać do przeczytania Pana powieść krakowskiej Oficynie Literackiej czyli p. Karkoszy, jej właścicielowi-redaktorowi. Nie byłem jeszcze pytać o jego wrażenia – zastrzegłem się jednak, że książka jest w zasadzie gdzie indziej i że czynię to bez Pana zgody – ale co mam wnioskować z Pana listów? Czy – w wypadku życzliwej oceny – możliwe byłoby przeniesienie? Chyba po wypłaceniu zaliczki już nie bardzo, co oczywiście nie jest żadnym

<sup>1</sup> Krzysztof Myszkowski, Pobożne życzenia, „Potop” 1991 nr 12.

<sup>2</sup> Jakie jest pytanie? Z Grzegorzem Musiałem rozmawia Krzysztof Myszkowski, „Gazeta Wyborcza” 9.9.1991.

<sup>3</sup> Janusz Drzewucki (ur. 1958), krytyk, dziennikarz, wydawca.

<sup>4</sup> Eustachy Ryński (ur. 1944), prozaik, scenarzysta, autor m.in. Tylko chłód.

<sup>5</sup> Adam Michnik (ur. 1946), polityk, historyk, publicysta, od 1989 roku redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”, autor m.in. Z dziejów honoru w Polsce.

<sup>6</sup> Jan Gondowicz (ur. 1950), krytyk, tłumacz, redaktor.

<sup>7</sup> Mieczysław Grydzewski (1894–1970), redaktor naczelny „Skamandra” (1920–1921 i 1928–1939) i „Wiadomości Literackich” (1924–1939 i w Londynie: 1946–1966).

nieszczęściem, bo nie znam opinii OL, a żadnych zobowiązań przecież nie mogłem podjąć – i nie chciałem. Chciałem go tylko – na wszelki wypadek – zainteresować. Ale czy w końcu w Gdańsku wydaje Pan powieść, a w Bydgoszczy co innego, albo odwrotnie? Przyznaję, że się w tym zgubiłem. Niech Pan napisze mi słów parę, pamiętając jednak łaskawie, że do niczego się nie zobowiązywałem. A więc nie gniewając się, jeżeli uzna Pan moją inicjatywę za niewczesną.

Czytając Pana tekst, który chyba miałem już w ręku, uderzony byłem jego stylistyczną czystością i powagą. Przez te dwa lata, od kiedy znam Pana rzeczy, na pewno się nie zwarzył. Oczywiście, wymaga pewnego, że tak powiem, przedstawienia zwrotnicy, albo też zmiany tempa, w jakim człowiek żyje. Tempa, nastawienia... zresztą Pan to doskonale rozumie. Kiedy o tym pamiętać, zarzuty – czy uwagi – tego ośła Drzewuckiego wydają się jeszcze głupsze. To właśnie poszarpana, histeryczna skatologia berezowców jest w gruncie rzeczy „popularna” i przypochlebiająca się głupiemu czytelnikowi. Skąd on mógł wziąć w ogóle „pozytywistyczną sztukę ładnego opowiadania”? Pozytywistyczną!! Chyba dlatego mu to przyszło do głowy, że rozporządza rozpaczliwie małą wiedzą o literaturze, i że „artystycznej”, nakierowanej na „artystyczną ekspresję” twórczości swoich kolegów może przeciwstawić tylko Prusa<sup>8</sup>. O innych nie słyszał. Jest tylko Joyce i Prus, nie ma ani Manna<sup>9</sup> ani Flauberta<sup>10</sup>, Prousta<sup>11</sup> czy Gombrowicza. Jakkolwiek moja hipoteza wydaje się nieprawdopodobna, upierałbym się przy niej, on – oni – w ogóle nic nie wiedzą. I nic nie umieją. Awangarda z oślej ławki.

Proszę, niech Pan się nie gniewa na moje długie milczenie. Łączę bardzo serdeczne wyrazy –

Jan Błoński

34.

Kraków, dnia 23 listopada 1991

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za list i pamięć. Nie przestaję podziwiać Pana uporu i dyscypliny, wszystko Pan wie, wszystko Pan czyta, nawet trudno sobie wy-

<sup>8</sup> Bolesław Prus (1847–1912), pisarz, autor m.in. Lalki i Faraona.

<sup>9</sup> Tomasz Mann (1875–1955), pisarz, autor m.in. Buddenbrooków, Tonio Krügera, Czarodziejskiej góry, Józefa i jego braci, Doktora Faustusa; laureat Nagrody Nobla (1929).

<sup>10</sup> Gustaw Flaubert (1821–1880), pisarz, autor m.in. Pani Bovary, Salambo, Trzech opowieści, Kuszenia świętego Antoniego, Bouvarda i Pécucheta.

<sup>11</sup> Marcel Proust (1871–1922), pisarz, autor m.in. W poszukiwaniu straconego czasu.

obrazić, jak Pan to mieści w dniu zajęтым pracą zawodową tak wyczerpującą psychicznie jak nauczycielska! Cóż ja jednak mogę zrobić, może tylko pocieszać innych i siebie. Ma Pan słuszność, istnieje dysproporcja między rozwojem poezji i prozy... ale to jednak j e s t opisane czy opisywane, poeci umieją o sobie zadbać, jeszcze ostatnio okadzają się wzajem w ostatnim numerze „NaGłosu”, gdzie chyba ze trzysta stron o najmniejszych odcieniach „Nowej Fali”. Ja oczywiście nic przeciw temu nie mam, wręcz przeciwnie. Może trochę za surowy Pan dla Huellego, opowiadania istotnie są z ducha powieści, całkiem są podobnie zrobione... ale to jest przecie zupełnie normalne, jakże mogłoby być inaczej? Ludzie, którzy nie znają Dawidka, właśnie przez te opowiadania poznają sposoby Huellego i może nawet szkoda, że najpierw wydał powieść, a potem opowiadania. Jest takie prawo drugiej książki, jeśli pierwsza miała sukces, wydała się oryginalna, można się założyć, że następna wypadnie blado, bo działa jakiś mechanizm wyobraźni, który musi stopniowo zwolnić i przystanąć. Huelle sam straszliwie boi się o swoje, następne rzeczy, więc niech Pan mu okaże trochę chrześcijańskiej wyrozumiałości. Natomiast doskonale pojmuję, że Bart<sup>1</sup> nie może Pana szczególnie zajmować. Ale ja nie jestem twórca, tylko krytyk, i muszę cenić różne smaki i sposoby. Prawdę mówiąc, cenię je dlatego, że prędko się nudzę, coś mnie rzuca od książki (dzieła) do dzieła. W końcu te nasze zawody czy powołania są jakoś związane z całością psychiki... i niewiele na to można poradzić. Ale mogę jednak Pana zapewnić, że – w głębi duszy – troszeczkę wyżej cenię gatunki poważne, tragedię od komedii itp. Zarazem wiem, że jedna drugiej potrzebuje, że dopiero obie tworzą literaturę... Pisarz nie odczuwa tak, zazwyczaj – nie może tak odczuwać.

Najbardziej cieszę się z losów Pana książki, obawiając się czasem, czy znów jakiś złośliwy chochlik nie zadziała. Niech mnie Pan uspokoi w tym względzie. Postaram się zaraz napisać coś o niej, możliwie innego niż przed dwoma laty (właściwie chyba przed półtora rokiem?) – zdumiewająco szybko to pędzi i zarazem – jak bardzo zmienia się kulturalna scena! Teraz na książki czas trochę łaskawszy, za to gorzej z teatrami, muzykami itd. – ale mniej, niż można by sądzić po powszechnym biadoleniu.

Giedroyc<sup>2</sup> ogromnie się przejął, ale starał się nie dać znać niczego po sobie i trzymał się dzielnie, jeszcze nagadał „krajowi”. Całkiem mądrze

<sup>1</sup> Andrzej Bart (ur. 1951), prozaik, scenarzysta, autor m.in. Rien ne va plus.

<sup>2</sup> Jerzy Giedroyc (1906–2000), wydawca i redaktor naczelny „Kultury” (1947–2000).

przypomniał mi Unger, którego niedawno poznałem w Brukseli, że żaden z Giedroycia polityk, to raczej wizjoner, poeta polityki. On jest oczywiście za porządku na politykę, polityczną rolę mógł odgrywać tylko w wielkim nieszczęściu, w wyjątkowych okolicznościach. On tak naprawdę rozmawiałby tylko z de Gaullem i Piłsudskim... Tym bardziej jest godny podziwu i szacunku, tym bardziej, że trzeźwy i niezłomny, doskonale wie, że niewiele ma już na tym świecie do roboty... i sam stopniowo ogranicza i likwiduje „Kulturę” i jej agendy. To także jest wielkość – umieć rezygnować. Znowu jak de Gaulle, który – odrzucony – pojechał do siebie na wieś i niechętnie wracał do Paryża. Rzymska surowość dla siebie! Ani słowa narzekania czy skargi! Czy to nie jest postać literacka, prawda?

Proszę przyjąć najlepsze wyrazy i nic się nie martwić, niczym nie gryźć! Ściskam serdecznie –

Jan Błoński

35.

Kraków, dnia 12 grudnia 1991 r.

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za list, za listy, które mnie zawsze zawstydzają, bo mówi Pan jak z Synaju, ja nic tylko żartuję. Tak się dzisiaj nie mówi, Pan to wie równie dobrze jak ja, ale jednak Pan nie może się powstrzymać, tak wysokie ma Pan pojęcie obowiązku i pojęcie literatury, ja zaś czuję, jakąś częścią mojej natury, że powinienem mieć też coś podobnego w sobie, ale się boję nie trafić, i tak waham się między kpinkami a melancholijną pryncypialnością. Ale proszę nie myśleć, że Panu to wyrzucam, ja wiem, że Pan pisze jakąś straceńczą prawdę, do której jest przywiązane straszne ryzyko, i martwię się, że nie umiem Panu pomóc na żadnym polu, nawet najskromniejszym, wydawniczym.

Znowu pytał mnie właściciel Oficyny Literackiej, czemu Pana powieść ani nie wychodzi, ani do niego nie trafia. Wyjaśniłem, jak jest i nie wiem, czy dobrze zrobiłem. Bo teraz to już naprawdę nie ma Pan czasu. Teraz czuję to jakby silniej. Może jednak pokazać mu Pana tekst? Jeżeli WMorskie ma skład, może on by wydał Pana rzecz wspólnie z WM? Bo on ma małą własną drukarnię i wcale nie potrzebuje takich dużych sum na druk... Bardzo proszę, niech Pan jak najszybciej, jeszcze przed świętami, zadzwoni czy pojedzie do tego Gdańska i wyjaśni, kiedy. Jeśli nie będzie tej książki za

2–3 miesiące, to po co się trzymać tych niedorajdów? Oczywiście, nie mogę dzisiaj ręczyć za Oficynę, ale jej szef ma dla mnie sporo uwagi i poza tym bardzo chciałby wydać coś, co nie byłoby wierszami ani przekładem. Ale takich rzeczy jest bardzo mało...

W drugi dzień świąt pojedziemy chyba do Jeruzalem. Piszę chyba, bo ciągle jakoś nie ma biletu, całkiem tak jakby się gdzieś zgubił w komputerach... Będziemy dwa tygodnie. Ale ja bardzo bym chciał coś zrobić wcześniej! Więc jeśli Pan czuje w sobie dalej lwie serce, proszę, niech Pan zadzwoni – albo zatelegrafuje. To już naprawdę nie może dłużej czekać.

I z góry załączam też Najlepsze Życzenia – Nadzwyczajnego Roku dla Was wszystkich... a na początek, pięknej Gwiazdki!

Jan Błoński

36.

Kraków, 15 stycznia 1992 r.

Drogi Panie Krzysztofie,

Ogromnie przejąłem się Pana listem. Może po prostu dlatego, że – choć tak osobisty w charakterze – sam jest po prostu doskonałą literaturą, w tym sensie, że przekonuje i wzrusza. Udzieliło mi się coś z tego skupionego rozdygotania, które czuć pod Pana tekstami – nie umiem wyrazić tego wrażenia inaczej niż oksymoronem. Nie wiedziałem, że Pan w swoim życiu tyle włożył w literaturę, że ona jakoś sterowała Pana postępowaniem, i że Pan sporo za to musiał zapłacić, niemal bez nadziei odzyskania. Także dużo jaśniej zobaczyłem pewne aspekty Pasji. Teraz już ona wyłoniła się na światło dzienne<sup>1</sup> – a raczej publiczne – i musi się bronić, w czym – mam nadzieję – uda się mi trochę pomóc.

Chciałbym napisać coś innego niż przed dwoma laty, przynajmniej częściowo, dlatego zajmie to jednak trochę czasu. Nie pamiętam, czy mówiłem Panu, że wzięłem urlop „naukowy” na rok, a zatem nie wykładam, tylko robię porządki w nadziei, że kiedyś pokończę, co zacząłem. A trochę się też bawimy, poleciliśmy na przykład znowu do Jerozolimy, za co naturalnie trzeba było zapłacić referatem... Ale właściwie, kiedy mamy się cieszyć światem, jeżeli nie teraz? Co do Pasji, to chyba lepiej, żeby funkcjonowała

<sup>1</sup> Krzysztof Myszkowski, Pasja według świętego Jana, Bydgoszcz 1991.



UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI  
 INSTYTUT FILOLOGII POLSKIEJ  
 31-007 Kraków, ul. Gołębia 16

Kraków, dnia 7. 4. 1992 r.  
 tel. 22-10-33 w. 334

Drogi Panie Krzysztofie,  
 Dziękuję za listy i cieszę się z  
 dobrych wiadomości. Zwłaszcza uradował mnie  
 list od Lutosławskiego – bardzo zdziwiło mnie  
 to co napisał, musiała go unieć muzyczność  
 Pana prozy – jej rytmiczna struktura – bo choć  
 jest to człowiek niezwyklej kultury, i bardzo  
 wyrefinowanej... to oczywiście wszystko  
 odbiera przez dźwięki, przez muzykę, co zresztą  
 razem z innymi echami bardzo to dobrze rokuje.  
 W gruncie rzeczy wielu ludzi ma już po uszy  
 tego bylejactwa, które przelewa się w prasie,  
 TV i księgarniach. Może więc Pana wieloletnie  
 czekanie wyjdzie jakoś na dobre.

Nie odpowiadałem, bo byliśmy we dwoje  
 je przy typniku w Wiedniu. Żyliśmy tam sobie  
 jak u Pana Boga za piecem, a jednak po powrocie  
 okazało się, że trochę słabuję na serce, trzeba  
 zażywać, nie biegać za dużo etc. Mam nadzieję,  
 że to się niedługo ułoży, zresztą nie wpływa na  
 tok życia, bo w tym roku nie mam wykładów.  
 Dostałem więc Pana trzy listy, przeprosiłem  
 się, że i tak list przyszedł mi do ręki. Przy tym  
 postanowiłem zapamiętać coś, co właściwie  
 poświęciłem zachować dla siebie, a właśnie

raczej w jednym wydaniu, gdańskie na pewno będzie miało więcej niż 500 egzemplarzy – podziwiam jednak Pana kolegów, że znaleźli na to pieniądze. W każdym razie, kiedy książka ukaże się w Gdańsku, będę potrzebować – na cele, jak się to mówi, promocyjne – ze 2-3 egzemplarze... przepraszam, że o tym piszę, ale lepiej szybciej, zanim książka dojdzie do Krakowa – jeżeli w ogóle dojdzie! – minie pewnie parę miesięcy. Tak przynajmniej jest tutaj z ambitniejszymi książkami, i nawet trudno się dziwić. Pamiętam, jak przemknął się Huelle – myślę o Dawidku – zobaczyłem go w jednej tylko księgarni; a teraz to nawet na takie książki jak wiersze Tuwima wydane w „Czytelniku” – trudno trafić.

Bydgoskie wydanie Pana książki jest przynajmniej bardzo ładne! I zaraz wydaje się – jeszcze – lepsza, skoro wydrukowana dużą czcionką i tak starannie. Gratulacje!

Ściskam serdecznie, wyobrażam sobie, że cieszy się Pan i drży o swoje dzieło, więc doradzam jeszcze trochę cierpliwości –

Jan Błoński

37.

7.4.1992

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za listy i cieszę się z dobrych wiadomości. Zwłaszcza uradował mnie list od Lutosławskiego<sup>1</sup> – bardzo zdziwiło mnie to, co napisał, musiała go urzec muzyczność Pana prozy – jej rytmiczna struktura – bo choć jest to człowiek niezwyklej kultury, i bardzo wyrefinowanej... to oczywiście wszystko odbiera przez dźwięki, przez muzykę, co zresztą zawsze powtarza. Razem z innymi echami bardzo to dobrze rokuje. W gruncie rzeczy wielu ludzi ma już po uszy tego bylejactwa, które przelewa się w prasie, TV i księgarniach. Może więc Pana wieloletnie czekanie wyjdzie jakoś na dobre.

Nie odpowiadałem, bo byliśmy we dwoje pięć tygodni w Wiedniu. Żyliśmy tam sobie jak u Pana Boga za piecem, a jednak po powrocie okazało się, że trochę słabuję na serce, trzeba zażywać, nie biegać za dużo etc. Mam nadzieję, że to się niedługo ułoży, zresztą nie wpływa na tok życia, bo w tym roku nie mam wykładów. Dostałem więc Pana trzy listy, przepro-

<sup>1</sup> Witold Lutosławski (1913-1994), kompozytor i dyrygent, autor m.in. Muzyki żałobnej, Mi-Parti, III i IV Symfonii.

Wiem, że zaraz po wydaniu listy cyfrowej  
is to zapewne Kościelskich. Myślałem, że postę-  
powałem egzemplarz nadmorskiego wydania, ale ten-  
widzę, że was leci i że muszę postać tak jak-  
by, ten bypodsłuch, i w tym celu zwrócić się do  
Pana, innego mi ukrywając! Co najmniej wy-  
my.

Z przyjemnością dowiedziałem się też o no-  
minacji Pana do nagrody Kłosa<sup>2</sup>; nie powinno  
to być przeszkodą w uzyskaniu drugiej, choć w  
zeszłym roku Jurewicz<sup>2</sup>, zdobywszy (za b. małą książeczkę) dwie, odpadł  
w Genewie. Jednak teraz muszę już nalegać na te egzemplarze, czekać do  
czerwca-lipca byłoby za długo.

Chęć też napisać o Pana książeczce, ale już raz pisałem i trochę mi to  
przeszkadza zebrać jakieś nowe spostrzeżenia. Zrobię to jednak w każdym  
razie.

Ot i wymyślenie. W kwietniu pracowałem  
trochę - jak nie rzeź - spruszenie, udało mi się nawet  
złamać ramię litery w maszynie do pisania (bardzo sta-  
rej!), dlatego musi Pan teraz cierpieć i odcyfrowywać te gryzmoły. Niech się  
Pan nie martwi o przyszłość, szkołę, etc., wszystko to się na pewno niedługo  
ułoży. Łączę życzenia Wesołych Świąt i bardzo serdeczne wyrazy -

Jan Błoński

szam, że nie odpisywałem, wydawało się, że i tak list prędko nie dojdzie.  
Przy tym postanowiłem Panu zapowiedzieć coś, co właściwie powinienem  
zachować dla siebie, a mianowicie, że zaraz po wydaniu Pasji zgłosiłem ją  
do nagrody Kościelskich.

Myślałem, że pošlę jurorom egzemplarze nadmorskiego wydania, ale teraz  
widzę, że czas leci i że muszę posłać te, jakie są, tzn. bydgoskie, i w tym  
celu zwrócić się do Pana, niczego nie ukrywając! Co niniejszym czynię.

Z przyjemnością dowiedziałem się też o nominacji Pana do nagrody  
Miłosza\*, nie powinno to być przeszkodą w uzyskaniu drugiej, choć w  
zeszłym roku Jurewicz<sup>2</sup>, zdobywszy (za b. małą książeczkę) dwie, odpadł  
w Genewie. Jednak teraz muszę już nalegać na te egzemplarze, czekać do  
czerwca-lipca byłoby za długo.

Chcę też napisać o Pana książeczce, ale już raz pisałem i trochę mi to  
przeszkadza zebrać jakieś nowe spostrzeżenia. Zrobię to jednak w każdym  
razie.

Ot i wszystko. W Wiedniu pracowałem dość - jak na siebie - sprawnie,  
udało mi się nawet złamać ramię litery w maszynie do pisania (bardzo sta-  
rej!), dlatego musi Pan teraz cierpieć i odcyfrowywać te gryzmoły. Niech się  
Pan nie martwi o przyszłość, szkołę, etc., wszystko to się na pewno niedługo  
ułoży. Łączę życzenia Wesołych Świąt i bardzo serdeczne wyrazy -

Jan Błoński

\* niech się Pan nie dziwi, jeżeli on Panu nie odpowie. Przede wszystkim  
nie ma go w Berkeley, jest w Karolinie, a przy tym rzadko już odpisuje,  
czemu się w końcu tak bardzo nie dziwię, jak się ma 81 lat, trochę żal czasu  
na głupstwa... A naprawdę i tak się nie zajmuje; jednak podobno będzie  
w maju na Litwie i kto wie, może parę chwil w Polsce.

38.

Kraków 25 maja 92

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za list i cieszę się, że mimo nawału pracy nie ustaje Pan w pisaniu  
i literackich staraniach. Napisałem już prawie całą recenzję Pana książki,  
rozmaite nowe jej aspekty ujawniły się przy obecnej lekturze... i zaniósę

<sup>2</sup> Aleksander Jurewicz (ur. 1952), pisarz, autor m.in. Lidy.

Wiem, że zaraz po wydaniu listy cyfrowej  
is to zapewne Kościelskich. Myślałem, że postę-  
powałem egzemplarz nadmorskiego wydania, ale ten-  
widzę, że was leci i że muszę postać tak jak-  
by, ten bypodsłuch, i w tym celu zwrócić się do  
Pana, innego mi ukrywając! Co najmniej wy-  
my.  
Z przyjemnością dowiedziałem się też o no-  
minacji Pana do nagrody Kłosa<sup>2</sup>; nie powinno  
to być przeszkodą w uzyskaniu drugiej, choć w  
zeszłym roku Jurewicz<sup>2</sup>, zdobywszy (za b. małą książeczkę) dwie, odpadł  
w Genewie. Jednak teraz muszę już nalegać na te egzemplarze, czekać do  
czerwca-lipca byłoby za długo.  
Chęć też napisać o Pana książeczce, ale już raz pisałem i trochę mi to  
przeszkadza zebrać jakieś nowe spostrzeżenia. Zrobię to jednak w każdym  
razie.  
Ot i wymyślenie. W kwietniu pracowałem  
trochę - jak nie rzeź - spruszenie, udało mi się nawet  
złamać ramię litery w maszynie do pisania (bardzo sta-  
rej!), dlatego musi Pan teraz cierpieć i odcyfrowywać te gryzmoły. Niech się  
Pan nie martwi o przyszłość, szkołę, etc., wszystko to się na pewno niedługo  
ułoży. Łączę życzenia Wesołych Świąt i bardzo serdeczne wyrazy -

ją do „T.P.” na pewno na początku następnego tygodnia<sup>1</sup>. Ale Panu nie przyślę, bo w gazecie przyjemniej się takie rzeczy czyta.

Sprawy religijne, o jakich Pan pisze, właśnie narzuciły mi się silniej w tej nowej lekturze. Ale trudno mi się zgodzić z Pana uwagą lekceważącą rolę opisu. Przecież prawie cała końcowa partia Pasji jest oparta właśnie na opisie, podczas gdy w pierwszej – „negatywnej” przeważa element wspomnieniowy. Przypomniało mi to zapomnianego – czy raczej mało znanego w Polsce – Huysmansa, który podobnie radził sobie z tą problematyką. Może Pana przekonam w tej recenzji. A tymczasem serdecznie pozdrawiam i mam nadzieję, że jakoś się w najbliższych miesiącach zobaczymy –

Jan Błoński

PS. Przy tym – Pana książka jest bardzo osobliwa, to jest jej atut, ale też może budzić opory, po prostu ludzie są do takich tekstów nie przyzwyczajeni... Więc konieczna jest cierpliwość.

39.

Kraków, 25 lipca 92

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za list, a właściwie listy, w których czuję u Pana przyptyw twórczej energii. Bardzo ładne było Pana streszczenie Funebre. Rozumiem je jako quasi-rozszerzenie stylu czy „sposobu” Pasji na całe życie, na cały los człowieka. Ma Pan na pewno rację porywając się już teraz na takie zadanie – bo przecież nie jest Pan początkującym autorem – ogromnie jednak ważne jest w tym, aby się nie powtórzyć, nie w sensie banalnym, ale w takim oto: inna być musi architektura dużej książki, inny wachlarz środków, użytych w budowaniu monologu. Chyba należałoby ten wachlarz znacznie rozszerzyć, zmieniać tonacje czy stylizacje, obojętnie jak je nazwać, tak, aby monolog nabrał, że tak powiem, symfoniczności. Po Pana streszczeniu – nawrotach, etc. – domyślam się, że jest Pan tego świadom, ale wszystko to ogromnie trudne, bo zmiana skali – tak w literaturze jak architekturze – nie może nie wpływać na zmianę formy (tutaj podawczej).

<sup>1</sup> Jan Błoński, W Toruniu, w katedrze, „Tygodnik Powszechny” 1992 nr 27.

Ale cóż to ja Panu opowiadam, skoro Pan to doskonale wie i dlatego się tak niepokoi...

Spotkałem już dwie osoby, którym się Pasja podobała, oraz jedną, której nie bardzo. Jak na powolność ogólną oraz kiepskie rozpowszechnianie, nie jest to najgorzej! Przypuszczam, że książka jest dostępniejsza w Pana okolicy, zresztą dlatego specjalnie wychwalałem Pana Pomorze, żeby coś ze swoich szlacheckich inicjatyw tamtejsze władze dostały (o ile to do nich dotrze...). Niestety, wydania gdańskiego<sup>1</sup> nigdzie tutaj nie widziałem, to wydawnictwo jest quasi-nieistniejące tutaj, podobnie jak krakowskie u Was, zapewne... To bardzo spowalnia oddziaływanie książek.

Mamy trochę kłopotów z domem, wakacjami itd., nie wiem jeszcze dokładnie, kiedy pojedziemy nad morze. Ale jeżeli pojedziemy, postaram się do Pana odezwać. Ściskam serdecznie –

Jan Błoński

40.

Kraków, dnia 22 sierpnia 1992

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za list, który znalazłem po powrocie znad morza. Byliśmy tam zresztą stosunkowo niedługo, jednak pożytecznie, bo przeszliśmy spokojnie największe upały... Nie dziwię się, że nie wychodziło Panu pisanie. Zmartwiłem się jednak Pana zdrowiem, nadciśnienie istotnie nie jest duże, ale owo „100” wskazuje na jakąś dysfunkcję, co wiem podsłuchując lekarskiego gadania; niech Pan tego nie lekceważy, chociaż nic się Panu teraz nie stanie, rzecz powinna zostać wyświetlona! A przy dzisiejszych technikach nie powinno to być trudne. W ogóle należałoby się Panu trochę mniej roboty i więcej swobody... Szkolne obowiązki – jak to odczuwam – zamulają wyobraźnię, także to odczuwam dzisiaj, chociaż nie można ani uniwersytetu porównać z liceum, ani pracy krytycznej, interpretacyjnej z powieściową.

W mojej recenzji specjalnie wychwalałem pomorskie władze, uważając, że ich dobra wola powinna zostać wynagrodzona... a że WMorskie może być niezadowolone, trudno, nie bardzo lojalnie oni wobec Pana postępują.

<sup>1</sup> Krzysztof Myszkowski, Pasja według świętego Jana, Gdańsk 1992.

Książkę wydali doprawdy paskudnie i za grosz nie dbają o dystrybucję. A przecież także dostali subwencję! To, że nie wymieniałem drugiego – gdańskiego – wydania jest przypadkiem niezawinionym przeze mnie: informację umieściłem w przypisie, dlaczego został skrócony czy opuszczony nie wiem, pewnie korektor nie mógł zrozumieć, dlaczego jedna książka ma dwóch wydawców i skreślił. Spotkałem natomiast parę osób, które ją czytały. Podobała się w zasadzie Huellemu, uważał ją za znakomitą stylistycznie, krzywił trochę na – jakby to powiedzieć – „subiektywność”, „literackość”, szło mu w gruncie rzeczy o nieobecność świata zewnętrznego, o to, że nie ma on autonomii, zamknięty prawie cały w głowie mówiącego, w monologu. Tak przynajmniej rozumiałem. Ale to oczywiście wynika z twórczego założenia... a że on pisze inaczej, to oczywiste. W każdym razie uważał książkę za cenną. Językową, stylistyczną itd. sprawność, robotę literacką podnosiło także dwu czy trzech moich kolegów uniwersyteckich. Działa to trochę w opozycji do berezoidów, których doprawdy wszyscy mają po uszy... Nie jest to tymczasem wiele pociech, ale musi Pan pamiętać, że opinia krytyczna jest całkiem rozproszona, nie ma „środka”, grupki ludzi, którzy by od razu reagowali i sprzyjali tak powstawaniu wiążących opinii. To było i przed wojną i długo po wojnie – nawet jak nie bardzo można było napisać, to fama niosła się bardzo prędko przez środowisko. Dzisiaj czytam np. w „Gazecie Wyborczej” pochwały albo nagany, których nie mogę ani sprawdzić (bo nie ma dostępu do tekstu), ani którym nie bardzo mogę zaufać. Musi niestety minąć lat parę, aby się to jakoś ukształciło, bo przecież – mimo TV i masowej powieści – opinia literacka działa mniej lub więcej sprawnie na Zachodzie.

Z Pana wynurzeń o Funebre zrozumiałem, że świat zewnętrzny – spotkania bohatera z ludźmi etc. – będzie bardziej rozbudowany, choć relacjonowany tak jak w Pasji. Myślę, że to konieczne, nie powinno zaś sprawiać trudności i, przecież odpowiednia partia w Pasji (romans) jest bardzo dobrze zrobiona. Podobieństwo założenia (miasto, wędrówka etc.) każe jakby podkreślać inne możliwości Pana pióra. Jako powieściopisarz musi Pan niejako walczyć ze swymi przyrodzonymi talentami, które są jednak mocno poetyckie... albo muzyczne. Ciekaw jestem, czy ta muzyczność jest u Pana literacka, przede wszystkim objawiająca się w słowie, czy też jest Pan, jak się to kiedyś mówiło, melomanem? Ale to pytanie może nie na miejscu i w końcu nie tak ważne.

Proszę też pamiętać, że Pana książka wymaga od czytelnika wysiłku – dla wielu znacznego wysiłku – i to trzeba jakoś okupywać. Ale po co ja to mówię, Pan to wie najlepiej.

We wrześniu będę trochę podróżować, jak Pan Bóg da, polecę najpierw do Sztokholmu, a potem do Paryża, a raczej do Nancy. A potem też muszę wrócić do szkoły, na co nie mam wielkiej ochoty... inna rzecz, że mi kolczy już – jako seniorowi... – sporo odpuszczają, więc jakoś sobie chyba poradzę.

Łączę najlepsze wyrazy dla Pana i całej rodziny!

Jan Błoński

41.

Kraków, 27 października 1992

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za oba piękne listy i przepraszam, że nie odpisałem wcześniej, ale trudno to było, jako że odbywałem jesienne podróże na saksy tzn. byłem w Sztokholmie i w Nancy, coś tam głosząc i udając, a potem jeszcze w Paryżu u syna – jednego z trzech, ale dalekiego. Bardzo te dziesięć dni były przyjemne, chodziliśmy sobie do małych muzeów i dyskretnych monumentów, nie przemęczając się nawet duchowo, prawdziwe jesienne – w obu znaczeniach – rozkosze. Teraz znowu muszę udawać, że coś umiem i kogoś uczyć. Ale to udawanie zajmuje tyle czasu! Tracę już nadzieję, czy coś uda mi się jeszcze w życiu skończyć naprawdę.

Ale nie jest to już takie ważne. Pan przeżywa swe udręki literackie furioso i tak na pewno musi być, choć nie byłoby dobrze, także dla Pana książek, aby się Pan nadmiernie uczuciowo zużył w tym napięciu. Prawdę mówiąc, nie można na to nic poradzić, można to tylko odcierpieć. Musi się przejść przez jakieś quantum udręk – dla każdego właściwe – aby dotrzeć do momentu, kiedy już naprawdę wiadomo, że dalej nie zajdziemy. Ale nie musi się Pan gniewać na swoich oponentów czy konkurentów. Każdy definiuje się przeciwko kolegom. Huelle nie ma racji, jeśli rozumie „nieobecność świata zewnętrznego” jako brak świata przedmiotowego; ale chyba ma, jeżeli ta nieobecność będzie rozumiana jako brak autonomii. Pana świat zewnętrzny jest zorientowany do wewnętrznego, nie ma w tym nic złego, tak jest u bardzo wielu pisarzy, zwłaszcza w naszych czasach. Ale są też tacy, dla których osobność, autonomia, może i dziwność rzeczy (świata zewnętrznego)



stanowią przedmiot zadziwienia i zaciekawienia. Właśnie to, że nie możemy tego świata związać, zorientować względem naszego wewnętrznego, podmiotowego życia. Rzeczy mogą być obecne, jak Pan powiada, lirycznie, wtedy nawet silniej na nas wpływają (albo pobudzają w nas coś subiektywnego), tak więc trzeba by chyba rozróżnić między siłą a modalnością świata przedmiotowego w powieści. W każdym razie niech się Pan nie przejmie tym, że budzi Pan zainteresowanie, a nawet zaniepokojenie, przeciwnie, to raczej znak dobry. Huelle słyszałem, jest zwierzęciem bardzo literackim, ogromnie się przejmie wszystkim, co może mu „zagrozić”, co mogłoby przyćmić jego sukces, jego szczególność. Trudno się dziwić, tacy już są pisarze, ale w gruncie rzeczy im bardziej Pan – czy ktokolwiek inny – dokucza swą obecnością, swoim istnieniem, swoim kolegom, tym lepiej to o Panu świadczy. Trochę to przewrotnie czy niesympatycznie powiedziane, ale proszę mi wybaczyć, w końcu ja patrzę trochę z boku, zazdrość może trochę pisarzom, twórcom, ale jeśli z czego mam czerpać siłę czy po prostu poczucie sensu swej działalności, to stąd właśnie, że różnorodność budzi we mnie zaciekawienie i nawet sympatię. Byłoby na pewno lepiej być słoniem, ale będąc motylkiem (sic!) muszę czerpać pociechę z motylkowatości.

Właśnie dlatego mogę z całą siłą potwierdzić, że ma Pan bezwzględnie słuszną, trzymając się „liryki i muzyki”. Zwłaszcza, że obie kojarzą się z powagą i olśnieniem, a nie z sentymentalnymi igraszkami. To już jest Pana droga, i dopóki nie zaciekawi Pana inna, powinien Pan z całą energią iść w tym przez siebie obranym kierunku – mimo całego ryzyka, jakie się z tym wiąże. Muzyka jest pewnie bardziej wkorzeniona w człowieka niż słowo, a tym bardziej działanie, jest samym człowiekiem, wyrasta jakby bezpośrednio z ciała, chociaż zarazem jest najbardziej „nierealna”, odczuwamy ją jako nieprzedmiotową. Wielu poetów słyszy najpierw zaśpiew, inkantację, „melodię” zdania, a potem dopiero przychodzą słowa. Myślę, że coś podobnego jest z Panem. Rozumie Pan, dlaczego muzyka tak ściśle łączyła się z liturgią, z modlitwą, jest tym „ofiarowaniem”, „darem”, o którym mówił Mann. Także jej słuchanie jest zagadką. Mówił mi o tym kiedyś ciekawie Mycielski<sup>1</sup> (ten krytyk, hrabia i kompozytor, człowiek bardzo mądry, choć może twórca mniejszej miary). Twierdził on, że wrażliwość na muzykę nie musi nawet łączyć się bezpośrednio z wybitnym słuchem muzycznym, że można nie trafiać w nuty, a doskonale muzykę przeżywać

<sup>1</sup> Zygmunt Mycielski (1907–1987), kompozytor, pisarz, krytyk muzyczny, autor m.in. Dziennika.

i rozumieć. Przypominał, jak wielu zawodowych muzyków, wirtuozów, płytko i powierzchownie rozumie muzykę, ucieka od wielkich dzieł itd. Pan też stara się pracować w tej głębszej przestrzeni zakorzenienia i ekspresji, wyprowadzać swoje słowa z tej zagadkowej muzyczno-cielesno-modlitewnej strefy. Tak przynajmniej rozumiem Pana słowa, na pewno trochę krzywo, ale tymczasem nie ma na to pewnie rady.

Jeszcze raz dziękuję za pamięć i listy, łączę też ukłony dla Pana Matki i pozdrowienia dla całej rodziny, z jej Głową (udręczoną) na czele!

Jan Błoński

42.

[telegram, 19.11.1992]

gratulujemy nagrody kościelskich  
błońscy

43.

Kraków, dnia 27 listopada 1992 r.

Drogi Panie Krzysztofie,

Posłałem Panu telegramę, winszując i podziwiając, a teraz parę wyjaśnień i niedyskrecji. Nie mogłem wcześniej, bo wszyscy chyba wpadli na myśl, że pod koniec listopada nie ma żadnych narad, sesji, uroczystości... i skutek był taki, że miałem w tym tygodniu sesję uczoną, dwa posiedzenia w Warszawie, doktorat i naradę w Krakowie. Ale do rzeczy: jest Pan jedynym tegorocznym laureatem, zyskał Pan wszystkie głosy bez jednego, to znaczy 9 na 10 (ale niech Pan to zachowa dla siebie); dla zaspokojenia naturalnej ciekawości posyłam Panu – ale to już naprawdę w sekrecie!! – pisemną opinię jednego z jurorów, która Panu może coś dać; jest to w każdym razie świadectwo odbioru, jak powiadają poloniści. W tym roku nagroda wynosi 5000 franków szwajcarskich. Czek dostanie Pan na przyjęciu, które zgodził się urządzać ambasador szwajcarski, p. Gaechter, tym razem w Warszawie, na ul. Foksał, w salach MSZ-etu, w sobotę 23 stycznia. Dostanie Pan oczywiście zaproszenie z ambasady. Byłoby całkiem naturalne, gdyby Pan przyszedł tam z Żoną, Matką albo też z bliskimi przyjaciółmi; gdyby było ich więcej, chętnie spowoduję przysłanie zaproszenia. Przyszło mi do głowy, że byłoby dobrze zaprosić wydawcę, a raczej wydaw-

ców, a może też fundatorów, bardzo proszę, niech się Pan nad tym zastanowi i ewentualnie poda mi nazwiska i adresy. Niech Pan przywiezie parę egzemplarzy, bo będą o to Pana nagabywać, przecież ta książka w ogóle chyba nie dotarła do Warszawy. Gdyby nie wszystko było sprzedane, wydawca mógłby z tej okazji rzucić tę resztę do księgarń warszawskich i może krakowskich... Co do prasy etc., to ona się rozkręca bardzo powoli, jak mogłem się już przekonać, wiadomości o nagrodzie Fundacja rozsyła zawsze skrupulatnie, ale zanim to z Genewy dojdzie, zanim sobie skojarzą... więcej ech było zwykle po wręczeniu. Co jeszcze? Jako jedyny laureat, będzie Pan pewnie musiał podziękować, ale parę zdań wystarczy. Samo przyjęcie jest – jak wnoszę z dwu poprzednich, które miały miejsce w Polsce – bardzo rozluźnione, literatki chętnie się jednak zbiegają, bo teraz bardzo mało takich literackich uroczystości... pozna więc Pan pewnie trochę ludzi. Ale ta tradycja jest za krótka, aby coś przewidywać... Aha, jeszcze jedno. Oprócz nagrody Pana, mamy jeszcze jedną dawno przyznaną i przez lata nieodbieraną (dziwne ale prawdziwe), a także nagrodę okazjonalną, jednorazową, za zasługi literackie polsko-francuskie... ufundowaną przez p. Morawskiego<sup>1</sup>, który prosił jury Kościelskich o znalezienie laureata. Tak więc będąc jedynym, całkiem jedynym Pan nie będzie, co oczywiście może tylko ułatwić Panu sytuację. Uroczystość miała zeszłym razem miejsce o 17 albo 18 – już nie pamiętam – tak, że musi Pan liczyć się z koniecznością nocowania w Warszawie. Jeszcze jedno: rozsyłamy ok. 150 zaproszeń, więc jednak będzie tam ok. 60–70 osób, jak przypuszczam.

Oto przyjemności – albo męki – jakie Pana czekają. Ogromnie się cieszę, że przekonał Pan do swego pisania tylu ludzi... i to nieraz odległych od Pana wrażliwości, stylistyki itp. I może będzie Pan mógł teraz – przez czas jakiś – pisać trochę spokojniej, może więcej? Jeszcze raz bardzo serdecznie Panu winszuję, życzę, ściskam i pozdrawiam –

Jan Błoński

44.

Kraków, 20.2.93

Drogi Panie Krzysztofie,

Dostałem oba listy i bardzo za nie dziękuję, choć z opóźnieniem: po znośniejszym okresie, gdzie to i tamto udało mi się napisać, wpadłem znowu

<sup>1</sup> Kajetan Morawski (1892–1973), dyplomata, polityk i publicysta; nagrodę w 1992 roku otrzymała Aleksandra Olędzka-Frybesowa.

w wir posiedzeń, wykładów i obowiązków, który każe mi tylko już marzyć (oczywiście złudnie) o emeryturze... Boję się, że miał Pan kłopoty z tym czekaniem, okazało się, że banki nasze cofają się, zamiast rozwijać. Inna rzecz, że zalew oszustw każe im dmuchać na zimne... Myślę jednak, że nie ma Pan wątpliwości, co do ostatecznej wypłaty... A co do innych spraw: niech się Pan nie przejmuję błahymi sprawami, wszystko to drobne zawirowania. Istotne jest tylko to, że zdobył Pan sobie także w tym Dwumieście pewną pozycję, ma już Pan wydawcę (tego albo innego) i spokój na czas jakiś. Co do tych spotkań literackich, może istotnie mógłbym przyjechać na jesieni, w październiku–listopadzie? O ile mnie te zajęcia (których nie mam odwagi lub raczej charakteru odrzucić), całkiem nie zjedzą. Dziękuję w każdym razie za inicjatywę i zaproszenie.

Ach, jeszcze jedno: jak właściwie rozeszła się Pana książka (w wydaniu tańszym, gdańskim)? Może jeszcze są w Gdańsku egzemplarze, „oni” na ogół lekceważą takie wydawnictwa, nie mogąc sprzedać dziesięciu tysięcy, nie rozprawiają niczego (albo prawie niczego). Ja bym w każdym razie miał na nią czytelników – wypłacalnych!!! Absolutnie nie chcę, aby mi Pan znowu coś darował. Ale może Wyd. Morskie mogłoby przysłać np. 10 egz. Za zaliczeniem pocztowym, nieraz mnie o Pana powieść pytają i gotowi płacić, a tu nic!

Ściskam serdecznie –

Jan Błoński

45.

Kraków, 6.3.93

Drogi Panie Krzysztofie

„Rozbiór” Pilchowych „Rozkoszy”<sup>1</sup> był tylko żartem, który został wydrukowany w ostatnim numerze „Tygodnika”, jak się Pan zapewne sam zorientował. Można by to oczywiście przełożyć na terminy literaturoznawcze, pokazujące, że to „proza złej wiary”, tak ustawiona, aby czytelnik dośpiewał sobie to, co należy. Stylistyczna maniera Pilcha jest na tyle silna, że cywilizowany czytelnik nie może się pomylić.

Cieszę się, że ma Pan powodzenie, jeżeli chodzi o starania o „Kwartalnik”. Ale bardzo nalegałbym, aby Pan nie wydawał sam Funebre. Toż to od razu

<sup>1</sup> Jan Błoński, Sztuka gadania, „Tygodnik Powszechny” 1993 nr 21.

Urahm 6.3.93

Drogi Laimė Kuznetsove,

"Rokhor" Pilchovych "Rozhovny" byl tyžho žartem, hčny zostal vydmknvaný v otstavim mimenie 'Vypružike', jak tyž sam napíše sam vřentoval. Měm by to oapřisluē puebrny ne tenimy lit-raturyžnawore, pōharužy, zē to 'pore stej wimy', tak ustanowio, aly wyteluch dōpře-wal zōhē to co walemy. Phylisohyowa mawie-ra Pilcha jst ne tyle silua, zē cywizrowe-ny wyteluch mē mōrē nř ponuylc'.

Wimē nř, zē mo sam pōwřemē jeli-dwře o stanowio o 'Kwastaluch'. Ale bawlo walegatyžny, aly sam mē wyřawal zawu Funebre. Jwi to wř rann obuwje wawř hny-tyž! A wřiwke byhē i tak dōwtatē-wo trawdne. Co jnawep pueruawny' wny-kanē puewiole me wřpawcē publikačy w jny' istnawepnyu wyřawurowatē. Mōwē to hny' trawdujny, ale nř dnewřiwlowe' (pawřisowro) optaci.

Wymwēw mē nř pōdōbal, talyē mōwys bēcēwōwřawuřicō... i ciwep nř, zē Mawōw-ŝo wawwāny. Do wam 4 dnyhē wawpny sam pary idaw, tw 2-3 stōny, ale ne to jat jnawē wra.

Do Wymwōny (i Womwio) mē nř dny, ale abrowluchē mē wřew, wēly i jat by-tyly to wōwřiwē. "Do Fiharawuřicō" to dnyhē wē wawny do wēllwē, zali? Jnawē tam pnyžhē wawjnyly 20-30 ořōb; nie bawlo tyž wřew, o wnyu wawřnyu mōwřic, mōwřel-by wē sam pōwřelc'. Wōwřelē wny nř abro-lyhē pnyřawōny obwōwřawuřic, o hōwryh sam jny mē wřew wy 25 obwōwřawuřic wy-wē? Zawpnyu obwōwřic, zē mē wōwř cal-wēw ne wēhē hnyy, puewē wnyřhny dōwep, zē co pary pōwřu wawwaw "pōwē" jnawny. Wōwřelē wny obwōwřawc' co nř jē wē pōwem, i tak tw i hnyu wnyřpawuřic'.

Jawřham wēwēwē obwōwřic i tw-ny wawřepne wnyřny wē waly; Row-ny-

J. B. B. B.

obniża uwagę krytyki! A książka będzie i tak dostatecznie trudna. Co innego przeznaczyć uzyskane pieniądze na wsparcie publikacji w już istniejącym wydawnictwie. Może to być trudniejsze, ale się dziesięciokroć (prestżowo) opłaci.

Wywiad mnie się podobał, także swoją bezceremonialnością... i cieszę się, że Mamoń go zauważył. Do nr. 4 chętnie napiszę Panu parę zdań, tzn. 2–3 strony, ale na to jest jeszcze czas.

Do Bydgoszczy (i Torunia) rwie się dusza, ale absolutnie nie wiem, kiedy i jak byłoby to możliwe. „Do Filharmonii”, to chyba nie znaczy do wielkiej sali? Przecież tam przyjdzie najwyżej 20–40 osób, nie bardzo też wiem, o czym miałbym mówić, musiałby mi Pan poradzić. W ogóle czuję się absolutnie przywalony obowiązkami, o których sam już nie wiem, czy są obowiązkami, czy nie?

Zaczynam odczuwać, że nie mogę całkiem na siebie liczyć, przede wszystkim dlatego, że co parę godzin zmieniam „pole” pracy. Wolę więc odkładać, co się da na potem, i tak też z tymi występami.

Ściskam serdecznie dłoń i łączę najlepsze wyrazy dla całej Rodziny –

Jan Błoński

46.

Kraków 23 marca 93

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za książki i przepraszam, że się wcześniej nie odezwałem. Najpierw roboty za dużo – a teraz pan doktor kazał mi się leczyć. Nie jest to nic wielkiego, ale na parę tygodni pomniejsza moje możliwości. Cieszę się, że jest już Pan – na jakże krótko – posiadaczem i mam nadzieję, że pozwoli to Panu mniej pracować (w szkole) i skupić się na literaturze. Co do wydawnictwa, to jak czytałem ostatnio, to ono po prostu zbankrutowało. Adres podałem, może to kogoś zaciekawia, a książki rozdałem wśród kolegów, co robią w tych sprawach powieściowych... to się zawsze opłaci, będą wiedzieli, co Pan właściwie napisał. To może się w przyszłości przydać. Bawcie się dobrze z Grzegorzem<sup>1</sup>, a tymczasem ściskam serdecznie –

Jan Błoński

<sup>1</sup> Grzegorzem Musiałem.

47.

9.4.93

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za życzenia i wieści, proszę przyjąć i moje, chociaż spóźnione. Bardzo się ucieszyłem, że Pasja przebiła się wreszcie, jeżeli nie do licznych czytelników, to na pewno do literackiego środowiska. Bo dziesięć recenzji to przy dzisiejszym rozproszeniu literackiego życia – moim zdaniem – jest sporo.

Niech więc Pan spokojnie pisze Funebre i – mam nadzieję – odpuści sobie przynajmniej część szkolnych obowiązków!

Co do mnie, to od dwu tygodni tkwię w szpitalu, ale spieszę zawiadomić, że choroba banalna, operacja całkowicie położyła jej kres, a w łóżku (albo jego okolicy) trzymają mnie czysto techniczne okoliczności. Nie zasługuję więc nawet na okolicznościowe pożałowania!

Ściskam serdecznie dłoń i do przeczytania, usłyszenia, zobaczenia!

Jan Błoński

48.

Kraków [maj] 1993

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za list i miłe i życzliwe słowa, które dobrze usłyszałem. Teraz już właściwie całkiem wyzdrowiałem, przynajmniej coś można w człowieku radykalnie naprawić! I nawet pod ogólnym względem lepiej się czuję. Mam tylko – jak łatwo się domyśleć – mnóstwo zaległych zajęć! Jakoś jednak wypełniam te codzienne kratki.

I Pan pewnie także, jak się domyślam. Ciekaw jestem, czy spotkałby się Pan z taką uwagą, chociaż Pan o nią nie prosił i może będzie nietaktowna – pisze Pan bardzo ładne i osobiste (stylistycznie) listy, które sporo dzieli – właśnie pod względem stylistycznym – od bardziej hieratycznego, napiętego – a niektórzy powiedzą wysilonego tonu powieści i opowiadań. Przyszło mi nagle do głowy, że może ta różnica jest za duża, że może Pana sposób opowiadania zyskałby na pewnym nie powiem rozluźnieniu, ile większej różnorodności, płynności, swobodzie mówienia. Czy nie mógłby Pan sobie pozwolić „opowiadać swobodniej”? Może ten literacki (beckettowski) gorset jest zbyt sztywny, a Pan się go trzyma, drżąc, że zejdzie Pan w niskie strefy literatury? Przyszło mi to do głowy czytając Pana list, gdzie w głębi-

szym sensie mówi Pan tak samo jak w powieści, ale jakby swobodniej, bez wysiłku czy raczej jakiegoś lęku, że spadnie Pan z literackiego rumaka? Co Pan o tym myśli? Jeżeli mi Pan napisze, że gadam głupstwa, wcale się nie obrażę! Proszę podrowić Grzegorza<sup>1</sup>!

A może macie jakichś kandydatów do Kościelskich? Ściskam serdecznie i pozdrawiam.

Jan Błoński

49.

Kraków, dnia 6 lipca 1993 r.

Drogi Panie Krzysztofie,

Bardzo dziękuję za listy i cierpliwość, bo pisze Pan nie czekając na odpowiedź, a ja zwlekam. Dopiero dzisiaj zrzuciłem z siebie ostatnie obowiązki uniwersyteckie, wiele rzeczy robię też wolniej niż dawniej... Ale zamiast narzekać przechodzę do listów Pana, prosząc – raz jeszcze – o wybaczenie spóźnienia. Czy Miazga jest naprawdę post-medernistyczna<sup>1</sup>? Właściwie nawiązuje już do tych eksperymentów post-joyce'owskich, które robiono we Francji w latach 50–60, a przede wszystkim do tych wszystkich „powieści o pisaniu powieści”, jakie namnożyły się po Prouście i André Gide<sup>2</sup> (jak to odmienić?). Ale nie neguję, że chwyt został, że tak pewnie, napelniony nową – społeczno-polityczną – treścią, co jest odważne i oryginalne. Tylko że – moim zdaniem – Andrzejewski nie zrobił do końca, radykalnie, tego co sobie zamierzył, a nie zrobił, bo musiałby popatrzeć krytycznie także na Nagórskiego<sup>3</sup>, na literackie środowisko, tego zaś nie mógł, czy nie chciał. Tak w gruncie rzeczy on znowu skarży się i jękoli, jak nie powiem wszyscy, ale wielu w Polsce. „Wybili, panie, wybili...” Oczywiście, że Nagórski to nie jest Andrzejewski, ale to jest – ja przynajmniej tak to odbieram – Andrzejewski, jakim Andrzejewski chciałby być, tragiczny i skrzywdzony. Jak on siebie widzi, czy chciałby widzieć. Przecież to Pan sam pisze, że Nagórskiego A. nie ośmieszył do końca. A powinien był, albo ośmieszyć albo pokazać jego słabość, konformizm, pretensje etc. – nie dlatego, że taki był on sam albo literackie środowisko, ale dlatego, że tego wymaga

<sup>1</sup> Grzegorza Musiała.

<sup>1</sup> Jan Błoński, Kiedy pęknięte zwierciadło mówi prawdę. Andrzejewski i „Miazga”, „Tygodnik Powszechny” 1993 nr 24.

<sup>2</sup> André Gide (1869–1951), pisarz, autor m.in. Immoralisty, Lochów Watykanu, Falszerzy, Dzienników.

<sup>3</sup> Adam Nagórski – jedna z głównych postaci Miazgi, interpretowana jako porte parole autora.

epicki dystans, epicka sprawiedliwość, że takie są jakby wymogi gatunku. Przecież nie byłby wtedy „gorszy” moralnie, byłby tylko „prawdziwszy”, zahaczony z innej strony, wielowymiarowy. Ja bym go bardziej, a nie mniej szanował. Inaczej mówiąc, jestem zdania, że ta – jak Pan mówi – „przedziwna gra, którą wiódł z samym sobą”, była jakoś skażona, samozachwytem czy nastawieniem na ego swoje, co jest zresztą pokusą i przekleństwem wszystkich prawie artystów, a więc pisarzy także. Mnie się w Pana prozie to podobało, że nie oszczędzał Pan na ogół bohatera-narratora. Chociaż w samoponizaniu też jest czy bywa niebezpieczeństwo...

Jak tak spojrzeć na Pilcha<sup>4</sup>, to ocena będzie łaskawsza niż Pańska. Bohater jest ośmieszony nie tylko jako bohater, ale także w swej „pisarskiej” roli, w swoich słownych maniach. Ale przy tym zabawny, trochę filuterny. W każdym razie nie jest jednoznaczny, pokazany został pod kilkoma kątami i raczej bez taryfy ulgowej. W końcu wychodzi na to, że żaden z niego przeklęty artysta ani zmarnowany uczonek, a tym mniej bojownik, tylko przeciętna figura, zwykły zjadacz chleba, tyle że umie się podpierać językiem, broni się słowami przed światem, kobietami, rodzicami, nawet przed wódką... nie każe się ani kochać ani podziwiać, jak tyłu pisarskich sobowtórów. Jeśli coś tam jest niebezpiecznego, to może popisywanie się słowem, rodzaj literackiej minoderii. Ale komizm przeważa i to tłumaczy powodzenie tej książki. Komizm jest przecież bardzo ważny w powieści, prawda?

Ale Pan szuka raczej właściwego słowa, bardziej Pan ufa jego zbawczym mocom. Dlatego Pan uzwięzła, pokłada nadzieję w doskonałej formule, w doskonałym zdaniu, które jakoś zwielokrotni, opromieni rzeczywistość. Tak jest, czy bywa często u Becketta, który także jednak może robić wrażenie gładzącego dziadka, aż nagle z tego gładzenia wyglądają rozmaite metafizyczne czy moralistyczne wzniosłości, oczywiście wyglądają, nie zostają nigdy całkiem jasno przywołane. Nie ma w tym nic złego, przeciwnie, ale musi Pan pamiętać, że Pana celem nie jest ta skalna półeczka, na której siedzą B. czy K.<sup>5</sup>, ale inna, obok – może trochę podobna, ale jednak inna. Czytałem Pana opowiadanie w „Tytule”<sup>6</sup>, nie wiem, w jakim stosunku ten tekst pozostaje w stosunku do tego, co Pan obecnie pisze. Mam wrażenie, że w tym „luźniejszym” rejestrze, który tam się, też pojawia, jest Pan mniej zależny od B. Co do opowiedzianej historii – jakby w tle – to ona podobna do Pasji, więc może to opowiadanie

<sup>4</sup> Jerzy Pilch, Spis cudzołożnic. Proza podróżna, Londyn 1993.

<sup>5</sup> Beckett i Kafka; Franz Kafka (1883–1924), pisarz, autor m.in. Procesu, Wyroku, Przemiany.

<sup>6</sup> Krzysztof Myszkowski, Kozi róg, „Tytuł” 1993 nr 1 (9).

wtedy powstało? Ciekaw byłbym jak to jest. Sam tekst, przynajmniej, podobał mi się, ale bardziej wtedy, kiedy mniej podobny do Pasji, która może była zbyt, jakby powiedział Gombrowicz natężona. Może byłoby dobrze, gdyby się Pan bardziej rozglądał po ludziach, nie tylko przewiercał serce swemu bohaterowi? W końcu u B. jest dużo takich „rodzajowych” partii, więc na pewno by Pana rozgrzeszył. Ale to wszystko piszę z niepewnością, za trudne to już dla mnie rejon!... Można by też powiedzieć inaczej: niebezpieczeństwem jest nadmierna literackość, jakoś by ją trzeba poskromić, neutralizować, niekoniecznie na sposób Pilcha, który Panu nie odpowiada, ale na jakiś inny. Jednak pisarz rozwija się zawsze przeciw swoim wzorom, nawet największym, i Pan też musi dojść do momentu, kiedy zwróci się Pan przeciwko B., jednocześnie go podziwiając.

Ściskam Pana serdecznie –

Jan Błoński

50.

Kraków 27 lipca 93

Drogi Panie Krzysztofie,

Jak leci Funebre? Mam nadzieję, że na skrzydłach. Ale wiem także, że to się łatwo mówi. Sam wiem, jak trudno coś nowego napisać, a przecież ja nie jestem artysta, a poza tym mam mnóstwo starych szkiców, brulionów, wykładów – starczy pewnie do śmierci. Wracając do spraw poważnych: jest dla mnie ciekawą – i nawet trochę niepojętą – rzeczą, jak się w Polsce mógł urodzić i ukształtować taki pisarz jak Pan (tzn. taki „gatunek” pisarza). Bo Pan jest właśnie artysta prozy, poeta prozy, powiedziałbym, we flaubertowskim sensie: tzn. Pana interesuje samo piękno słownego-powieściowego, prozaicznego – ukształtowania, tam jest dla Pana muzyka, wzniosłość, piękno etc. Mniej Pana zajmuje tzw. problematyka (choć oczywiście jest istotna, umożliwia najwyższy cel), patrzy Pan na książkę jak na piękny przedmiot, który trzeba ukształtować, wykuć, wylizać w szczegółach itp. Czy taki był także Andrzejewski? Nie bardzo wiem i nie mogę sobie uprzytomnić, chociaż pewne formalne piękno jego utworów zdradza zdążanie w tym kierunku. Flaubert mówił o rytmie, spadkach okresów, o równowadze, piękności, itp. potem to nawet analizowano bardzo starannie i pomysłowo, ale nie da się chyba tak tego zrobić jak z poezją. Ja uważam, że takim artystą był też Gombrowicz, który wykształcił się nie

tylko na Pasku<sup>1</sup> i Rzewuskim<sup>2</sup> (czy Pan lubuje się w Rzewuskim?), ale po prostu na Sienkiewiczu<sup>3</sup> (dlatego na niego napadał, oskarżał go – z zażdrości – o „łatwą urodę”, tymczasem u Sienkiewicza myśli bywają łatwe, ale nie uroda zdania). Ze zdumioną radością odnalazłem w Pana liście pochwałę Sienkiewicza jako prozaika, jako mistrza języka, języka prozy. Nawet głupie, zdawałoby się, zdania Sienkiewicza („Rok 1647 był to dziwny rok...”) – mają jakiś zdumiewający, zniewalający urok, który jest właściwie nie całkiem poważny, z lekka – leciutka – parodystyczny już... i Gombrowicz poszedł tą drogą. Sienkiewicz był cały naładowany polskim pamiętnikarstwem i publicystyką pierwszej połowy XIX wieku, kiedy to – moim zdaniem – najlepiej pisano po polsku, bo w pamięci była jeszcze łacina, choćby szkolna, i dosadność sarmacka, która jest wielkim skarbem, przez swą konkretność, wyrazistość, wreszcie clarté oświeceniowa (francuski był ich drugim po łacinie językiem). Wszystko to dostosował S. do prozy drugiej połowy wieku, wyszło coś niesłychanie efektownego, wciągającego. Niech Pan przeczyta pożar Rzymu w Quo vadis, książce skądinąd dziecinnej. Albo sceny u Nerona! W gruncie rzeczy należałoby to jakoś ludziom uwidocznic.

Ale wracam do Pana. Cieszę się, że Pan trafił się jako taki dziwny poeta od prozy, i to – muszę powiedzieć – było zauważone przez Pana niezbyt fachowych, ale mocno „przedwojennych” jurorów. Jednak i Pan przynajmniej, że w pewnej chwili musi się Pan odczepić od asekuracji, od tej ratowniczej liny, którą trzyma gdzieś tam Beckett. Może to stać się tylko stopniowo, rozumieć to doskonale. I to zresztą już się staje, choćby w tym Rogu kozim. Nie przywiązuję szczególnych cnót, do „rodzajowości”, która może szybko stać się łatwa, ale jest to jeden ze sposobów. Innym jest humor, to zresztą Beckett sam dobrze wiedział, innym wreszcie – najbardziej niebezpiecznym – liryzm, doprowadzenie wypowiedzi do poetycko-osobistej czystości (u Becketta też bywa). Może być także mnożenie głosów, to właśnie Pan zaczął. Zresztą Pan sam wie najlepiej, jak się te sprawy przedstawiają! Tutaj spisałem Panu tylko intencje moich uwag czy spostrzeżeń. A tymczasem pozdrawiam i życzę pracowitego lata!

Jan Błoński

<sup>1</sup> Jan Chryzostom Pasek (ok. 1636–1701), autor Pamiętników.

<sup>2</sup> Henryk Rzewuski (1791–1866), pisarz, autor m.in. Pamiętek Soplicy i Listopada.

<sup>3</sup> Henryk Sienkiewicz (1846–1916), pisarz, autor m.in. Trylogii, Quo vadis i Krzyżaków; laureat Nagrody Nobla (1905).

51.

Kraków 6 września 93

Drogi Panie Krzysztofie

Dziękuję za oba listy, cieszę się, że Pan posuwa się choć troszkę w nowej opowieści, chciałbym też pocieszyć Pana po opinii Miłosza. Już od paru lat Miłosz chwali tylko to, co bliskie mimesis, ocalanie, podtrzymywanie w istnieniu uważa za najwyższe literackie zadanie, coraz silniej brzydząc się wszystkiego co „literackie”, wyszukane, sztuczne i uczone. Jest to ewolucja logiczna w poezji, tzn. w jego poezji i poglądach na poezję: co do prozy, nigdy właściwie nie lubił rozmaitych wymyślnych figur i sposobów i uważał, że powinna opowiadać „jak było”. Tak więc oczekiwanie innej reakcji byłoby naiwnością. Natomiast chciałbym podkreślić, że Panu odpowiedział, czego wcale zawsze nie robi (i trudno się dziwić); już tym samym uznał Pana za pisarza, za kogoś, kim warto się choć na chwilę zająć. Jakoś więc musiała go Pana proza obejść, musiał ją jakoś – choćby krytycznie czy niechętnie – odczuć<sup>1</sup>.

Przyszło mi do głowy, aby z okazji wręczenia nagród tegorocznych, co odbędzie się ok. 10–15 grudnia w Krakowie – urządzić coś w rodzaju prezentacji i przypomnienia laureatów Kościelskich ostatnich lat, powiedzmy od Pilcha i Huellego. Oni się już zresztą zgodzili. Muszę teraz przekonać do tej sprawy prezesa Górskiego i zdobyć parę groszy, aby przynajmniej zwrócić koszt podróży i noclegu. Jestem jednak dobrej myśli, myślę, że to byłoby teraz na czasie – w szczególności uprzytomniłoby może trochę ludziom, że wcale nie jest tak źle z polską prozą, tylko pojawia się ona nie tam, gdzie „powinna” być, tzn. w Warszawie. Czy zgodziłby się Pan przyjechać i coś nowego – parę kartek – zaprezentować? Moje pytanie jest tymczasem tylko orientacyjne, proszę się nie gniewać, jeżeli nic z mojego pomysłu nie wyniknie. Ale bardzo byłbym wdzięczny za dwa słowa. I niech Pan dalej robi swoje, przekopując się przez własną „tradycję”!

Łączę bardzo serdeczne wyrazy –

Jan Błoński

PS. Proszę w moim imieniu powiedzieć o tej inicjatywie Grzegorzowi Musiałowi, mam nadzieję, że nie odmówi.

<sup>1</sup> Patrz: „Żeby dawać te rady, sam musiałem przejść ewolucję.” – Listy Czesława Miłosza do Krzysztofa Myszakowskiego, „Kwartalnik Artystyczny” 2005 nr 3 (47).

52.

XII 1993

Drogi Panie Krzysztofie

Nie zdążyłem już Panu odpisać przed wyjazdem, czynię to teraz, kiedy jesteśmy mniej więcej urzędzeni. Niestety, mam więcej nieco roboty niż się spodziewałem, więc chyba wiele tu nie zrobię, tyle, że uwolnię się od zajęć zarobkowych na następny rok... Ale nie wiem, czy się Panu pochwaliłem, że (po latach) przed wyjazdem skończyłem w kwietniu książkę o Gombrowiczu<sup>1</sup>, dość grubą – to był jeden z dwu wielkich głązów, które niezdarne toczyłem pod górę przez ostatnie dziesięciolecie.

Chyba mówiłem już Panu, że Wasze rozmowy z Miłoszem są ciekawe i godne kontynuacji, dopóki zechce; M. b. mało wypowiadał się o prozie<sup>2</sup>. Oczywiście ma rację, że w pewnej chwili po męce każdego zdania – pojawia się „swoboda” i „łatwość”, i czasem są to najlepsze rzeczy. Ja wolałbym użyć terminu „dystans”, bo najistotniejsze w tym zjawisku jest to, że pisarz przestaje być niewolnikiem jednego tonu (stylu, sposobu), zaczyna oświetlać dzieło z innej strony. Tak to przynajmniej zdaje się wyglądać w prozie. Pan jest już b. bliski osiągnięcia tego punktu, co było widać na „popisie” w Krakowie<sup>3</sup>! Zresztą koledzy natychmiast to spostrzegli – co znaczące.

Życzę więc na Nowy Rok wielkich kroków naprzód, a przy tym posyłam jedno z największych arcydzieł, od którego zaczęliśmy tradycyjne już wędrówki po Owerni – Matkę Boską z Orcival\*.

Ściskam serdecznie

Jan Błoński

\*[pocztówka: ORCIVAL (63–Puy–de–Dôme) BASILIQUE NOTRE–DAME Vierqe en Majesté du Xlle s.]

<sup>1</sup> Jan Błoński, *Forma, śmiech i rzeczy ostateczne*. Studia z Gombrowicza, Kraków 1994.

<sup>2</sup> Patrz: przypis 1 do listu 51.

<sup>3</sup> 11 grudnia 1993 w „Starej Galerii” na ul. Starowiślniej 10 w Krakowie odbył się występ laureatów nagrody Kościelskich z ostatnich pięciu lat; m.in. Pawła Huellego, Krzysztofa Myszakowskiego, Jerzego Pilcha i Piotra Sommera.

53.

Clermont-Ferrand, le 5 marca 94

9bis av. Massenet  
63400 Chamalières  
tel. 73 19 03 32

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za listy, które dochodzą do mnie i tutaj! Przepraszam też za późną odpowiedź: rzecz w tym, że przyjechałem tutaj nie bardzo przygotowany do wykładów, wziąłem tylko walizkę pełną materiałów. Ja już nie bardzo czuję tak młodą publiczność, także w Polsce, a co dopiero tutaj. Musiałem więc smarować te wykłady całymi dniami, tym bardziej, że nie zawsze mogę polegać na pamięci, jeżeli chodzi o historyczne fakty, nazwiska, tytuły... Ale trudno, muszę bogatemu służyć, zresztą przebrnąłem przez najgorsze, zaraz raczej zajmę się literaturą, kulturą, poznałem też i oswoiłem (w sobie) trochę tych słuchaczy, na ogół bardzo młodych. Poza tym będzie teraz więcej wakacji. Dla siebie jednak mało pracowałem, i to raczej poprawiając to, co napisane.

Przy tym jednak nadzwyczajnie odpoczęliśmy. Życie tu jest tak uporządkowane, a przy tym dobrze znajome, że wszystko – od karty pobytovej do zapasów w spiżarni – załatwiliśmy właściwie w okamgnieniu, niemal od razu zrobił się czas na spanie, rozkosze prowincjonalnej wegetacji, zwiedzanie (spędziliśmy parę dni nad Morzem Śródziemnym), gazet czytanie, spacerowanie po górach (a raczej górkach)... słowem, doskonałe przeciwieństwo krakowskiego urwania głowy. Oddalenie od ojczyznej polityki itp. też może tylko robić dobrze na zdrowie.

Ale teraz już się powoli budzi (także literackie) sumienie. Cieszę się, że Pan ma, że tak powiem, wzięcie. Z jakimś tam spóźnieniem, ale właściwie to lepiej, bo pokazuje, że Pan coś wniósł nowego, z czym nawet to wąskie środowisko musiało się oswoić. Że jeszcze się nie oswoiło całkiem, tym lepiej. Pyta mnie Pan, komu dać fragmenty, którymi Pan dysponuje. Powiem całkiem cynicznie: w pierwszej kolejności tym, którzy mają więcej czytelników... i którzy coś płacą. Musi się Pan przeciwieście choć trochę uniezależnić od szkoły. I nigdy – chyba – nie będzie Pan pisał dużo i przystępnie... Czy Pan zna tylko angielski, czy inne jakieś gadania? Coś by trzeba wymyśleć, ale dlatego nowa książka potrzebna... Czytałem artykuł o Watcie<sup>1</sup>, bardzo

<sup>1</sup> Krzysztof Myszkowski, Nic Becketta, „Tygodnik Powszechny” 1994 nr 4.

dobry, tylko pod koniec pojawia się – chyba za sprawą korekty – jakieś bezgraniczne i niezrozumiałe zdanie! Ale to głupstwo – ściskam serdecznie i pozdrawiam!

Jan Błoński

54.

Clermont-Ferrand, le 9 kwietnia 94

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za piękne kartki, list i zawsze tak żywą gotowość do podjęcia rozmowy. Martwi jednak i jakoś smuci Pana szczere wyznanie, że „zwiewałby” Pan stąd, gdyby tylko mieć zapewnione przyzwoite życie „we Francji czy Szkocji”. Przez pierwszą połowę mojego życia Polacy kochali Polskę do szaleństwa, a teraz dziwnie jej wszyscy nie lubią. Ja – jak zawsze – odwrotnie. Chyba jest tak, że Polacy sami się przestali lubić, czy jak? Nie mogę uwierzyć, aby Pan w tej Szkocji przestał pisać, chociaż na pewno szłoby to wolniej. Więc stypendium? Właściwie nic takiego nie istnieje, przynajmniej dla pisarzy, oprócz zupełnie skromnych subwencji we Francji i USA, na parę tygodni. Zapytam jednak. Ale szczerze mówiąc, to Pana dramat na tym polega, że nie ma Pan już czasu na takie głupstwa, jak douczanie się języków itd. Musi Pan ustalić się w literaturze i to w Pana trudnym i wymagającym rodzaju... Jest Pan po prostu na to skazany i wierzę głęboko, że sędzia nie był w tym wypadku przewrotny. Ale oczywiście pokonywanie codziennych trudności wymaga coraz większych wyrzeczeń i coraz bardziej męczy. Pisanie do „Czasu Kultury” (czy gdzie indziej) jest konieczne dla zaznaczenia obecności w życiu literackim, niech Pan jednak skupia się przede wszystkim na Funebre, bo naprawdę procentują tylko dzieła wybitne, prędzej czy później, a ja i wielu Pana słuchaczy uważa, że takie ono będzie. Proszę mi jednak wierzyć, że dobrze pojmuję Pana rozterki, chociaż miałem wiele – aż za wiele szczęścia w życiu itd. W latach 55–60 i później straciłem także dużo czasu na zajęcia, że tak powiem, żywnościowe, tyle, że były one lepiej płatne niż szkoła. Czy Pana męczy szkoła jako taka, czy też znikomość jej pensji? Oba, naturalnie, ale co bardziej? Proszę mi wybaczyć, że tak wypytuję, ale to trochę z ciekawości, a trochę dlatego, aby wiedzieć, gdzie, że tak powiem, węszyć.

Huelle istotnie zrobił głupstwo, ale myślę, że albo dla żony, która w TV pracuje, albo – zwłaszcza – ze strachu przed pokazaniem publiczności



książki, którą od lat pisze i zapewne nie ma zupełnie pewności, czy „wystrzeli”... Duży sukces na początku jest potem ogromnie stresujący, zna Pan na tyle świat, aby wiedzieć, że natychmiast odezwą się głosy, że Huelle się skończył itd. On to też wie i boi się. Chyba, że po prostu skończył tą wymarzoną historię i chciałby odpocząć. Oczywiście, że dyrektorowanie w TV jest na dłużej niż pół roku zabójcze, ale ja jestem przekonany, że on tam wiele dłużej nie zabawi!

Już tu ładnie było i zaczęło się robić przyjemnie, bo trzy czwarte wykładów już odbyłem lub przygotowałem i trochę wróciłem do pracy, a trochę myślałem o (małych) podróżach, tymczasem pogoda zrobiła się zimowa, przed chwilą byliśmy w pobliskim arboretum i chodziliśmy po śniegu... Śnieg w połowie kwietnia w centralnej Francji, choćby na wysokości 550–600 m, to coś przeciwnego naturze. I doskonale wiem, że jak zrobi się ciepło, znowu trudno będzie się schronić, ale przed słońcem... Bo już tu wszystko od paru tygodni kwitło, zieleń się itd. Ale się nie skarżymy zbyt. A jeszcze: Miłosz będzie w Krakowie od początku maja. I ja też, ale nie przed 3.5. i nie dłużej niż parę dni. Gdyby jednak Pan czegoś potrzebował – np. adresu C.M. – proszę zadzwonić pod nr 33 40 20 – będę mieszkać pewnie u siostry, bo dom wynajęliśmy na 6 miesięcy.

Za samych swoich korespondentów powinien Pan dostać order – ciekaw jestem, co Panu Lutosławski opowiadał. Ale na pewno powie mi to Pan przy sposobności.

Łączę najlepsze wyrazy dla Pana i całej Rodziny –

Jan Błoński

55.

Kraków 16 listopada 94

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za list i „Kwartalnik”, przeproszam też za nieodpisywanie. Ale coraz mniej potrafię i coraz wolniej! A przy tym – co Pan zrozumie – uparłem się, że będę pisał książkę (książki), a nie rozpraszał się, jako że wieczorem, nic już nie potrafię. Tak to jest i trzeba się przyzwyczaić. Pan rozpraszać się musi, aby bardziej zaistnieć... ale i tak najważniejsza będzie Pana powieść, owe Funebre, a nie cała reszta. Czy przyjedzie Pan do Warszawy na rozdanie nagród?

Może się wybierecie? Pan i Grzegorz<sup>1</sup>, czy Pan sam? Będzie to najpewniej w sobotę 9 grudnia w szwajcarskiej ambasadzie, gdzie Pan już był. Ale oczywiście dostaniecie jeszcze zaproszenie z ambasady.

Dziękuję też za propozycję pisania do „Kwartalnika”, teraz nie widzę jeszcze, ale może jakiś fragment wygrzebię. A tymczasem pozdrawiam – i do zobaczenia! Ściskam serdecznie –

Jan Błoński

56.

Kraków 21 grudnia 94

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za list i życzenia, proszę przyjąć i moje, dla Pana i całej Rodziny, rozkwitajcie w cnotach, a także w sukcesach. Pana upór i systematyczność bardzo mi się spodobały, gdybym to ja tak potrafił! Osobiście wolałbym tylko, żeby Pan najpierw wydał powieść, a potem opowiadania, bo zawsze większe (ambitniejsze?) ciągnie słabsze czy raczej mniejsze, ale nie jest to bardzo istotne: najważniejsza jest obecność, a obecność można tylko wymusić częstym pojawianiem się na literackiej scenie. Jest ona teraz taka jakaś pokawałkowana, że strach! Ale w gruncie nie jest tak źle, jak gada dziennikarska zgraja. Może niedługo będziemy o tym dyskutować w „T.P.”, postaram się tam wspomnieć także o Bydgoszczy.

Posyłam Panu rzecz o Mroźku<sup>1</sup>, a raczej o jednej jego sztuce Pieszko, którą uważam za najlepszą, na równi z Tangiem i Emigrantami. Tak w tej książce mentalnie siedzę, że dopiero przed chwilą, przygotowując wysyłkę, uprzytomniłem sobie, że nawet bardzo kulturalny czytelnik „Kwartalnika” – może o niej nie wiedzieć, albo wiedzieć bardzo mało. Niby streszczam akcję, ale w perspektywie całego książkowego wywodu, boję się więc, że to czytelnika zniechęci. W każdym razie upoważniam Pana do wszelkich poprawek, w szczególności do przedstawienia jakichś fragmentów: może porządek byłby lepszy, gdyby zacząć od drugiego rozdziału? Zdaje mi się, że dobrze byłoby trochę ten tekst skrócić! Upoważniam Pana do tego, a nawet o to proszę! Sam nie bardzo wiem jak i boję się znowu coś spaprać! Jeszcze raz: niech się Pan nie waha!

<sup>1</sup> Grzegorz Musiał.

<sup>1</sup> Jan Błoński, Mroźek przeciw Andrzejewskiemu: „Pieszko” kontra „Popiół i diament”, „Kwartalnik Artystyczny” 1995 nr 1 (5); Sławomir Mroźek (ur. 1930), pisarz, rysownik, autor m.in. Tanga, Pieszko, Półpancerzy praktycznych.

Szkoda, że nie było Pana w Warszawie. Tym razem więcej było artystów (pisarzy), a mniej polityków, dziennikarzy etc. Ale tak naprawdę to nie ma czego żałować. Może na przyszły rok uda się nam powtórzyć – czy zaimprovizować – jakieś literackie spotkanie?

Jeszcze raz: proszę przyjąć Życzenia Wszystkiego Najlepszego – Łask Bożych, jak kiedyś mówiono – dla całej rodziny... i serdecznie ściskam!

Jan Błoński

57.

Kraków 23 02 95

Drogi Panie Krzysztofie,

Przepraszam, że szybciej nie przeczytałem Koziemu rogu<sup>1</sup>... i nie śmiałem się odezwać. Bo zdaję sobie dobrze sprawę, jak to pisanie jest dla Pana ważne i zarazem trudne. Niewątpliwie doszedł Pan – zwłaszcza w opowiadaniu tytułowym – do swojego „właściwego” głosu. To jest jakby podsumowanie poprzedniego pisania, zarazem ton dojścia do prozy, do narracji powieściowej, podczas gdy Pasja miała więcej cech poetyckich, jakby się Pan wahał, czy nie pisać coraz zdobniej, rytmiczniej itd. na sposób poetycki. Inne prozy też wydają się trafione, rozumiem teraz lepiej, co Pan mi napisał w liście o swoim zadowoleniu z tej książki. Ciekaw jestem, jak pomyślał Pan teraz następną... Cieszę się też, że od razu znalazł Pan lepsze zrozumienie, o czym świadczy zaproszenie do Warszawy. Z innych wiadomości wnoszę też, że jest Pan – ogólnie – w dobrej formie, no i sporo Pan pisze – byle tak dalej!

Mam też małą prośbę do Pana. W jury Kościelskich jest m.in. p. Zygmunt Marzys, profesor-językoznawca z Neuchatel, który przeszedłszy na emeryturę, postanowił wesprzeć trochę ojczyste uniwersytety i wykladał w Toruniu. Ale wyczułem, że był mocno zasmucony brakiem kontaktu z ludźmi, nie bardzo umieli go jakoś przywitać itd. w zeszłym roku, on jednak, jak sobie obiecał, ciągnie dalej. Okropne potrafi być uniwersyteckie środowisko! Przypuszczam, że Pan bywa w Toruniu od czasu do czasu, czy nie zechciałby go Pan odwiedzić? Marzys jest wdowcem bezdzietnym, człowiekiem obytym i na pewno nie natrętnym... A oto jego adres – uniwersytecki: filologia romańska, Fosa Staremiejska 3 tel. (56) 260 21 – oczywiście to tel. służbowy, który może tylko posłużyć do nawiązania kontaktu. Uprzedziłem go, że poproszę Pana o odwiedzenie go, ale dość nieobowiązująco. Proszę się nie obawiać, nie

<sup>1</sup> Krzysztof Myszkowski, Kozi róg, Bydgoszcz 1995.

będzie on na pewno natrętny... chciałbym jednak jakoś zatrzeć to jego smutne doświadczenie z zeszłego roku. Marzys jest bliskim przyjacielem Marka Skwarnickiego<sup>2</sup> z „T.P.” i – prócz dialektologii romańskiej... – zajmował się sporo sprawami religijnymi, filozoficznymi itd.

Mam nadzieję, że Pana ta moja prośba nie udręczy... Tymczasem pozdrawiam serdecznie i dłoń ściskam –

Jan Błoński

58.

8.3.95

Drogi Panie Krzysztofie

Posyłam Panu książkę „żydowską”<sup>1</sup>, takie rzeczy w ogóle nie trafiają przez W-wę i Kraków (ale może lepiej?). Zmartwiłem się chorobą Pana Matki, proszę przekazać Jej nasze życzenia poprawy zdrowia! Dziękuję też za Marzysa. Grupiński<sup>2</sup> zaprosił mnie także, ale nie wiem, czy warto tracić tyle czasu?

I tak nie mogę wciąż skończyć książki o Mroźku.

Ściskam serdecznie.

Jan Błoński

PS. Bezludzie<sup>3</sup> b. mi się podobało

[pocztówka: STATUE EINES KNÖCHELSPIELENDEN MÄDCHENS. Ende 2. Jahrhundert n. Chr., nach einem Vorbild aus hellenistischer Zeit Marmor; Höhe 70 cm]

59.

Kraków, 3 kwietnia 95

Drogi Panie Krzysztofie,

Przepraszam, że odpisuję krótko i ze spóźnieniem, trochę mi się nie wiodło ostatnimi czasy, bo przechodziłem złośliwą grypę, która mnie bardzo zmęczyła. Nie mogłem też nie pojechać na parę dni do Sztokholmu, gdzie

<sup>2</sup> Marek Skwarnicki (ur. 1930), prozaik, autor tomików wierszy, tłumacz, publicysta, felietonista.

<sup>1</sup> Jan Błoński, Biedni Polacy patrzą na getto, Kraków 1994.

<sup>2</sup> Rafał Grupiński (ur. 1952), polityk, krytyk literacki, wydawca, publicysta, redaktor naczelny „Czasu Kultury” (1985–1999).

<sup>3</sup> Marek Kędzierski, Bezludzie, Kraków 1994.



UNIwersytet Jagielloński  
Instytut Filologii Polskiej  
31-007 Kraków, ul. Gołębia 16

Kraków, dnia 25.5 [1995]  
tel. 22-10-33 w. 334, 347, 321 - tel./fax 22-05-54

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za list i przepraszam, że tak późno odpowiadam. Koniec roku akademickiego - razem z polskim nawałem imprez pod sam koniec sezonu - jest doprawdy trudny do przetrwania: dlatego też nie pojedę do Torunia, choć chciałem towarzyszyć Miłoszowi, trochę z ciekawości, jak będzie witany w Toruniu, ale też z sympatii (nostalgii?) do miasta<sup>1</sup>. Po 15.7 pojedziemy nad morze wtedy drabły się spotkać i nawet zwłoczyć to wzmocnienie?... Może by tylko ustalić gdzie i jak, może wpaść Pan (państwo!) nad morze? To tak blisko! Ciężko mi, że zainteresował Panę Kędziorską. Co do Pezosa, to nie oplotłem go i z tego co Pan pisał był to błąd, bo Gumpinich przyjechał też - doświadczenia - dłużej do swoich celów. Nie to przeproszę: miałem Pan wiewy, wiewy, rzeczywiście miałem brzyki tej Kameli i nawet o Strapiuku

„...WYDAJE MI SIĘ, ŻE PAN JUŻ ZE SWEGO CZYŚĆCA WYCHODZI.” 99

ciągle przesuwałem przyjazd... Ale teraz już jest jako tako. Pana list bardzo ciekawy, pokazuje, jak się robi literacką kuchnię. A raczej jak ją robią ludzie, którzy - owszem - literaturę na swój sposób kochają, ale chcą w niej błyszczeć nie mając nic do powiedzenia. Grubiński sam przyznawał - w liście - że nie ma własnych marzeń czy projektów literackich, właściwie nie wie, czego żądać, czego się spodziewać od nadchodzącej literatury. Wytknął mu to też publicznie Jarzębski... Ale zarazem nasz redaktor chciałby „robić” literaturę, jak Bereza, przedtem inni, rzeczy znane. Teraz znalazł sobie taran w postaci Stasiuka\*<sup>1</sup> i młodych dam z „Brulionu”. Ta literacka pasja ma oczywiście swoje dobre strony... ale, rzecz jasna, prowadzi do „łowienia” talentów, na których się potem jedzie... Tak zapewne i Pana potraktował, ofiarując kolumnę w „Czasie Kultury”. Ale licząc na to, że będzie Pan śpiewał w chórze, którym on będzie dyrygował. Może jestem trochę niesprawiedliwy, w końcu namiętność literacka, choćby ideowo pusta, należy do szlachetniejszych! Rozumiem jednak także Pana gniew, nieprzyjemnie mi tylko, że cierpi Pan niejako za moje winy. Nie muszę mówić, że nie przejąłem się zbytnio opiniami o sobie. W tak pomyślanej grze literackiej muszą być „starzy” i „młodzi”, to niejako należy do rytuału. A trudno, abym funkcjonował jako chłopię! Rola literackiego starca wcale mi się nie wydaje najgorsza... Wszystko to głupstwa, którymi bardzo proszę się nie przejmować!

Pozdrawiam i łączę najlepsze wyrazy -

Jan Błoński

\* istotnie niezłego stylistę i opowiadacza

60.

Kraków, dnia 25.5 [1995]

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za list i przepraszam, że tak późno odpowiadam. Koniec roku akademickiego - razem z polskim nawałem imprez pod sam koniec sezonu - jest doprawdy trudny do przetrwania: dlatego też nie pojedę do Torunia, choć chciałem towarzyszyć Miłoszowi, trochę z ciekawości, jak będzie witany w Toruniu, ale też z sympatii (nostalgii?) do miasta<sup>1</sup>. Po 15.7 pojedziemy nad

<sup>1</sup> Andrzej Stasiuk (ur. 1960), prozaik, publicysta, autor m.in. Opowieści galicyjskich.

<sup>1</sup> Czesław Miłosz na zaproszenie „Kwartalnika Artystycznego” gościł w Toruniu i w Bydgoszczy od 7 do 10 czerwca 1995.

impresji nie pytam. Uważam jednak, że to wbrach banku wstępu, tylko wstępu w literackich możliwościach, co starałem się pokazać. Uważam jednak, że przed wakacjami napisać mały przegląd tej młodszej prozy, gdzie pojawiają się nowe rzeczy i zupełnie niezłe, choć na ogół całkiem różne od popisów autorów w czarnych skórach, którzy to autorzy tak Pana rozgrzewali! Ale nie mam zupełnej pewności, czy zdążę.

Jeszcze raz dziękuję za pamięć i list i druk w „Kwartalniku”. A Min. Kultury (Rosner) nic Panu nie chce pomóc? Albo inne miasta, firmy? Niestety, to jest osobny zawód, to zbieranie pieniędzy, i dość dla nas niemiły. Niech Pan nie zapomni jednak poprosić Mistrza, aby powiedział dobre słowo o „Kwartalniku” rozmawiając z toruńsko-bydgoskimi notablami: to na pewno zrobi wrażenie, jeżeli oczywiście ci notable się pojawią.

Łączę Najlepsze Wyrazy dla Wszystkich Myszkowskich! Ściskam dłoń –  
Jan Błoński

Łączę Najlepsze Wyrazy dla Wszystkich Myszkowskich! Ściskam dłoń –  
Jan Błoński

61.

Kraków 27.V.95

Drogi Panie Krzysztofie,

Dzisiaj rano byłem w „T.P.” na – niezbyt ciekawym – posiedzeniu konkursu literackiego i dowiedziałem się o fatalnym nieporozumieniu, którego padł Pan niejako ofiarą. Kiedyś bąknąłem w „T.P.”, że gotów byłbym napisać o książce Kędzierskiego<sup>1</sup>. Potem jednak zarzuciłem tę myśl, bo szczerze mówiąc, nie mam czasu, a jeżeli znalazłbym, to raczej na przedwakacyjny przegląd młodszej prozy, gdzie pojawiło się parę interesujących rzeczy, na które zbyt mało zwraca się uwagę. Dopiero jednak dziś powiedziałem to w „T.P.”, dowiadując się, że odesłano Panu recenzję w oczekiwaniu na moją! I na dodatek nic mi

<sup>2</sup> Marek Kędzierki (ur. 1952), pisarz, tłumacz, reżyser teatralny, autor m.in. Bezładzia.

<sup>3</sup> Manuela Gretkowska (ur. 1964), prozaik, felietonistka, polityk.

<sup>1</sup> Bezładzie.

o tym nie mówiąc! Intencja była może – dla mnie – życzliwa, ale efekt fatalny. Może zechciałby Pan jednak ponownie przysłać swój tekst, „T.P.” chętnie by go wydrukował, ja na pewno już do tego osobno nie wrócę! Głupio się to zdarzyło i naprawdę, bez żadnej mojej wiedzy!

Jest mi jednak przykro, że tak się sprawy uwikłały – w istocie nieprzychylnie dla wszystkich!

Resztę przeczytał Pan pewnie w moim wczorajszym piśmie – a przy tym szczerze przyznaję, że z przyjemnością pojadę na wakacje, niestety jednak, nasuwa się coraz więcej niemądrych obowiązków... pod koniec roku akademickiego jest to zupełnie nieznośne.

Jeszcze raz dłoń ściskam i serdecznie pozdrawiam!

Jan Błoński

62.

Kraków 6 lipca 95

Drogi Panie Krzysztofie,

Mnóstwo spraw, a mało czasu i miejsca, proszę więc o wybaczenie telegraficznego stylu. Mistrz był bardzo zadowolony z nabożeństwa ku Czci Wieszcza, które Pan, jak przypuszczam, przygotował: jako nieufny Litwin, zawsze bał się wielkich audytoriów (że nie przyjdą...), zarazem – co zrozumiałe – o nich marzył. Katowice najpierw, teraz Bydgoszcz–Toruń sprawiły mu ogromną satysfakcję i mogę Pana zapewnić, że on długo pamięta... nie tylko przykrości, ale także radości, które go spotkały.

Nie wiem, czy zdążyłem Panu napisać, że bardzo mi się podobała Pana recenzja z Kędzińskiego<sup>1</sup>. Niby to streszczenie, rozjaśniające gąszcz tej prozy – a niepoznaki najważniejsze powiedziane, także w perspektywie „fachowej”, muszę powiedzieć, że Pana podziwiam! Ja osobiście wolałbym, żeby trochę to Bezludzie było krótsze... ale trudno, musimy tymi beketami odpokutować za grzechy.

W „T.P.” znalazł Pan zapewne mój przegląd nowszych powieści<sup>2</sup>. Najstabszą lansuje nieomylnie Grupiński; miejscami przejmujące, ale tak naprawdę ta Amnezja<sup>3</sup> to rozgotowana kasza. Mnie najbardziej podoba się

<sup>1</sup> Krzysztof Myszkowski, Jeżeli nie stąd, to skąd?, „Tygodnik Powszechny” 1995 nr 27.

<sup>2</sup> Jan Błoński, Powrót powieści, czyli co czytać na wakacjach, „Tygodnik Powszechny” 1995 nr 28.

<sup>3</sup> Izabela Filipiak, Absolutna amnezja, Poznań 1995.

Tulli<sup>4</sup>, bo wymyśliła coś, czego nikt nie pisał, taki swoisty melanz eseju z fikcją, odslaniający też własną podszewkę... Ale i Tokarczuk<sup>5</sup> włącznie, trochę konwencjonalna; a Stasiuk, choć najbardziej tradycyjny, też niezły. Naprawdę dobre są te Zapiski Baczaka<sup>6</sup>, ale niestety, jest tego najwyżej 50 stron. Wydał je sam... i teraz „Znak” to powtórzy, szczerze polecam.

Naudzielałem sporo wywiadów ostatnimi czasy, jeden dla „G.Wyborczej” z dwoma aż rozmówcami: nie najlepiej to wyszło, chyba muszę poprawić samemu\*. Nie z winy rozmówców: w istocie mówię żywo może, ale bardzo nieporządnie i nadrabiam gestami itp. Jak aktor. Daje to lepsze wyniki w TV (gdzie też nakręciłem coś w rodzaju wywiadu, dość długiego: czy go puszczać, inna sprawa): lepsze wyniki w TV niż w piśmie, rzecz jasna. Nie bardzo wiem, co mógłbym z Panem napisać: jeżeli jednak, to powinno być chyba bardziej uczone, bardziej fachowo literackie. My wyjedziemy stąd 27–28 lipca. Adres nasz w Żarnowcu jest: „Żarnowiec 12” u p. Baran. Jest to prawie dokładnie naprzeciw poczty. Przespać się parę dni w Żarnowcu można na pewno za ok. 80–100 tys. Bardzo proszę, niech Pan zadzwoni z jakąś sugestią (Kraków, tel. 66 16 79) – my tam będziemy 28–29 ok. 18–20 dni. Ale i w Krakowie byłby Pan mile widziany! Ściskam serdecznie –

Jan Błoński

\* czyli napisać na nowo!

63.

15.9.95

Drogi Panie Krzysztofie

Dziękuję za pamięć i zapowiedź przyjazdu, który zrobi nam wielką przyjemność. Proszę koniecznie zadzwonić, aby ustalić dokładniej szczegóły\*. Postaram się przedtem przejrzeć tę naszą rozmowę<sup>1</sup>. Podziwiam też Pana energię w staraniach o rozwój „Kwartalnika”! Łączę najlepsze wyrazy –

Jan Błoński

\* na parę dni naprzód!

[pocztówka – KRAKÓW – smok wawelski]

<sup>4</sup> Magdalena Tulli (ur. 1955), prozaik, autorka m.in. Snów i kamieni.

<sup>5</sup> Olga Tokarczuk (ur. 1962), prozaik, psycholog, autorka m.in. E.E.

<sup>6</sup> Jacek Baczak (ur. 1966), prozaik, autor Zapisków z nocnych dyżurów.

<sup>1</sup> Wszystko zawsze było brane od wielkich artystów – z Janem Błońskim rozmawiają Grzegorz Musiał i Krzysztof Myszkowski, „Kwartalnik Artystyczny” 1995 nr 4(8).

Kraków 25. V. 96

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za zaproszenie i wiele słów. Moje obawki: niechęć w kwestiach i postach rano powracając od pracy. Wskazanie Kościelickich bym chciał uzyskać 19 października 1996. To są chyba wszystkie moje zainteresowania!

Czy mieliby mi ten sampro- waci jakieś tematy?

Wskazanie kwartalnik banku mi nie podobają, jednak pisano naprawdę wartościowe i intelektualne uwagi!

Znowu najlepsze uwagi –

J. Błoński

x) ale przed ostatecznym ustaleniem proszę się jeszcze z nami porozmawiać – boję się dnia w mojej pracy!

64.

Kraków, 17 XI 95

Drogi Panie Krzysztofie,

Dziękuję za list i posyłam książkę<sup>1</sup>, mam nadzieję, że Pana nie znudzi (tym bardziej, że wielu ludzi, także pisarzy, nie bardzo lubi czy umie czytać dramaty [komedie], a więc także czytać o utworach dramatycznych). Cieszę się, że staje się Pan bardziej znany i obficie publikuje! Na pewno dostał Pan zaproszenie do Krakowa, mam nadzieję, że się za dwa tygodnie zobaczymy. Wieczorne spotkanie będzie zupełnie nieobowiązujące, kto będzie miał ochotę występować w roli pisarza, wystąpi, a kto zechce się upić, będzie mu wybaczone, podobnie jak stanie w kącie przez trzy godziny, jak to niegdyś praktykował Mrozek. A więc – do zobaczenia! ...i ściskam serdecznie dłoń –

Jan Błoński

65.

Kraków, 30.XII.95

Drogi Panie Krzysztofie,

Proszę przyjąć od nas obojga podziękowanie najpierw, a potem życzenia Wszystkiego Najlepszego, a szczególnie spełnienia literackich planów, nie mówiąc o szczęśliwym przetrwaniu w obecnych lodach, spośród których tylko taki małeńki kościółek wygląda

[tu strzałka – przyp. red.]

Jan Błoński

[pocztówka: © Jaap de Jong 1983/„Kerktoeren van Wilnis”]

66.

3.2.96

Drogi Krzysztofie,

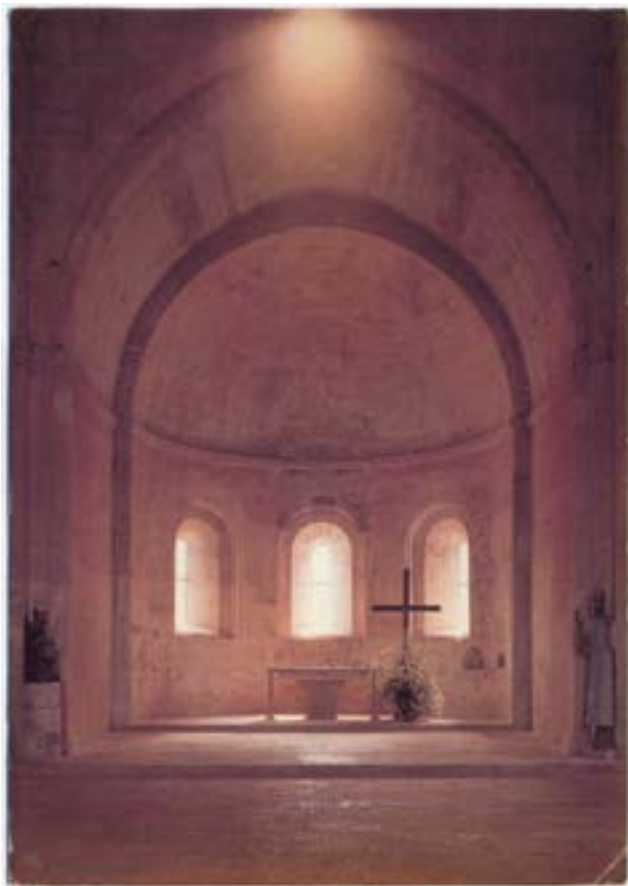
Najlepsze pozdrowienia z Ziemi Świętej a zwłaszcza z Jerozolimy, gdzie stanęliśmy w gościnnym obozie. Przedziwne miasto, pewnie najdziwniejsze na świecie – choć jestem tu trzeci raz (ale nigdy tak długo)

Ściskam serdecznie –

Jan Błoński

[pocztówka: Nazareth, the Church of the Annunciation viewed through a fisheye lens.]

<sup>1</sup> Jan Błoński, Wszystkie sztuki Sławomira Mrożka, Kraków 1995.



67.

Kraków, 26 V 96

Drogi Panie Krzysztofie

Dziękuję za zaproszenie i miłe słowa. Moje obowiązki: zajęcia w czwartek i piątek rano poczynając od października. Posiedzenie Kościelnych będzie miało miejsce 19 października 1996. To są chyba moje wszystkie zobowiązania.\*

Czy mógłby Pan zasugerować jakieś tematy?

Ostatni „Kwartalnik” bardzo mi się podobał, jednak pismo nabrało swoistości i intelektualnej energii!

Łączę najlepsze wyrazy –

Jan Błoński

\* ale przed ostatecznym ustaleniem proszę się jeszcze ze mną porozumieć – boję się dziur w mojej pamięci!

68.

Peynenare, 4.2.97

Drogi Krzysztofie,

Posyłamy najlepsze wyrazy i życzenia z Prowansji, gdzie żyjemy sobie szczęśliwie dzięki ludzkiej życzliwości.

Jan i Teresa Błońscy

PS. To opactwo – już zresztą od półtora roku zamknięte – dobrze, jak mówią znawcy, zachowało ducha i styl prowansalsko-romański.

[pocztówka: ABBAYE DU THORONET (XIIe s) Le chœur]

69.

Kraków, 20.4.98

Drogi Krzysztofie,

Wielkie moje winy wobec Ciebie: mea culpa! Wielkie i jakieś zarazem niewytłumaczalne, chyba tylko ogólnym podupadnięciem – pamięci, wytrwałości, woli mogę je nie tyle wytłumaczyć, ile zrozumieć. Ledwie do czegoś się zabieram, wypada mi z ręki: a to zapomniałem, gdzie leży dana książka, ołówek nienastrugany, w piórze atrament jakoś wysechł. Przy tym ciągle



dzwonią, pytają, etc., co z jednej strony sympatyczne i stanowi dowód, że żyję, z drugiej jednak rozprasza do reszty. A tymczasem nie mogę odmówić takich posług, jak podróż do USA, gdzie tamtejsi poeci wielbią Miłosza, a on sam zażyczył sobie paru świadków swoich triumfów, tzn. Olka<sup>1</sup> i mnie, oraz Michnika... Jeszcze parę lat temu poradziłbym sobie z tym w tydzień, teraz i miesiąc mało. Tyle moich jęków, za które przepraszam, w gruncie nie wiem, czemu Cię tak zawiodłem. Tym bardziej to dziwne, że ledwie – po otrzymaniu – liźnąłem Twój tekst, od razu wydał mi się lepszy – a nawet znacznie lepszy – od poprzednich. Przede wszystkim mniej manieryczny (czy nad-wyrazisty) w warstwie stylistycznej. Właśnie to jest dobre, że przez całe partie narracja trzyma się właściwie ziemi i dopiero stopniowo odślania się coś, co przypomina rytm (bo to nie rytm w ścisłym sensie), a postacie (zdarzenia) symboliczne, odsyłające do „wyższego” sensu – pojawią się naturalnie i nawet zwykły czytelnik może ich nie zauważyć (ojciec „łódź Charona” itp.). Moim zdaniem Twoja stylistyka była nad-wyrazista, natomiast w tej ostatecznej wersji *Funebre* staje się spokojniejsza, mniej nacechowana, naturalniejsza tutaj niewątpliwie proporcja jest zachowana.

Co do ogólnego sensu... wychodzi, jak myślę, jasno, a przy tym mniej natrętnie niż uprzednio. Zarazem „becketyzmów” mniej, co umacnia niejako narrację w krajowych realiach. A jeżeli są, to jasno (wyraźnie) podkreślone, co także zapobiega ew. nieporozumieniom.

Smutna to książka – jest w niej jednak jakaś „siła” w narracyjnej konsekwencji, a także czyta się ją bardziej „naturalnie” niż poprzednie, co jest znaczną zasługą.

Takie są mniej więcej moje wrażenia. Dlaczego sprawiłem Ci (na pewno) przykrość, nie odpisując szybciej? Głównie z lenistwa, z wszystkich grzechów moich; trochę z lęku, że będzie się powtarzać po poprzednich. Ale tak nie jest, widać zasadniczy postęp (także moja małżonka tak sądzi, a głos „zwykłego czytelnika” nie do pogardzenia). Kiedy się książka ukaże<sup>2</sup>?

Jeszcze raz przepraszam, sam nie pojmuję, jak mogłem być tak leniwy i właściwie – nielojalny!

A co słyhać na Pomorzu w ogóle, a w rodzinie w szczególności?

Ściskam serdecznie, w poczuciu winy i grzechu.

Jan Błoński

## JAN BŁOŃSKI



<sup>1</sup> Aleksandra Fiuta.

<sup>2</sup> Krzysztof Myszowski, *Funebre*, Warszawa 1998.











## Głosy i glosy w 1. rocznicę śmierci Jana Błońskiego

Aleksander Fiut

### O Janie Błońskim – „kilka myśli co nienowe”

Wysoki, postawny, z czupryną niesfornych, z lekka siwiejących włosów, z twarzą wiecznego dziecka, błyskający przenikliwym spojrzeniem spoza okularów, z trochę ironicznym, trochę dobrodusznym uśmiechem na twarzy, zawsze niezwykle starannie ubrany z zachodnioeuropejską elegancją – był dla nas, jego uczniów, na tle peerelowskiej szarzyzny barwnym rajskim ptakiem. Jego charakterystyczny chichot, którym znieacka rozbierał powagę wywodu, jakby trochę chciał pokpić z siebie, trochę, dobrodusznie, z rozmówcy, wprawiał niejednokrotnie – zwłaszcza tych, co go nie znali – w lekką konsternację. Być może maskował w ten sposób wzruszenie, jakie towarzyszy temu, co najbliższe sercu. Tym właśnie była dla niego literatura, o której potrafił mówić z przykuwającą uwagę pasją, popierając błyskotliwe opinie żywą gestykulacją. Błyszczał niesłychaną inwencją intelektualną, ale również erudycją, która czerpała z dwóch źródeł równocześnie: znakomicie dwujęzyczny, czytany

zarówno w literaturze polskiej, jak i francuskiej, potrafił budować między tymi literaturami zaskakujące, ulotne pomosty.

\*

Jeden z ostatnich przedstawicieli tradycji przedwojennej inteligencji, prawdziwie kosmopolitycznej, dla której polskość nie oznaczała poczucia degradacji czy wstydliwie i uparcie maskowanego kompleksu niższości, lecz była naturalnym, niezbędnym fragmentem mozaiki narodów i kultur całej Europy. Odznaczał się wyrafinowanym gustem i wybrednym smakiem, natychmiast odróżniającym prawdziwą wielkość od jej pozoru. Gardzący blichtrzem, z nieukrywanym obrzydzeniem odnoszący się do przejawów toporności uczuć, myślowego prostactwa i pewnej siebie głupoty. Nie przypadkiem w eseju o Tangu skreślił tak celny portret polskiego chama. Nie bez powodu także – o czym wymownie świadczy jego korespondencja z Mrożkiem – tak dotkliwie, boleśnie przeżywał w okresie PRL wszędobylskie kłamstwo, ostentacyjną pogardę dla jednostkowej suwerenności, intelektualną trywialność propagandy, rozpaczliwą miłość życia, następującą stopniowo degradację kultury i rozpad dawnych wzorów cywilizacyjnych oraz jawną i ukrytą przemoc. Jak Mrozek stawał przed dręczącym dylematem: żyć w zniewolonej ojczyźnie czy wybrać wolność i emigrację. Wybrał Polskę. Pozostał lokalną wielkością, choć był uczonym na światową miarę. Jego książki nie zostały przełożone na inne języki. Późny i wielki rozgłos przyniosło mu dopiero, wydane po angielsku, studium Biedni Polacy patrzą na getto.

\*

Był smakoszem literatury, ale także smakoszem życia. Kiedy raz rozplywałem się nad niedoścignionymi zaletami francuskiej kuchni, stanowczo się sprzeciwił: „Nie masz racji – kuchnia włoska także jest znakomita. Te kluseczki!”. Do dziś widzę towarzyszący tym słowom wyraz rozanielenia na jego twarzy. Często też chodziliśmy razem na kremówki, które uwielbiał. Ale te niezapomniane spotkania nie były bynajmniej częścią kawiarzianą paplaniną. Pod spojrzeniem jego przenikliwych oczu wewnętrznie stawałem na palcach, starając się choć trochę sprostac stawianym przezeń

wysokim wymaganiom. Trudno przecenić, ile mu zawdzięczam. Bez niego z pewnością nie byłbym, kim jestem. Pozostał moim, niedoścignionym, mistrzem – obok Kazimierza Wyki, Henryka Markiewicza i Czesława Miłosza.

\*

Pamiętam salę 30 w Collegium Novum wypełnioną po brzegi studentami i studentkami zasłuchanymi w jego błyskotliwe wywody o Schulzu, Leśmianie, Eliocie. Miał odwagę, w 1975 roku, wygłosić wykład, w którym – pod pretekstem nakreślenia paraleli dwóch nurtów w dwudziestowiecznej polskiej poezji – czytał i analizował emigracyjne wiersze Czesława Miłosza. Wykład ten (który miał odmienić moje życie), ukazał się drukiem – wpieryw w „Miesięczniku Literackim”, a później w tomie Romans z tekstem pt. Bieguny poezji. Była to jedna z pierwszych prób przełamania wymuszonej zмовы milczenia wokół przyszłego noblisty. Nie podpisywał listów protestacyjnych, nie angażował się w działalność opozycyjną. A przecież jego wykłady i seminaria zawierały wyjątkowo silny ładunek burzący: elementarny szacunek dla dobra, prawdy i piękna.

\*

Na Uniwersytecie Jagiellońskim sprawował szereg bardzo ważnych stanowisk: był wieloletnim dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej, prorektorem uczelni w najtrudniejszym nie tylko dla niej okresie – bo w czasie stanu wojennego. Wówczas umiał zdecydowanie zaoponować przeciwko panoszeniu się komisarzy WRON oraz odważnie stanąć w obronie szykanowanych studentów. Później pełnił funkcję kierownika Katedry Dramatu. Ale swoją pozycję w środowisku, rozmaite zaszczyty, stopnie naukowe i sprawowane urzędy brał zwykle w ironiczny nawias. Potrafił po Gombrowiczowsku rozbroić każdą zanadto pompatyczną formę. Pamiętam, jak w Auli Uniwersytetu Jagiellońskiego, podczas uroczystej promocji doktorskiej Józefa Opalskiego, ubrany w uniwersytecką togę, przechylił się nad pulpitem i z patosem zagrział: „Doctore Clarissime!”. Po czym przerwał i sponad okularów spojrział

z rozbawieniem na swojego ucznia, który z nadludzkim wysiłkiem usiłował w tym momencie zachować, przystojną miejscu i sytuacji, powagę.

\*

Budził prawdziwe zgorszenie partyjnych kolegów ostentacją, z jaką uczestniczył z całą rodziną w akademickiej mszy św. w kościele św. Anny. Jawne okazywanie religijnych przekonań, a także przyjaźń, jaka łączyła go z redaktorami wydawnictwa Znak oraz „Tygodnika Powszechnego”, były jedną z przyczyn celowego opóźniania przez władze jego kariery naukowej. Pomimo doskonałego dorobku naukowego, porywających wykładów i powszechnego podziwu oraz szacunku, jakim się cieszył wśród większości kolegów i studentów, pozostawał „wiecznym docentem”, podczas gdy znacznie późniejsi od niego szybko awansowali. Stało się zatem w naszym środowisku milcząco przyjętą normą, że tytułowaliśmy go profesorem, choć tytuł ten oficjalnie uzyskał dopiero w okresie „Solidarności”.

\*

We wszystkim, co pisał, pozostawał nade wszystko znakomitym pisarzem. Trudno się oprzeć wrażeniu, że dzieła, które poddawał starannej analizie, stanowiły dlań jedynie kanwę zasadniczych roztrząsań nad zawiłą tajemnicą ludzkiej kondycji. Dlatego dobierał je niezwykle starannie, kierując się zwykle nieomylnym słuchem literackim. Mistrz antytezy, wprowadzał myśl w ciągły ruch, w stan poszukiwania i niesłabnącego nienasycenia. Jego styl kipiał wewnętrzną energią, nieustannie prowokował i pobudzał do refleksji. W swoich romansach z różnymi tekstami był niezawodnym, wrażliwym i kompetentnym przewodnikiem, ale oczekiwał także żywego odzewu odbiorców. Stąd w jego stylu tyle retorycznych pytań, wykrzykników, wielokropków i myślowych pauz. Najlepiej czuł się w nieustannym dialogu: z dziełem, z czytelnikiem, wreszcie z własnym „ja”. Wszędzie tam, gdzie gotowe formuły musiały zostać poddane próbie prawdziwości, aktualności oraz norm etycznych, ale również – zdrowego rozsądku, gdzie rozmaite stanowiska dziwiły się sobie, a nowoczesne metodologie wspierała w bojach o ukryte znaczenie tekstu tradycyjna, pocziwa filologia.

\*

Był naturą głęboko religijną, ale jego wiara zdawała się być naznaczona ukrytym dramatem, którego ślady wyśledzić można w jego tekstach. Może dlatego szczególnie pociągali go autorzy przeżywający głębokie religijne rozterki – jak Sęp-Szarzyński, Baczyński czy Miłosz, rozdarci wewnętrznie agnostycy – jak Leśmian i Gombrowicz, cierpiący na metafizyczne nienasycenie – jak Witkacy i Schulz. Ci, co – jak Baczyński, któremu poświęcił piękny esej pod wymownym tytułem Pamięci anioła – potrafili się złu oprzeć, składając siebie w całopalnej ofercie, ale także ci, co – jak Genet – zostali złem dogłębnie skażeni. Albo – jak Proust – szukający swego rodzaju odkupienia w dziele sztuki i w samym akcie kreacji.

\*

Pod maską ironii, humoru, a nawet błaznowania ukrywał, podejrzewam, jakąś ciemną tajemnicę, bardzo bolesne wewnętrzne zranienie. Być może wyniesione z okresu okupacji, oglądania rozpętanego zła oczyma wrażliwego nastolatka. Opowiadał mi, że widział płonące getto warszawskie oraz kręcącą się pod jego murami w Wielkanoc 1943 roku karuzelę, opisaną przez Miłosza w Campo di Fiori. Wspominał także swój tuż-powojenny pobyt w Toruniu. „Wiesz – opowiadał – niemal zaraz po zakończeniu wojny miasto zaczęło żyć naturalnym rytmem: pootwierano sklepy, pełne towarów, urzędy, wszystko powracało pomału do normy. Ale to bardzo szybko się skończyło, gdyż władzę objęli ludzie najgorszego autoramentu.”

Może dlatego tak przyciągał jego uwagę element demoniczny ukryty tyleż w pojedynczym człowieku, co w całej historii, roztrząsany przez najwybitniejszych filozofów, teologów i pisarzy? Może z tego powodu był tak dalece, alergicznie wręcz uczulony na podszepty nihilizmu? Nie przypadkiem napisał cykl, drukowanych w „Tygodniku Powszechnym”, esejów pt. Diabeł w polskiej literaturze powojennej, wnikliwej analizie poddając rozmaite wcielenia Księcia Ciemności m.in. w dziełach Miłosza, Gombrowicza, Jarosława Marka Rymkiewicza, ale także Gogola i Bułhakowa. I nie bez powodu, swoje studium o Traktacie poetyckim Miłosza zakończył deklaracją, że jego dalszy ciąg napisze: „jeśli Bóg pozwoli, a diabeł nie skreśli”. Diabeł, niestety, skreślił. Dalszy ciąg jego pisania i jego życia.

Aleksander Fiut

## Marek Kędzierski

### „W kwestii Becketta, ja już się wyprztykałem...”

Napiszę o pierwszych i ostatnich spotkaniach z Janem Błońskim – te najmocniej utkwiły mi w pamięci. Poznałem go w PRL-owskiej przestrzeni i z PRL-owskimi rekwizytami w tle. Najpierw był początek końca komunizmu, zima zaatakowała w ostatni wieczór roku 1978. Wraz z obfitymi opadami śniegu przyszedł mróz, w elektrowni na Powiślu zamarzyły hałdy węgla, w całej dzielnicy zaczęły stygnąć kaloryfery. Tego wieczora rozmawialiśmy po raz pierwszy telefonicznie. Od Jana Błońskiego dowiedziałem się, że podobnie dzieje się w Krakowie. W całym kraju. Tematem naszej rozmowy była nie literatura, tylko „Eee tam, to wszystko się sypie”.

Parę dni później, w styczniowy wieczór, kolejny wrogi realnemu socjalizmowi zmasowany atak zimy i nasze pierwsze spotkanie. Jestem z bratem, bratem z Kanady, ośnieżonymi ulicami przebijamy się do „willi” przy ulicy Narwik. Pierwszy raz ściskam dłoń Profesora, jest bardzo miły, bezpośredni, nie zaczyna od literatury, przy herbacie najpierw wypytuje brata o sytuację lingwistyczną i rolę francuskiego w Quebecu. Uprzejmy, normalny, bez pretensji, inny niż profesorowie – i docenci – z którymi miałem dotychczas do czynienia. Nie dziwi go, że piszę o Beckettie, nie wydaje mu się to anormalne. Tylko śmieje się, i uśmiecha.

Maciej Żurowski, wielki erudyta, mój recenzent, uniwersytecki, ale pozawydziałowy, po rezygnacji dwóch wydziałowych, szukał dla mnie kolejnego. To on zasugerował profesora Błońskiego, widział w nim ratunek: „to dla pana szansa wyjścia z impasu”, podkreślając, że będzie on wreszcie kimś kompetentnym. Moja praca, najogólniej biorąc, o współczesnej tragedii, z biegiem czasu zawężona do „przykładu” twórczości Samuela Becketta, przez półtora roku czekała na recenzenta. Uniwersyteccy docenci-decydenci od literatury współczesnej i teorii literatury nie wiedzieli, co z nią zrobić – polonistyczna, romanistyczna, anglistyczna, teoretycznoliteracka, a może historycznoliteracka, może kulturoznawcza, a może teatrologiczna? Nie mieściła się łatwo w jakiejś szufladce. A ja do tego studiowałem jeszcze japonistykę – zawieszony między promotorem w IBL a stypendium na UW, w dodatku od nienawidzącej IBL-u, zakompleksionej i partyjnej warszawskiej polonistyki. Jan Zet Jakubowski, w najlepszym wypadku Artur

Sandauer *vis à vis* Stefana Treugutta, mojego promotora i Michała Głowińskiego. Sugestia Żurowskiego, romanisty, okazała się zbawienna, rozwiązanie mojego dylematu znalazło się w Krakowie. Miałem powód do zadowolenia, Jan Błoński zgodził się być recenzentem – nie tylko zgodził się, ale zainteresował się moją pracą, w listach konstruktywnie komentował, zachęcał, podsuwał różne pomysły. Miałem nawet powód do entuzjazmu: on wszystko rozumie!

Żurowski lojalnie przestrzegał, że trzeba uważać, bo Błoński ma jedną wadę: „to taki dowcipniś, śmieje się nawet wtedy, gdy nie wiadomo, z czego tu się śmiać. Przynajmniej ja nie wiem” – solidnie precyzował zawsze precyzyjnie solidny profesor. Zastanawiam się, czy widziałem kiedyś uśmiech na twarzy Żurowskiego. Jednak nie, zbyt poważnym był uczonym. W kwestii Becketta, jego preferencją był nie dramat, lecz – co było, i jest, rzadkością – związki prozy z klasyką francuską. Dwaj profesorowie. Obaj kompetentni w moim temacie jak chyba nikt inny w kraju, ale jakże różni. Błoński dowiódł mi, że można być profesorem, bardzo wiele przeczytać i wszystko rozumieć, a jednocześnie nie mieć przytępionego słuchu i wzroku i nie stracić wrażliwości – to było wówczas najważniejszą lekcją dla mnie.

Błoński idzie na skróty, tłumaczyłem znajomym. To, na co inni potrzebowali długich elaboratów, on ujmował w jednym zdaniu, w błyskotliwym sądzie, który, gdyby chciał poddać go „naukowemu” oglądowi, okazałby się nie mniej przemyślanym, tudzież równie – jeśli nie bardziej – trafnym niż rozbudowane niekiedy w całych tomach argumenty uczonych literaturoznawców.

Jego wywodowi przydawały życia krótkie spięcia, jakby wyładowania elektryczne, dzięki którym dużo prędzej dochodził do celu i dzięki którym unikał nudziarstwa. Nie tylko wywodowi literackiemu. W czasie naszych pierwszych spotkań uderzyła mnie jego błyskotliwość w rozmowie. Praktykował z uśmiechem sztukę wymarłej, jak się wydawało, elokwentnej konwersacji, nie tylko na tematy literackie. Posiadał imponującą wiedzę humanistyczną, więcej niż wiedzę, obdarzony był rzadko spotykaną kulturą humanistyczną. W dziedzinie muzyki na przykład, choć jego wiedza nie była wiedzą muzykologiczną, tego, co mówił, kiedy zabierał głos na temat muzyki, nie powstydziliby się najlepszy muzykolog. Jeszcze precyzyjniej artykułowane były jego wypowiedzi z dziedziny sztuki, zwłaszcza historii sztuki. Do wiedzy o malarstwie dodawał oczywiście swoje spojrzenie historyka kultury. Zwracało uwagę, że nie jest to wiedza podręcznikowa, że tam, gdzie polonista zazwyczaj wypowiadał komunały o sztuce, on miał swobodę historyka sztuki

– i poruszał się ze zręcznością linoskoczka: między sztuką a literaturą, tak jak między kulturą a życiem. Pamiętam, jak w czasie przechadzki nad Wisłą nieopodal klasztoru Paulinów, widok psów i leżącej na trawie pary sprowokował dyskusję o Satyrze oplakującym nimfę Piero di Cosimo. Wydawało mi się, że jego erudycja często szuka okazji, by zmanifestować się w obszarach niekoniecznie mających wiele wspólnego z literaturą czy humanistyką. Niespożyta i szybko się odnawiająca energia myślowa szukała wciąż innej pożywki. Na obszarach życia. Pamiętam, rozmawiając z nim w kawiarni studenckiej przy ulicy Gołębiej, obserwowałem, jak od czasu do czasu patrzył wokół. Nie tracąc wątku naszej rozmowy, regularnie skanował otaczającą rzeczywistość. Słuchając go, i patrząc jak wodzi oczyma za tym, co w tej kawiarni poruszało się lub pozostawało w bezruchu, pomyślałem, że patrzy na świat tak samno przenikliwie... jak to powiedzieć? – że obserwuje świat z tą samą nerwowością... nie, nerwowość to nie jest odpowiednie słowo, bo nie patrzył nerwowo, lecz było to coś sterowanego układem nerwowym, związane z jego nieprofesorskim temperamentem, temperamentem rozumianym jako typ witalności. Ten typ witalności, ta jego nerwowość, w sensie absolutnie pozytywnym, konstruktywnym, wyznaczały u Profesora rytm, w jakim chłonał on otaczający go świat, i rytm, w jakim sam oddychał.

Powiedziałbym, że ów temperament, ów oddech dyktował mu też rytm zdań, które wypowiadał, a pośrednio również tych, które zapisywał w swoich tekstach, bo przecież nawet teraz, gdy sięgamy do jego książek, ci, którzy go znali, czytając, słysząc, jak on mówił. Hasło „układ nerwowy“, w tym kontekście, biorę oczywiście od Bacona, ale przeniesienie na Błońskiego nie jest chyba nadużyciem. Tym samym rytmem pisał, mówił tym samym rytmem, mimika jego twarzy to była ustawiczna zmiana, dłonie jego też nie ustawały, nie dawał im świętego spokoju, tak jak i one jemu nie dawały spokoju, święty spokój był czymś, na co on nigdy im – ani sobie – nie pozwalał, palcami wybijał rytm, palce mają swoją energię, swoją inteligencję motoryczną. I jego wybijanie palcami przy stoliku na Gołębiej wiąże z tym, co pisał. Nawiasem mówiąc, tym rytmem wyrażał się esprit tout à fait cartésien, jego koncepcja rzeczywistości była dla mnie klarowna, jasna, racjonalna, jeśli nie racjonalistyczna. Nigdy nie zauważyłem, by było tam miejsce na rozpacz. Kwestia temperamentu, kiedy teraz o Nim myślę, właśnie jego temperament wybija się na pierwszy plan.

Przywoływane przez pamięć obrazy z tego pierwszego okresu, z tych zamierzchłych czasów. Jestem w czytelni IBL-u. Nagle zagląda tam Profesor: „Jestem dosłownie na chwilę w Warszawie, ale kawę na górze zdążymy na

pewno wypić”. Rozgląda się po czytelni, podchodzi do regału, patrzy na prasę zagraniczną: „No proszę: «Tel quel», «Partisan Review», «Literaturnaja Gazieta». No i kto twierdzi, że tu jest cenzura? – śmieje się – przecież takiego wyboru nie powstydziliby się Sorbona”. Potwierdzam, że w kwestii Becketta, w IBL-u jest chyba lepiej niż na Sorbonie. „Tylko niech pan spojrzysz na ten świat na zewnątrz, na ten Nowy Świat – oddzielony zakratowanymi oknami, przez które przedostaje się żółte światło codziennej, prawdziwej rzeczywistości. Bo wie pan, u nas to tak jest, żeby nie było cenzury, trzeba się zaszyć w tych zakamarkach Akademii Nauk, a czegoż by innego?”

I kpi sobie: „Badają trochę jak w Sowietach (a może powiedział «po sowiecku»), badają literaturę «naukowo», oddzieleni od ludu, odsunięci od młodzieży, na którą mogliby mieć zgubny wpływ”. On, który nie był oddzielony od studentów, musiał dostrzegać, co tym ludziom odebrano, co znaczyło, przynajmniej dla niektórych, zamknięcie w wieży z kości słoniowej. Duża część naszych wczesnych konwersacji dotyczyła polityki, to Profesor na ogół w tę stronę kierował rozmowę. Błoński starał się patrzeć na PRL-owską rzeczywistość oczami normalnymi. Co to znaczy? Jak ktoś z zewnątrz. Potrafił się jednak błyskawicznie znaleźć w środku – wówczas bardzo mnie to zaskakiwało.

Moja obrona odbyła się w murach uniwersytetu, a potem już w klubie PAN-owskim na górze w Pałacu Staszica kawa, pączki, półwytrawny szampan, niewykluczone, że krymski, sowieckoję igristoje. Ale bardziej wryła mi się w pamięć późniejsza rozmowa z Profesorem w kawiarni na MDM-ie, do której pojechaliśmy taksówką. Był przy niej obecny, jeśli się nie mylę, Janusz Maciejewski. Architektura wewnątrz PRL-owska, zimowy chaos na zewnątrz również, a do tego PRL-owskie rekwizyty. Wychodząc z kawiarni obaj panowie wymienili czarne, skórzane półbuty na tak zwane obuwie śniegowe, przedmioty z epoki, to był wówczas krzyk mody krajowej, wysokie, z tworzywa sztucznego, z filcową wkładką, powleczone ortalionem. Bodajże brudnoniebieskiej barwy. Moment pożegnania, panowie w eleganckich płaszczach, schowawszy do teczek z „Tekstami” skórzane półbuty, w ortalionowym obuwiu przedzierają się przez zasy w centrum Warszawy – było to pół roku przed powstaniem „Solidarności”.

„Wie pan, ja popełniłem posłowie do PIW-owskiego tomu dramatów Becketta (wiedziałem, oczywiście, przecież w latach siedemdziesiątych była to podstawowa lektura beckettowska po polsku) i podpisałem jakiś czas temu z «Czytelnikiem» umowę na książkę o nim, no powiedzmy: książeczkę, ale



nie mam weny, żeby to jeszcze raz rozbudować. W kwestii Becketta, ja już się wyprztykałem. Może pan by się do tego przedsięwzięcia przyłączył?" „Wyprztykałem się”, tak powiedział, z uśmiechem na ustach. Rzecz jasna, jego zaskakująca propozycja w MDM-owskiej kawiarni to był dla mnie, dwudziestoparoletniego „doktora”, wielki honor. Nieco na wyrost. Na wyrost, czy po prostu bardzo hojna? Wspaniałomyślny, szczodry człowiek, myślałem wracając z tego spotkania.

Wkrótce potem – zima wciąż atakowała – w gabinecie Naczelnego na Wiejskiej, Michał Sprusiński wyjaśnił mi ideę nowej serii „Klasycy literatury XX wieku” – krótkie eseistyczne profile autorów, którzy odegrali kluczową rolę w literaturze, w naszym wypadku miał to być uzupełniony o tematykę prozy ogólny esej Błońskiego oraz mój tekst, najlepiej o charakterze bardziej szczegółowym, do tego część informacyjna, wypowiedzi krytyczne, kalendarium. Rozmowa ze Sprusińskim też bardzo szybko zeszła na tory polityczne. Pamiętam moje zdziwienie z powodu uwag typu „wszyscy widzimy, system jest zmęczony, długo nie pociągnie”, podczas pierwszej rozmowy z nieznanym mu człowiekiem. Zaskoczyło mnie to, bądź co bądź w moich oczach był to przedstawiciel urzędowego życia literackiego.

W ślad za propozycją Wielkiego Krytyka, bym przyłączył się do niego w owej książeczce o Wielkim Autorze, wykuł się pomysł autorskiej inscenizacji Becketta w Krakowie. Jan Błoński był wówczas kierownikiem literackim Starego Teatru i przypadł mu do gustu pomysł, by Wielki Autor, tak jak w Berlinie, reżyserował swoją sztukę również w Krakowie. Beckett odpowiedział, że nie zna polskiego i że w ogóle jest już za stary na takie rzeczy, ale jest pewien, że jego asystent z Schiller-Theater, Walter D. Asmus, zrobi to dużo lepiej od niego. I tak, za sprawą Błońskiego, we wrześniu 1981 roku Asmus rozpoczął próby Końcówki w Krakowie, w moim przekładzie i ze mną na planie jako kimś w rodzaju asystenta reżysera. Premiera odbyła się niespełna dwa miesiące przed ogłoszeniem stanu wojennego. Jan Błoński przyszedł dwa razy na próbę, pamiętam, że aktorzy Halina Kwiatkowska, Wiktor Sadecki, Roman Stankiewicz i Leszek Piskorz, patrzyli na niego z równym respektem, jak sympatią.

Profesor był naszym przewodnikiem po Krakowie. Idąc do Kameralnego mijamy ulicę Dietla i wchodzimy na Sarego, „Kraków nie wstydził się swoich Żydów”, tłumaczy, kto to był Józef Sare, opowiada o tym, że Kazimierz był wyspą, oddzieloną od reszty Krakowa Starą Wisłą. Tu gdzie teraz jeżdżą auta, był kiedyś deptak. Pokazuje bramę kamienicy: „To po mezuzach, w te

nisze wkładało się pergamin z cytatami z Tory. Bardzo dyskretnie. Kiedyś to była ulica Starowiślna, teraz Bohaterów Stalingradu”.

Profesor próbował nam pomóc w codziennym życiu, nie mieliśmy kartek żywnościowych, więc prowadził nas do restauracji, w której były tylko dania z dziczyzny i próbował nadrabiać deficyty humorem: „zamiast Wienerschnitzel, ma pan tu kotlet z dzika, nie ma cielęciny, ale jest stek z sarny”. Mieszkaliśmy w ośrodku miasta Krakowa na Woli Justowskiej, opustoszałym od czasu, kiedy kraj dotknęła zaraza Solidarności. Profesor przyjechał na Wolę Justowską w październikowe popołudnie i chodził po terenie ośrodka, zasnutym dymem, który Asmusowi przypominał czasy dzieciństwa w DDR. Przy wejściu do hotelu, natychmiast zaczęła z nim rozmawiać pani M., recepcjonistka, która w tych trudnych czasach czuła, że musi przejąć kontrolę nad powierzonym jej przez władze ośrodkiem. Ich rozmowa brzmiała mniej więcej tak:

M.: Proszę pana, dotychczas był tu zawsze ruch, dużo się działo, przyjeżdżały delegacje z Bułgarii, z NRD, radzieckie, ale i z Zachodu, był Walter Scheel, był Giscard, Kreisky, o proszę, ten był bardzo miły, przemiliły, zostawił mi ten puchar w prezencie. A teraz pustki.

Profesor: uśmiecha się.

M.: Tu na przyjęcie takich gości są bardzo dobre warunki, wewnątrz reprezentacyjne, kryształ, lustra, wszędzie wysoki standard, pokoje reprezentacyjne też są dobre, przestronne, z pięknym widokiem na Kopiec.

Profesor: zdaje się przytakiwać.

M.: No ale teraz to nie ma nawet wyżywienia, nie wiedziałabym, czym takich gości mam przyjąć. My, proszę pana, z mężem mamy w piwnicy króliki, one są bardzo wdzięczne do chowu, spokojne, nie wadzą nikomu, a jeszcze jak się robi zimno, to od piwnicy idzie od nich ciepło, naprawdę produkują ciepło, więc jak nam wyłączą ogrzewanie, to jeszcze jedna będzie korzyść. A teraz mieszkają tu tylko panowie z teatru, no więc sekretarz się zgodził, zlitował się i przyjął te dwie dziewczyny, na studia przyjechały, ale nie dano im akademika, bo to córki sekretarzy z Nowego Śącza.

Profesor: robi trudną do zdefiniowania minę.

M.: A tu mają dobrze, spokojnie, dużo miejsca, duży ogród, byle tylko nie piły, bo tam na Podhalu, to nawet dziewczyny piją. A raz jak tu było przyjęcie, to zarzygali mi marmurowe posadzki, na szczęście kryształ ocalały...

Kobieta mówiła, a partner dialogu wypowiadał się wyłącznie mimiką twarzy i nieznacznymi ruchami dłoni, ale widać, budził jej zaufanie, bo „rozmawiała” z nim jeszcze przez dłuższą chwilę. A on patrzył na Asmusa i na mnie, jakby

chciał powiedzieć: „No i co z tym można zrobić?”. Później komentował: Mroźka nie trzeba szukać w bibliotekach, jest wszędzie naokoło. Takie to były czasy.

Inna scena z tego samego aktu, Jan Błoński przyjmuje Asmusa i mnie w gabinecie rektora UJ. Wprowadza przez sekretariat, informując, że bez sekretarki, bo strajk i groźby, że sekretarki i szatniarze domagają się nie tylko podwyżek, ale i dodatkowych kartek na mięso i wódkę, „bo praca szatniarza jest ciężka, w dodatku najczęściej bez światła, w podziemiach, sekretarek też!”, wyjaśnia, wciąż z uśmiechem na twarzy, w jego uśmiechu jest pewne zakłopotanie, drwina, ale nie z tych ludzi tylko raczej z okliczności, drwina Gombrowiczowska, nawet pewnego typu arogancja – ale raczej jako komentarz o systemie. Wielki gabinet, nobliwi antenaci, uczeni, zasłużeni, a pośród tego napuszenia, on, jakby nie na swoim miejscu, robi wrażenie jakby chciał powiedzieć: „skoro już tu jestem, to będę czynić honory, gotów jestem nawet na to”.

W latach osiemdziesiątych kontaktowaliśmy się listownie, dopiero po upadku komunizmu, przejeżdżając przez Kraków, wstąpiłem na Polonistykę i zobaczywszy, że Profesor ma akurat godziny przyjęć, zapukałem i nagle znalazłem się na jego seminarium, które odbywało się w jego gabinecie. Od tego czasu przez dziesięć lat utrzymywaliśmy kontakt już w normalniejszej niż mroźkowska rzeczywistość roku 1981. Nasze spotkania, w jego domu (np. z Jerzym Jarzębskim, z Krzysztofem Myszkowskim, ze Stanisławem Lemem), w kawiarniach, w moim krakowskim lokum, w fundacji Pro Helvetia, w Bunkrze Sztuki, teatrach, włączając offowy teatr Bückleina, w którym z aktorami ze Starego wystawiałem Becketta. Weszło mi to w nawyk, że ilekroć zjawiałem się w Krakowie, dzwoniłem do niego i zazwyczaj umawialiśmy się na spotkanie. Nawyk, który dawał złudne przekonanie o trwałości tej sytuacji. Dopóki nie objawiło się coś innego. Czymś innym była jego choroba.

O swej chorobie powiedział mi na przełomie 1999/2000 roku. Podczas rozmowy telefonicznej zapytałem, czy nie zechciałby wystąpić w czasie festiwalu „Beckett in Berlin 2000”, który organizowałem wspólnie z Walterem Asmusem. Wydawał się nam idealnym uczestnikiem dyskusji Samuel Beckett i dwudziesty wiek z udziałem takich gości jak Václav Havel, Edward Albee, Harold Pinter i Susan Sonntag. W odpowiedzi usłyszałem pytanie, czy nie wybieram się do Krakowa. Tak, będę za trzy tygodnie. Dobrze, w takim razie zaprasza mnie do siebie i wyjaśni mi osobiście. Trochę mnie zdziwiło, że nic więcej od niego nie usłyszałem. Przed spotkaniem czułem, że jego udział nie jest pewny, nastawiłem się więc na przekonywanie go, żeby przyjechał.

Wprowadził mnie do „salonu” i zaraz jak tylko usiadłem, zaczął wyjaśniać, że od jakiegoś czasu ma dziury w pamięci, jakby nagle film mu się urywał, że na zajęciach uniwersyteckich zapomina o tym, o czym przed chwilą mówił. „No, w czasie wykładu, to z Bogiem sprawa, ale gdyby coś podobnego miało się zdarzyć na dyskusji z Havlem i Sonntag?”

Dałem za wygraną. Kiedy go ponownie zobaczyłem, po festiwalu, w domu była też jego żona: „Teresa jest moim aniołem stróżem, to mój sekretarz, lekarz, przypominacz”. Pani Teresa potwierdzała: „Tak, przypominam Jankowi o jego terminach, pomagam znaleźć to, czego szuka”. „Unikam teraz wystąpienia publicznych, nawet wygłaszania referatów. Wolę – mówił – skorzystać z okazji i zrobić to, co długo sobie obiecałem. Wie pan, ja dosyć dużo mam różnych materiałów, szkiców, tekstów niedokończonych, teraz może pora, by to zebrać, opracować i wydać w formie książkowej. Kiedy przychodzi taki moment, że czegoś nie pamiętam, po prostu muszę trochę odczekać, aż to minie, a potem piszę dalej, te przerwy nie mają żadnych konsekwencji.” Los akurat w kwestii pisania uczynił wobec niego ustępstwo. Patrząc na osiem tomów z lat 2001–2008, w większości przesłanych mi przez Profesora, jakże ważnych dla refleksji humanistycznej w Polsce. Zdążył, nim pogrążyła go choroba. W pierwszym okresie nie byłoby to możliwe bez zaangażowania i ofiarności pani Teresy. Niestety, być może również codzienny stres i ustawiczna troska o niego skróciła jej życie – po jej nagłym odejściu Profesor nie był już tym samym człowiekiem.

To, co nazywał przerwami, zdarzało się coraz częściej i coraz dłużej trwało. Choroba zżerała mu pamięć, wypalała w niej dziury, jak w papierze, z biegiem czasu okresy, w których kontrolował sytuację, pamiętał kim i gdzie jest, same stały się przerwami w narracji niepamięci, jasnymi wysepkami na morzu niebytu, momentów, w których manifestował się jego niepokój, manifestował w różny sposób, raz mocniej, raz słabiej, ale zawsze się to wyczuwało. Niepamiętanie odnosiło się do tego, co było niedawno, a zwłaszcza w terażniejszości, coraz częściej nie pamiętał, co było przed chwilą, co właśnie powiedział, nie pamiętał, co robi i co ma akurat zrobić, nie pamiętał też, gdzie jest.

Świadomy tych epizodów już w 1999 roku, próbował się z nimi uporać, w tym celu wypracował swoistą taktykę, tak dla siebie, jak i świata zewnętrznego. Częścią jej było na przykład zapisywanie „sobie” czegoś, co mógłby zapomnieć, na swoją potrzebę, ale zapisywanie funkcjonuje tylko do pewnego momentu, dopóki pamięta się o nawyku sprawdzania tego, co zostało

zapisane. Innym sposobem, dla „ludzi”, było maskowanie owych przerw, dziur, pauz, w których zawieszono było działanie pamięci, kim jest, kiedy nieświadomy był tego, co się dzieje, w nim i wokół niego.

Czasami były to bardzo przemyślane triki, by wywieść w pole tę chorobę – potem maskowanie przed innymi i maskowanie jej przed samym sobą, próby przechytrzenia choroby i przechytrzenia otoczenia, minimalizowanie efektu choroby. Jednocześnie jego otoczenie, ci, którzy z nim utrzymywali kontakt, również zaczęli stosować pewną taktykę, coś w rodzaju zawieszenia wiary, taktykę dawania względnej, nie bezwarunkowej wiary temu, co on mówi, a raczej może wierzenia w to z pewną ostrożnością.

Prognoza mogła wskazywać tylko jeden kierunek: pamięć musiała być pożąta. Na początku był całkowicie świadomy jej zanikania i zadziwił mnie tym, że stać go było na jasną i klarowną refleksję, że tak celnie analizował proces, którego był przedmiotem i który prowadził do tego, by on nie był już zdolny analizować. W przerwie między dwiema dziurami potrafił całkiem trzeźwo mówić o arbitralności tracenia pamięci, w oderwany, niemal kliniczny sposób. To nie on wybierał moment, to choroba, i nie było w tym żadnej metody, żadnej logiki – tu niemal się skarżył.

Jedno ze spotkań już po śmierci pani Teresy. Syn wprowadza mnie do znanego z tyłu wizyt pokoju, w którym zrobiło się jakby ciemniej i bardziej pusto, w tym mieszkaniu już nie jest jak wcześniej, ktoś odszedł, Profesor porusza się po pokoju trochę jakby był zamknięty w klatce, a może to w ruchach jego wyraża się jakaś desperacja, jego ciało wydaje mi się bardziej wiotkie. Nie można powiedzieć, że rozmowa się nie klei, padają pytania, padają odpowiedzi, są takie pytania, które same się zadają, i odpowiedzi, które same padają. Kto wie, może nawet, liczona w minutach, część konwersacji, która wydaje się „normalną”, jest dłuższa niż przerwy, ale i tak te przerwy, przynajmniej w moim odczuciu, biorą górę. Jego palce wciąż coś wygrywają, zachowują nerwowość, ale negatywną, te palce już nie są posłuszne temperamentowi, który budował. Ta nerwowość daje energię, ale niczego konstruktywnego nie porusza, pracuje na biegu jałowym, nie posuwa naprzód, jest bezradna. Profesor stał się nagle... stał się bardziej... szukam słów... stał się naraz sam, bardzo sam, sam, bo nawet bez siebie, być może. Wracam z ulicy Narwik przygnębiony.

Na jednym z moich spektakli Cudownych dni w Starym Teatrze, kiedy gaśną światła i Winnie zaczyna grać, w ostatniej chwili wypatruję na widowni wolne miejsce i siadam. Po jakimś czasie słyszę obok siebie śmiech, cichy,

ale pojawiający się we „właściwych” momentach. To dobry znak, dowodzi, że aktorka wie, co robi. W pewnej chwili mimowolnie spoglądam na mojego sąsiada, oczy same to robią, potem wracają na scenę i nagle świta mi w głowie: to znajoma twarz. Spoglądam raz jeszcze: Profesor. Pod koniec pierwszego aktu on też mnie spostrzega, witamy się, kiedy zapala się światło. Mówi, że był już raz na spektaklu, a teraz przyszedł, by sobie utrwalić pewne rzeczy. Ja mówię, że to wielki przypadek, że usiadłem akurat obok niego i że zorientowałem się dopiero po kilkunastu minutach. Rozmawiamy o Cudownych dniach, to już trzeci wariant przekładu tytułu Happy Days, po Radosnych dniach Tarnów i Szczęśliwych dniach Libery – jego krótki wywód jak za dawnych czasów, konstatuje nie bez zadowolenia. Ale już chwilę później wyczuwam tę negatywną nerwowość, profesor patrzy w kierunku drzwi wejściowych. Kiedy mówił, że już raz spektakl widział, może nawet dwukrotnie, zastanawiałem się, czy tak rzeczywiście było. Teraz opowiada, że w trakcie tego wcześniejszego przedstawienia w chwili, gdy Winnie mówiła o tym, że na tym bezludziu nie ma żywego stworzenia, nagle z głośnym brzęczeniem zaczęła w świetle reflektorów krążyć pokaźna ćma, zdaję sobie sprawę, że niesłusznie go „posądzałem”, ponieważ faktycznie tak się zdarzyło, mówiono mi już o tym. Profesor śmieje się, ja się do jego śmiechu przyłączam, znowu przez chwilę sprawy jakby powróciły do dawnego porządku. Muszę na chwilę przejść za kulisy, przepraszam, umawiamy się po spektaklu w kuluarach, w tym momencie nie jestem pewien, czy miejsce, na którym siedziałem, będzie jeszcze wolne. Wracam pod koniec przerwy, szukam profesora. Nie ma go. Nagle dostrzegam tę charakterystyczną sylwetkę, widzę, jak z szatni zabiera parasol i płaszcz i wychodzi z teatru. Na widowni są teraz dwa miejsca wolne, jedno Profesora i drugie obok, tak jak podczas pierwszego aktu. I uświadamiam sobie, że wcale nieprzypadkowo usiadłem na wolnym miejscu obok Jana Błońskiego – po śmierci pani Teresy dyrekcja w dalszym ciągu przysyłała mu zaproszenia dla dwóch osób. Siedziałem na jej miejscu.

Innym razem, rok później, zimą, widzę go na Plantach, podchodzę z uśmiechem, spostrzega mnie, rzucam w jego stronę: dzień dobry, a kiedy na mnie patrzy, również z uśmiechem, ale zakłopotanym, jak mi się wydaje, dodaję: Marek Kędzierski. „No przecież widzę” – mówi, jednakże ja nie jestem pewien, że to takie oczywiste. Ale rozmawiamy na pozór tak jak wcześniej, pyta, czym się teraz zajmuję, ja pytam go o to samo. Gdyby ktoś nie uważał, nie zwracał uwagi na dyskretne znaki, mógłby uznać to za prawdziwą rozmowę.

W zamierzchłej, „mroźkowsko-czytelnikowskiej” przeszłości, dyskutowaliśmy o beckettowskim widzeniu Prousta. Nieoczekiwanie dla mnie, eseju młodego Irlandczyka o W poszukiwaniu straconego czasu Profesor wcale nie traktował jako wypowiedzi mówiącej więcej o Beckettie niż o Prouście. Jaka była dla Prousta rola Przyzwyczajenia? Na czym polegała różnica między Proustem a Beckettem w pojmowaniu Schopenhauera? Czy Beckett, pisząc o proustowskiej koncepcji pamięci mimowolnej, nie wciągnął zbytnio Prousta w mechaniczny schemat? Teraz, pisząc te słowa, nieoczekiwanie zdałem sobie sprawę, że Profesor, swoją biografią, dodał komentarz na ten temat.

Według Becketta, w dziele Prousta Przyzwyczajenie (które wolę tu nazwać Nawykiem) i Pamięć to atrybuty tego nowotworu, który uśmierca całą ludzkość, czyli Czasu. Nawyk daje iluzję niezmiennego trwania osobowości, choć znajduje się ona w nieustannym ruchu – jest serią rozpadania się jednej chwilowej konfiguracji i ponownego generowania kolejnej. Nawyk pozwala nam przetrwać w pewnym komforcie psychicznym i we względnym spokoju – za cenę nudy. Beckett nazywa tę nudę „boredom of existence”, „nudą egzystencji” – w odróżnieniu od stanu, określanego mianem „suffering of being”, „cierpieniem bytu”, w którym zawieszony zostaje działanie Nawyku i jednostka staje wobec świata zewnętrznego, poznając go takim, jakim jest. To cierpienie otwiera okno na świat rzeczywisty, natomiast nuda – zamula, zamazuje prawdziwe doznania – ale pozwala nam żyć i trwać dalej, prowadzi nas przez życie.

To rozróżnienie idzie ręka w rękę z innym: Proust opisuje dwa rodzaje pamięci: pamięć posłuszną woli i pamięć od woli niezależną. Ta pierwsza to narzędzie szufladkowania, skatalogowanych odniesień, jest ona jak album z fotografiami z kolejnych lat, jak sznur, na którym zawieszają się obrazy kolejnych dni, to pamięć, która służy do wytworzenia świadomego i ukształtowanego przez rozum wizerunku przeszłości, pamięć intelektualna – wolicjonalna i umyślna. Ta druga jest niezależna od woli, intuicyjna, ona przywraca nam naszą przeszłość, przywołuje ją spontanicznie, mimowolnie, ta pamięć sama sobie wybiera czas i miejsce swojej interwencji, niech będzie – czas i miejsce dokonywania cudu.

Fakt, że Proust posiadał słabą pamięć – co Beckett przypisuje temu, że miał on słabo ugruntowane nawyki – stwarza coś pozytywnego, ten bowiem, kto ma dobrą pamięć, ponieważ niczego nie zapomina, niczego też sobie nie przypomni. Nie tylko nie przeżyje radości odkrycia, odnalezienia czegoś w czeluściach pamięci, ale i nie dozna błogosławionego działania

pamięci nie-wolicjonalnej, spontanicznie wiodącego jednostkę do Czasu Odnalezonego. Przypominanie sobie, zwłaszcza w formie nieoczekiwanego połączenia terażniejszego sygnału rzeczywistości z przeżyтыми wcześniej momentami biografii, pozwala przewyciężyć tyranie czasu. To, co jest wspólne Przeszłości i Teraźniejszości jest ważniejsze niż jedna i druga brane osobno.

Dla Prousta, według Becketta, pamięć niepodległa woli jest „wybornym, wybuchowym, całkowitym spalaniem, narzędziem odkrycia”, „jedynym narzędziem dostarczającym jedynie prawdziwego wizerunku rzeczywistości”, której nie objawi przecież „godna kpiny rzeczywistość doświadczenia”. To tej pamięci Proust wystawił pomnik swoim dziełem.

Możliwe, jednak w czasie ostatnich spotkań z Janem Błońskim, wiele bym dał za to, by zamienić dla niego wszystkie dobrodziejstwa działania tej pamięci na przyziemną i małostkową pamięć w prosty sposób kontrolowaną przez intelekt. Jako świadek działania owej dobroczynnej pamięci i cierpienia, którego mu ona nie skąpiła, czułem, że bardziej miłosierna byłaby dla niego ta druga pamięć, zrozumiałem, że perspektywa literacka może w pewnych wypadkach być bez znaczenia.

To niesprawiedliwe, myślałem, by właśnie ta choroba musiała osiągnąć akurat człowieka obdarzonego jego inteligencją i jego pamięcią, i nagle zdałem sobie sprawę, że gotów byłbym błagać los o przywrócenie Nawyku, o zwrot utraconej części pamięci kierowanej wolą, która zasłania przed nami prawdę, ale która oszczędziłaby cierpienia człowiekowi, którego całe dotychczasowe życie należało do pamięci.

W wypadku kogoś jak On, kto traci nagle pamięć przyziemnego przyporządkowania i jest wydany na cuda działania pamięci mimowolnej, jakim cierpieniem może być owo zawieszenie działania prawa Nawyku i bezpośrednia konfrontacja z jedyną godną artysty rzeczywistością. Instynktownie sprzeciwiałem się temu, by On akurat mógł wreszcie doznać owego cierpienia bytu i chłonąć cierpienie bytu.

Koncepcja proustowskiego ocalenia jednostki w akcie sprowokowanego utożsamieniem dwóch chwil połączenia przeszłego z terażniejszością, akcie, w którym ma ujawnić się Czas Odnaleziony, coś w rodzaju pozytywnego odzyskania czasu życia, który upłynął, znajduje w dziele Becketta, całe dziesięciolecie po napisaniu przez niego eseju o Prouście, swoistą korektę – taka ewokacja utrwała tylko rozziw między tymi dwoma momentami życia, uświadamia upływ czasu, który nas pożarł.

Jest takie wywiedzione z greki łacińskie słowo chasma, stosuje się je w topografii, ale można je też odnieść do czasu. Do doświadczenia czasu i przestrzeni jak to, które stało się, nie wiedzieć dlaczego, udziałem Jana Błońskiego.

Na zakończenie, swobodny cytat z mojej informacji o Profesorze zamieszczonej w opublikowanym w Anglii tomie o międzynarodowej recepcji Samuela Becketta: „Jan Błoński, błyskotliwy krytyk i tłumacz m.in. Geneta i Ionesco, piszący stylem, który w pewnym sensie można by nazwać impresjonistycznym, dalekim od pedantyzmu, pełnym erudycji, jednakże łatwym i atrakcyjnym w czytaniu, był zdolny do zapierających dech w piersiach, niezwykle trafnych sformułowań, z lekkością docierał wprost do sedna skomplikowanego zagadnienia, prowadził czytelnika z peryferii prostą drogą w samo centrum omawianego tekstu lub tematu. Jego erudycja, intuicja, smak, wrażliwość literacka w połączeniu ze skalą tematyczną jego tekstów zapewniły mu czołową pozycję pośród powojennych krytyków i literaturoznawców w Polsce. Oprócz wielu tomów pism krytycznych o najważniejszych zjawiskach literatury dwudziestowiecznej, tak krajowej jak i emigracyjnej, był też autorem interpretacji Prousta i Becketta, których ważność i intelektualny kaliber stoją w uderzającym kontraście do mierzonej w stronach wielkości książek, które o ich dziele napisał”.

Marek Kędziński

## Paweł Mackiewicz

### Obecny

Obecność pisarza konstatuje się inaczej niż jego współczesność. Współczesny jest mi ten, który żyje ze mną – w tym samym czasie, najlepiej w podobnych okolicznościach cywilizacyjnych, społecznych, historycznych. Ten, kto umarł – choćby jego śmierć nastąpiła niedawno – nie jest mi już współczesny. Może jednak nadal być obecny. Potoczne szkolarskie skojarzenie łączy obecność z weryfikacją udziału grupy w odbywanych zajęciach, pracach, zatrudnieniach. Instytucje nie poprzestają na niekontrolowanym byciu, spontanicznym uczestnictwie, w instytucjach sprawdza się obecność. Co ważniejsze, z czyjąś obecnością z reguły wiązane bywają

określone oczekiwania. Sprawdzam obecność, bo spodziewam się czegoś po wywołanych. Żadna forma obecności nie może być mi obojętna – czyjaś obecność jest moją aktualnością, jeśli (dla mnie) istnieje. Nie istnieje, gdy nie wzbudza mojego zainteresowania.

Wertując pisma Jana Błońskiego, przypadkiem otwieram poświęcony Schulzowi esej Świat jako Księga i komentarz. „Na początku była Księga, Księga, którą czytał spokojnie ojciec, podczas gdy dziecko – szczęśliwe – bawiło się pod stołem. (...) Ojciec pokazał mu w końcu Biblię, gdzie zobaczył niebo pełne ptaków i wędrowną zwierzgę zmierzającą do Arki. Ale dziecko nie chciało rozpoznać Księgi w tym «skażonym apokryfie (...), nieudolnym falsyfikacie». Kiedy chłopiec się uspokoił, ojciec starał się mu wytłumaczyć, że Księga jest mitem i naprawdę istnieją tylko książki. Dziecko jednak nie chciało mu wierzyć.” Egzegeta staje po stronie dziecka. Książki przedstawiają prawdy historycznie ograniczone do swojego czasu, prawdy zrelatywizowane i nieuchronnie gubiące własną aktualność. Księga jest ponadczasowa, aktualna dzięki swojej potencjalności. Różnica między książkami a Księgą przypomina „jakościową” rozbieżność pomiędzy współczesnością a obecnością. W pewnym sensie współczesność ma wymiar fizyczny, obecność – literacki. Pomimo ojcowskiej nauki – a może właśnie dzięki niej – dziecko „wiedziało już, że «Księga jest postulatem, że jest zadaniem»”.

Nie będzie to przecież myśl nowa – czyjaś obecność, wymiar tej obecności oraz jej intensywność w większym stopniu zależy od tych, wśród których dana osoba swoją obecność zaznacza aniżeli od niej samej. O obecności pisarza, krytyka, filozofa można mówić jak o zadaniu dla czytelników, polemistów, wychowanków tegoż. Rok po śmierci Błońskiego pragnienie prześledzenia jego obecności skłania do refleksji nad tym, w jakim miejscu znajduje się obecnie krytyka literacka – w jakim miejscu są także ci, którzy pytają i usiłują sformułować odpowiedź. Co (ryzykowniej: kto) po Błońskim? Jakie zjawisko równie ważne, kto porównywalnie z autorem Romansu z tekstem istotny we współczesnej (i przyszłej) krytyce?

Pisząc: Błoński – mam na myśli krytyka jako reprezentanta formacji krytycznoliterackiej – jeśli formacją wolno ją nazwać – ponadpokoleniowej, obejmującej rozmaite środowiska, formacji, co oczywiście, bynajmniej nieograniczonej do jednej szkoły krakowskiej. Przy lekturze Widzieć jasno w zachwyceniu Marian Stala tak najkrócej ujmował zbiór prawideł dotyczących krytyki Jana Błońskiego: „Krytyka (...) rodzi się z podziwu,

fascynacji, namiętności. Krytyka jest zapisywaniem olśnień, utrwalaniem romansów z tekstem. Krytyka jest wskazywaniem arcydzieł i próbą ich zrozumienia. Krytyka jest świadectwem dialogu z wartościami, toczonego na terytorium literatury – i sama jest takim właśnie dialogiem. Wreszcie: krytyka jest spłacaniem długu, wyrazem wdzięczności za to wszystko, czym obdarowuje nas literatura...". Zatem: krytyka impresyjna, hermeneutyczna, krytyka ekspercka, oceniająca i postulująca, krytyka doceniająca filiacje aksjologiczne. Krytyka służebna, towarzysząca, komentująca literaturę i objaśniająca ją na bieżąco.

Celowo unikam nazywania jej personalistyczną czy jakąkolwiek inną. Wymienione cechy konstytuują model krytyki, w którym pomieściłaby się niejedna orientacja ideowa czy estetyczna, odnalazłby się niejeden krytycznoliteracki temperament. Wiadomo, że już trzydzieści lat temu Janusz Sławiński zaliczył Błońskiego do „krytyków sytuacyjnych” (wyprowadzając zresztą nader nobliwą linię sukcesji w obrębie takiej krytyki: Irzykowski – Wyka – Błoński). Można odnieść wrażenie, że współcześnie typ „krytyki sytuacyjnej” – mimo kilku wybitnych przedstawicieli takiego typu krytycznoliterackiego, zwłaszcza w starszym pokoleniu, ale i w średnim również – pozostaje w odwrocie. Inicjatywę przejmują (bądź przejęły) języki krytyczne służebne wobec jednej idei, jednego tematu albo problemu. Znamienne, że nawet w (niezwykle interesującej skąd-inąd) Polsce do wymiany Przemysława Czaplńskiego Błoński występuje – wyłącznie – jako autor eseju *Biedni Polacy patrzą na getto...*

O obecność Jana Błońskiego w świadomości kolejnych generacji krytycznych – w dobieranej przez nie krytycznoliterackiej tradycji – obawiać się jednak nie należy. Formacja, o której mowa wyżej, nie jest, jak sądzę, zagrożona brakiem kontynuatorów. Twórczość krakowskiego krytyka dowodzi, że nawet organizm krytycznoliteracki obdarzony tak bardzo „samoswoim” (jak powiedziałby Kazimierz Wyka) kośćcem estetycznym i światopoglądowym złakniony bywa ożywczych, jeszcze nierozpoznanych zjawisk artystycznych. Historyk literatury, admirator literatury awangardowej, witkacolog, gombrowiczolog i miłoszolog, krytyk towarzyszący piórem debiutom roku 1956 – jeszcze u progu nowego ustroju i nowej, jak przypuszczał, literatury upominał się o „wyszukiwanie, publikowanie, wspomaganie ludzi młodych i (...) nowych” (znamienny tytuł: *Rok 1989 jest równie ważny co rok 1918, „NaGłos” 1990/1*). Wśród tych nowych – którzy dziś już od dawna nie nowi – nieszczęśliwie wielu

znalazł uczniów (choć byli, są i tacy), wielu polemistów. Bez wątpienia doczeka się jeszcze spadkobierców, on i formacja, do której należał. Samodzielność myślenia, lektury, pisania, o której wspominał Sławiński – krytyka Błońskiego, dziś wciąż obecnego, „skłania do podejrzliwości wobec schematycznych skojarzeń i klasyfikacji, do zajmowania postawy krytycznej względem uświęconych wartości i wzorów” – choć zapewne w różnych czasach rozmaicie rozumiana, pozostaje aktualnym „zadaniem” dziecka zafascynowanego Księżą.

Paweł Mackiewicz

Anna Nasiłowska

## Barok narodowy

Niewiele mam osobistych powodów, by wspominać Jana Błońskiego, zeknęłam się z nim zaledwie kilkakrotnie. Jako członek redakcji „Tekstów”, zawieszonych w 1981 roku i nie wydawanych niemal dekadę, był obecny na spotkaniu, na którym zapadały postanowienia dotyczące uruchomienia w 1990 roku „Tekstów Drugich”, nowego pisma o podobnej formule, ale pod nową redakcją, o pokolenie młodszą. Pamiętam go, gdy spóźniony przeciska się do naszego małego pokoiku. Ja siedziałam przy drzwiach i najpierw dostrzegłam moją nogę w jasnych spodniach i trampkach. Oświadczył wtedy, że wziął mnie po łydce za Edwarda Balcerzana. Pomyślałam wtedy: prawdziwy historyk literatury, nawet widzi i żartuje Gombrowiczem. Łydki widzi. Trzeba się strzec, aby widzieć własnymi oczyma. Potem dostałam od niego życzliwą kartkę po opublikowaniu *Domina. Traktatu o narodzinach*. Był jeszcze na sesji Miłoszowskiej w IBL-u w kwietniu 2001 roku, ale już wtedy mówiło się o jego chorobie, towarzyszyła mu zresztą żona i to ona brała na siebie trud uśmiechania się i rozmawiania, co robiła zresztą z wielką gracją i inteligencją.

Powody, dla których zabieram głos, są więc bardzo intelektualne. Bliska mi jest przede wszystkim jego książka *Mikołaj Sęp Szarzyński a początki polskiego baroku*, wydana w 1967 roku, która stanowiła dla mnie wyrazisty punkt odniesienia w epoce pracy nad doktoratem – wydanym w 1990 roku i zatytułowanym *Poezja opisowa Stanisława Trembeckiego*. Oczywiście, moim przewodnikiem był wtedy promotor, Ryszard Przybylski. Książka Błońskiego,

o której niewiele wtedy rozmawialiśmy, była jednak naturalnym i oczywistym punktem odniesienia, a przede wszystkim wzorem, że tak można i właśnie taki wybór ma sens dla kogoś, kogo i tak wcześniej pociągnęła krytyka, czyli pisanie o współczesności, gdy za dystans starczyć musi własne zaangażowanie polemiczne. To taka potrzeba, żeby popробować czegoś innego, wejść w prawdziwą historię literatury, z jej odmiennością intelektualną, posmakować języka polskiego w jego wersji staropolskiej a nawet z łacińską wkładką, wypróbować własne metody lektury w zetknięciu z dziełem, które nie tak chętnie odsłania swoje tajemnice.

Jest w książce Błońskiego zarazem historyczność jak i traktowanie egzystencjalnych diagnoz Sępa z filozoficzną powagą jakby sformułowane zostały przez kogoś nam bliskiego. Może raz pada słowo „egzystencjalizm”. Błoński nie potrzebuje jednak rozpoznawalnej terminologii filozoficznej. Aby udowodnić sposób rozumienia samotności człowieka w świecie, wystarczy wejść w poetycką logikę poety kontrreformacji i wszystko układa się samo. Co jest oczywiście zasługą interpretatora... a podczas lektury da się wyczuć, że Błoński Sępa po prostu lubi i nie boi się tego grzechu przeciwko naukowości, nie stara się tuszować zimnym językiem. Zasadnicze wnioski zawiera rozdziałik na samym końcu, zatytułowany Przypisek zupełnie nienaukowy. Przesadny scjentyzm jest zmorą humanistyki, Błoński mu nie ulega, z dużym wdziękiem omijając także pułapki postawy przeciwnej, nadmiernej eseistyczności, przepływając w ten sposób, między Scyllą i Charybdą.

Są w tej książce wyraźne znaki, że Błoński, wysłany na długi pobyt do Paryża w początku lat sześćdziesiątych, nie zmarnował tam czasu. Wykorzystał go na lektury, wiele z przywoływanych przez niego książek do dziś nie zostało zresztą przetłumaczonych, ale niektóre tak: jak praca Paula Hazarda o kryzysie świadomości europejskiej 1680–1715 czy fundamentalne dzieło Ernsta Roberta Curtiusa *Literatura europejska i łacińskie średniowiecze*, przyswojone w latach dziewięćdziesiątych przez Andrzeja Borowskiego. Jest przede wszystkim w książce Błońskiego pewna postawa, która nie straciła do dziś aktualności, że naszą literaturę bada się szukając w niej tych samych problemów, zjawisk artystycznych i ideowych, które wyróżnia i opisuje historyk literatury francuskiej, czy włoskiej. Praca o Sępie Szarzyńskim jest w gronie rzeczy rozległym opisem europejskiej wspólnoty myśli, obejmującej naszego poetę, narodzonego pod Lwowem w połowie XVI wieku. Nie trzeba zresztą dowodzić, że problem polskiej europejskości jest aktualny do dziś i wymaga nie tyle generalnej odpowiedzi na tak (lub nie?), ale stałego wypełniania konkretami.

Błoński pisał swoją książkę w momencie, gdy pojęcie baroku było stosunkowo nowe i dopiero zaczynano uwalniać się od wartościującego przekonania, że po okresie renesansu następuje zapaść, której kulminacja nastąpi w czasach saskich. Ten pogląd jest dawno nieaktualny, ale u Błońskiego chodziło o coś jeszcze. Po uwolnieniu się od pejoratywnej oceny ciążyącej nad epoką baroku, jej cechy stylistyczne zauważał w długim trwaniu literatury i uznawał za charakterystyczne dla kultury polskiej. W niewielkim artykule, drukowanym w numerze „Tekstów Drugich” wydanym po wspomnianej już sesji Miłoszowskiej (2001/3–4), Błoński posuwa się nawet do stwierdzenia, że barok to „polski styl narodowy”. Nie rozwinął w nim polemiki, na ile jest nim barok, a na ile romantyzm, u Słowackiego mocno przesycony przecież barokiem, zaledwie pokazał w eseistycznej przechadzce Gombrowicza udającego Sarmatę i Miłozsa uwikłanego w barokowe paradoksy świadomości religijnej. Książka o Sępie Szarzyńskim nie była jakąś ekscentryczną wycieczką w przeszłość, ale logicznym elementem budującym znacznie szerszą wizję, która zapewne nie została dopowiedziana.

W zakończeniu książki o Sępie, po polemicznej glosie dotyczącej idiotyzmu wartościowania epok historycznych, padają takie zdania, które chciałabym pozostawić bez komentarza, tak wydają mi się trafne, i to w wielu sytuacjach:

„Umysł prosty, a więc fanatyczny, lubi dzielić rzeczywistość na czarne i białe, wszędzie widzi znamię dobra i zła, cnoty i zepsucia, postępu i wstępnictwa. Leczą trzeźwy, a więc pokorny – wspólną i wdzięczną miłością winien obdarzać wszelkie trudy ducha, na krętych ścieżkach historii rozpoznawać zasługę i konieczność”.

Anna Nasiłowska

Marek Skwarnicki

## Kilka myśli o Janie Błońskim

Nie byłem studentem Jana Błońskiego. Ukończyłem polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Pierwszy raz spotkałem Janka, początkowo Jana, w redakcji „Tygodnika Powszechnego”, w której zacząłem pracować w 1957 roku. Byłem początkującym poetą i publicystą. Błoński żywo się przejmował pojawiającą się po polskim Październiku poezją i w ogóle

młodą literaturą. W następnych długich latach bliższe więzy łączyły mnie z Jerzym Kwiatkowskim, który wyprzedził swojego kolegę krytyka, polonistę w pochodzie do wieczności. Obydwaj byli z czasem wyroczniami krytycznoliterackimi.

Błoński był bardziej historykiem literatury, bardziej interesowała go treść, formy literackie itp. Kwiatkowski natomiast był bardziej strukturalistą, bardziej interesowały go kwestie teoretyczne, strukturalne.

Błoński współpracował z „Tygodnikiem Powszechnym” nie tylko jako literaturoznawca. Zasłynął w roku 1987 artykułem o wierszu Czesława Miłosza Biedni Polacy patrzą na getto. Ostrze publicystycznej rozprawki skierowane było przeciwko antysemitom. Rozpętało się czytelnicze piekło. W redakcji długo zastanawialiśmy się czy artykuł drukować. Przeciwny temu był Kisiel (Stefan Kisielewski), który kierował się względami taktycznymi pisma. Przekonywał Turowicza, że Błoński rozpęta niekończącą się dyskusję na temat polskiego antysemityzmu. Antysemitą Kisiel oczywiście nie był, ale dobrze pamiętał czasy moczarskie. Chyba w tym okresie nieznanymi sprawcy pobili go na ulicy pałkami.

Błoński miał zwyczaj zapraszać bliskich znajomych i przyjaciół na swoje imieniny. Mieszkał w dzielnicy Klina, w jednorodzinnej domku, obok Stanisława Lema. Oni dwaj i Jan Józef Szczepański stanowili nie tylko pisarskie zaplecze „Tygodnika”, ale razem z paru innymi twórcami byli (również ze mną, Jerzym Turowiczem i Jackiem Woźniakowskim) nieformalną grupą opozycyjną w Związku Literatów Polskich. Imieniny Błońskiego były okazją do spotkania tych i innych znajomych. Profesor zapraszał również asystentów, a nawet ulubionych studentów. Dzięki jego recenzji w Wydawnictwie Literackim, ze złożonego tam tomu moich poezji wybranych, wiersze się ukazały, ale z dużym opóźnieniem. Początkowo nie chciano drukować „tygodnikowca”. Dopiero gdy redakcję poezji objęła Ewa Lipska, poezje wybrane ujrzały światło dzienne.

Społeczny temperament Janka sprawił, że zainteresował się publikowanymi przeze mnie opracowaniami autorstwa czytelników „T.P.” biorących udział w tzw. ankietach Spodka (mój pseudonim). Pamiętam jak – pijąc kawę w Sukiennicach – zastanawiał się, dlaczego niektóre z tych opracowań są lepiej napisane i ciekawsze literacko, aniżeli wiele utworów drukowanych w pismach. Byli to pisarze jednego dnia.

Błoński bardzo przyjaźnił się z Miłoszem. Odwiedzał go za granicą, a kiedy Pan Czesław osiedlił się w Krakowie, bywał u niego albo sam albo z żoną. Miłosz kilkakrotnie opowiadał mi z przejęciem, że właśnie byli

umówieni Błońscy u niego, gdy od Janka otrzymał telefon, że zmarła jego żona. Niezwykły zbieg okoliczności sprawił, że pewnego razu dogadaliśmy się z Panią Teresą Błońską, że w czasie okupacji w Warszawie śpiewałem z nią w chórze szkoły, do której uczęszczaliśmy w tym samym czasie; tylko już klasy nie pamiętaliśmy.

W chwili obecnej panuje totalna dezorientacja w krytycznoliterackich ocenach rynku i współczesnej poezji i częściowo prozy. Błoński i Kwiatkowski byli busolami kierunków rozwoju polskiej literatury. Dziś takich wspaniałych uczonych i smakoszy piękna w naszej literaturze brak. Także matecznik literacki „Tygodnik Powszechny” nie ma dawnego autorytetu.

Marek Skwarnicki

Leszek Szaruga

## Wizja Polski i wizja literatury

Jan Błoński (1931–2009) był jednym z tych nielicznych krytyków literackich drugiej połowy XX stulecia, których myślenie o literaturze związane było ściśle z myśleniem o Polsce i losach Polaków. Jego pisarstwo, ukształtowane w szkole Kazimierza Wyki, kontynuowało tę linię komentowania dzieł literackich, którą wywieść można z doświadczeń tak wybitnych eseistów jak Stanisław Brzozowski czy Karol Irzykowski. Przy czym nie chodzi tutaj o ich opcje ideowe, ale o powagę, z jaką traktowali twórczość artystyczną znajdując w niej przede wszystkim wysiłek poznawczy i dążenie do, by przywołać formułę Josepha Conrada, „wymierzania sprawiedliwości widzialnemu światu”.

Najgłośniejszą i do dziś z pożytkiem czytaną jego książką jest tom *Zmiana warty* (1961), w którym analizował nowe zjawiska w polskiej prozie powstałe po „odwilży” roku 1956. Także kolejne zbiory jego szkiców takie jak *Odmarsz* (1978) czy *Romans z tekstem* (1981) – stanowiły ważne wydarzenia w życiu literackim. I gdy się zastanowić nad tym, co stanowiło o nośności i intelektualnej atrakcyjności tych książek, trzeba zauważyć, iż stanowiły one unikalny stop perfekcji analitycznej z wyrazistą wizją literatury jako procesu rozpoznawania i rewidowania narodowej tożsamości. W szkicu *Polak – jakim go widzą, jakim siebie widzi* (1972) pisał: „jak się zdaje, w ostatnim dwudzie-



stopięcioleciu funkcjonowały wszystkie narodowe stereotypy ukształtowane w przeszłości. Żeby zaś było zabawniej, funkcjonowały rozmaicie w różnych obozach i różnych okresach. Jakby nastąpiła wielka wyprzedaż mitycznych wzorców Polaka! Ale dodawał natychmiast: „Zarazem jednak – mimo usilnych starań – ani publicystyka, ani literatura nie zdołały stworzyć żadnego symbolicznego obrazu polskości, który by narzucił się opinii tak, jak niegdyś stereotypy ofiarnika, Sarmaty albo przodownika pracy organicznej. Historyk uzna to może za objaw pocieszający: czyż nie dowodzi on ciągłości świadomości narodowej? Ale równie dobrze można by powiedzieć, że świadczy to o kryzysie tożsamości...”

Bez wątplenia też właśnie problem polskiej tożsamości był dlań problemem centralnym, o czym przekonuje jego znakomita monografia historycznoliteracka Mikołaj Sęp Szarzyński a początki polskiego baroku (1967). Zwłaszcza interesujące wydają się uwagi dotyczące politycznej wymowy tego poety, który wszak nie przypadkiem nawrócił się z kalwinizmu na katolicyzm: „...oda do Batorego niespornie udowadnia, że Sęp doszedł do zupełnego utożsamienia obowiązku rycerskiego z religijnym, w królu widząc najdoskonalsze wcielenie żołnierza przedmurza, przywódcę państwa, które – choć naruszone u fundamentów – sięgało właśnie po ostateczną hegemonię wschodniej Europy”. I dalej: „Wolno (...) chyba postawić – niespodziewane i historycznie daremne – pytanie, czy ten «reakcyjny» poeta nie tęsknił, w politycznej dziedzinie, za postawą i systemem, które jedynie mogły sprzeciwić się rozkładowi państwa i kultury?”. W istocie jest to też pytanie dotyczące ówczesnej – a więc w okresie obchodów 1000-lecia chrztu Polski – intelektualnej kondycji Polaków. Ta bowiem kondycja i jej przewartościowanie w literaturze, była jedną z podstawowych kwestii, które wyznaczają dukt lektur Błońskiego.

Dopiero w tym kontekście interesującą się staje podjęta przezeń już w 1954 roku obrona oskarżanej przez prawodawców socrealizmu o nihilizm poezji Tadeusza Różewicza. W czasie publicznej dyskusji wzywał wtedy: „Zapewne, nie umieliśmy Różewiczowi pomóc; ileż nieprzemyślanych zarzutów; ileż nieporozumienia, zawiści... Wmówiono mu nawet, że jest – on – obojętny ludzkim sprawom (...). Niech moralista szuka nowych konfliktów, liryk nowych wzruszeń. (...) Poezja, która może stać się poezją, niech pozostanie poezją pokolenia”. Jako jeden z nielicznych wskazał na rangę tej liryki nie tylko w jej wymiarze artystycznym, ale też światopoglądowym, dostrzegł – podobnie zresztą jak Miłosz, który w tym czasie napisał wiersz Do Tadeusza

Różewicza, poety – że jest najdobitniejszym wyrazem tego, co Wyka określał mianem przeżycia pokoleniowego: wojny i zakorzenionego w niej sporu z tradycją kultury. Ale też podobna przenikliwość pozwoliła mu dostrzec u innego przedstawiciela tej generacji, Zbigniewa Herberta, „odwrócenie się od dogrobnego katastrofizmu”: „U Herberta (...) cała tradycja – razem ze swymi najbardziej drażniącymi składnikami, jak ostentacyjnym ukochaniem antyku – wychodzi z doświadczenia wojny zwycięsko”.

Sposób uporania się w literaturze z tym doświadczeniem i jego skutkami jest ważnym wątkiem krytycznych analiz Błońskiego, który potrafił dostrzec, że właśnie w latach 50., w okresie zdawałoby się najmniej sprzyjającym sztuce, dokonania literatury polskiej stworzyły podstawy jej współczesnego rozwoju. Pisał, iż „całkiem możliwe, że rzetelny erudyta, zapytany w roku, powiedzmy, dwutysięcznym trzechsetnym, kiedy właściwie powstały największe osiągnięcia dwudziestowiecznej literatury polskiej – odpowie spokojnie: w latach pięćdziesiątych”. Na te bowiem lata, pisze dalej krytyk, przypada eksplozja talentu Witolda Gombrowicza i Czesława Miłosza, na ten okres przypada „okrzepnięcie środowiska «Kultury»”. Dostrzegał w latach 60. zjawisko, które określił mianem „emigracji wyobraźni” – w przeszłość albo w zmyślenie i podkreślał: „Fantastyczna modyfikacja przeszłości bywa posunięta tak daleko, że nawet nazwa «powieści historycznej» zdaje się nietrafna. Wojciechowski (pisarz chyba niedoceniony!) pisze jakby na nowo historię XX wieku, tworząc fikcyjne cesarstwo, ni to Austrię, ni Rosję, gdzie jednak losy ludzkie układają się we wzory dziwnie nam, Polakom, znajome”. Dobitnie przy tym wskazuje, jak ważnym zadaniem powojennego pisarstwa jest odnajdywanie polskiej tożsamości i dodaje: „Dla tej tendencji nie znajduję żadnego wyraźnego odpowiednika na zachodzie Europy”.

Jednakże skupiając się na kwestii polskiej tożsamości nie ograniczał się Błoński wyłącznie do analiz stricte literaturoznawczych. Jego słynny esej Biedni Polacy patrzą na getto – odwołujący się do wiersza Miłosza Campo di Fiori – opublikowany w roku 1987 na łamach „Tygodnika Powszechnego” stał się przedmiotem jednej z najżywszych dyskusji tamtego czasu. Chodziło w nim nie tylko o podniesienie kwestii współodpowiedzialności za zło, jakim była bierność wobec zagłady Żydów, lecz także o rewizję stereotypu ukazującego Polaków jako niewinne ofiary historii. Szkicem tym o wiele lat wyprzedził krakowski pisarz te dyskusje i polemiki, jakie wywołała książka Jana Tomasa Grossa relacjonująca udział Polaków w wymordowaniu Żydów w Jedwabnem.

Już Miłosz pisał w Traktacie poetyckim, iż „historyczność niszczy nam substancję”. Wyjściem z tej pułapki okazała się proza kreująca nowego bohatera: „Była to postawa outsidera” – pisze Błoński. Znajduje ją Błoński przede wszystkim w prozie Marka Hłaski, ale też w pisarstwie Edwarda Stachury i Mirona Białoszewskiego. Ma jednak świadomość tego, iż jako krytyk nie może wypowiedzieć się o korzeniach tej postawy, o przyczynach, które sprawiły, że literatura polska zaczęła odchodzić od prób kreacji nowego „symbolicznego obrazu polskości”, od powoływania do życia bohatera o wyrazistym światopoglądzie. Przeszkodą była, oczywiście, cenzura. To właśnie sprawiło, iż ten wspaniały czytelnik zrezygnował z jej komentowania. Pytał: „Jak w tych warunkach można być krytykiem na bieżąco? I czy warto przede wszystkim? Czy warto być krytykiem w klimacie sfalszowanego – intelektualnie i personalnie – życia literackiego?”. Stąd też sygnalizowany w tytule książki Odmarsz. Pamiętam, że czytając te słowa zdumiony byłem nie tyle ich treścią, co faktem, iż zostały opublikowane. Ale ten „odmarsz” Błońskiego też był gestem ważnym, znaczącym. Nie był gestem samotnika, przeciwnie: to właśnie w tym okresie jego przyjaciel, najwybitniejszy bodaj w okresie powojennym krytyk teatralny, jakim był Konstanty Puzyna, demonstracyjnie porzucił oficjalną scenę, by skupić się na spektaklach niszowych wówczas – bo działających w bardziej ulgowo traktowanej przez cenzurę strefie „sztuki amatorskiej” – teatrów studenckich.

Obaj krytycy, podobnie jak Andrzej Kijowski (nie przypadkiem pełniący w roku 1980 funkcję doradcy komitetu strajkowego w stoczni w Szczecinie) czy Ludwik Flaszen (który bieżącą krytykę porzucił angażując się w działalność „Teatru Laboratorium” Jerzego Grotowskiego) wyrosli ze „szkoły Wyki”, tej szkoły, która nie zamykała się wyłącznie w przestrzeni refleksji estetycznej, lecz stawiała przed literaturą zadania, które najpełniej wyraził Miłosz, gdy pisał, że „jest poeta w Polsce barometrem”. Ten barometr został przez cenzurę zgnieciony, a jeśli nawet próbowano nadal nim się posługiwać, pisanie o tym okazywało się niemożliwe: wypowiedź krytyka bowiem zostaby bądź zdjęta przez cenzurę, bądź potraktowana jako donos na pisarza. Świadomość tego sprawiła, iż wycofał się Błoński z aktywnego komentowania zjawisk literackich skupiając się na pracy akademickiej, gdzie okazał się bardziej skuteczny, o czym świadczy wypowiedź Andrzeja Nowakowskiego, aktywnego w podziemnej działalności wydawniczej, obecnie szefa świetnej oficyny naukowej Universitas: „Gdy przychodziłem na studia, było dwóch wielkich egzegetów literatury, którzy o literaturze potrafili opowiadać lepiej chyba od samej literatury – Kazimierz Wyka i Jan Błoński”.

Ostatnią z krytycznych wypowiedzi Błońskiego podejmującą stłumiony wątek dyskursu o współzależnościach literatury i życia społecznego był obszerny szkic Beładne rozważania starego krytyka, który zastanawia się, jak napisałby historię prozy polskiej w latach istnienia Polski Ludowej opublikowany w roku 1990. W późniejszym okresie postępująca choroba Alzheimera sprawiła, iż ten wspaniały krytyk musiał zamilknąć. Dziś, gdy od nas odszedł, warto wierzyć, iż nie odszedł bezpotomnie, że linia literaturoznawstwa nie zredukowanego do poczyniań – by przywołać formułę Gałczyńskiego – „badacza owadzych nogów” znajdzie swych kontynuatorów.

Leszek Szaruga



## Jan Błoński i o Janie Błońskim w „Kwartalniku Artystycznym”

- Nr 1/1995 (5)  
Jan Błoński, Mrozek przeciw Andrzejewskiemu: „Pieszko” kontra „Popiół i diament”
- Nr 4/1995 (8)  
„Wszystko zawsze było brane od wielkich artystów.” – z Janem Błońskim rozmawiają Grzegorz Musiał i Krzysztof Myszkowski
- Nr 2/1996 (10)  
Dariusz Nowacki, Jana Błońskiego poradnik dla polonistów – recenzja książki pt. *Formy, śmiech i rzeczy ostateczne. Studia o Gombrowiczu*
- Nr 2/1999 (22)  
Miroslaw Dzień, Poetycka teologia wyobraźni (rzecz o „Miłoszu” Jana Błońskiego) – recenzja książki pt. *Miłosz jak świat*
- Nr 3/1999 (23)  
Jan Błoński, Wtajemniczenie – tematy Witkacego
- Nr 4/1999 (24)  
Jan Błoński, Tytani i artyści – postacie Witkacego
- Nr 2/2001 (30)  
Jan Błoński, Pisać całym sobą (tekst na 90. rocznicę urodzin Czesława Miłosza)

- Nr 4/2001 (32)  
Jan Błoński, Gombrowicz i Miłosz o Europie;  
Jacek Gutorow, Kraków, środek rozmowy – recenzja książki pt. *Witkacy. Sztukmistrz, filozof, estetyk*
- Nr 1/2002 (33)  
Krzysztof Myszkowski, noty o Mieszaninach i o Wszystkim co literackie. *Pismach wybranych*, t.1
- Nr 2/2002 (34)  
Jan Błoński, Cesarz, Pan i Żyd, czyli o „powieści habsburskiej” w Polsce
- Nr 3/2002 (35)  
Krzysztof Myszkowski, nota o Jan Błoński... i literatura XX wieku
- Nr 4/2003 (40)  
Krzysztof Myszkowski, nota o Między literaturą a światem. *Pismach wybranych*, t.2
- Nr 2/2004 (42)  
Bogusław Kierc, Tubylec wszechświata – recenzja książki pt. *Witkacy na zawsze*
- Nr 4/2004 (44)  
Krzysztof Myszkowski, nota o Listach 1963–1996 Jana Błońskiego i Sławomira Mrożka
- Nr 3/2007 (55)  
Krzysztof Myszkowski, nota o Wyspiańskim wielokrotnie
- Nr 1/2009 (61)  
Krzysztof Myszkowski, Jan Błoński (1931–2009);  
Krzysztof Myszkowski, nota o Lekturach użytecznych
- Nr 1/2010 (65)  
Krzysztof Myszkowski, Jan Błoński, pisarz, przyjaciel, korespondent;  
„... wydaje mi się, że Pan już ze swego czyścica wychodzi.” Listy Jana Błońskiego do Krzysztofa Myszkowskiego;  
Głosy i glosy w 1. rocznicę śmierci Jana Błońskiego: Aleksander Fiut, Marek Kędziński, Paweł Mackiewicz, Anna Nasiłowska, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga;  
Jan Błoński na fotografiach



Fot. Ewa Bathelier

Bogusław Kierc

## Morze

Krzyczałem we śnie i przedarło się  
do śpiącej ze mną; myślała, że konam  
i jak ucichłem, sprawdziła: no nie  
skonałem, chrapię, wobec tego ona

sobie poczyta, a tu czyha ten  
tak zwany anioł śmierci – mniejsza o to,  
czy już po krzyku, czy to jeszcze sen,  
który mam prześnić do krwawego potu

Tego, co za nas cierpiał rany – krzyk  
własny słyszałem, jakby młodszy jakiś  
nie-ja nie wiedzieć czemu we mnie znikł  
i się wydzierał budząc pierwsze ptaki,

które tak samo krzyczały; no tak,  
to przeleciało i jedynie błyskiem  
zadrasnął wodę tamten anioł (ptak?) –  
ani nie drgnęło Morze Liguryjskie.

## San Vincenzo

Dusza się łuszczy? Łuski jak nasiona  
złote na grudach morza rozsypane.

Tak mi wygodnie, jakbym zasiadł ponad  
sobą, gdy siedzę tu w słońcu nad ranem

i coraz mniej mi z siebie pozostaje  
do pamiętania i pragnienia; płynąć

czułym spojrzeniem przez oliwne gaje,  
pić zimne mleko, żłopać czarne wino.

## Jak zmarłego by poznać chciał kto po dzwonieniu

Ten sam zegar z wahadłem  
(czarny drąg ze złotą  
tarczą), kiedy zapadłem  
w sen wieczny i potok

rozbłysków i bełkotań  
rozmył mi tak zwaną  
linię życia, aż w błotach  
ujścia ktoś mnie rano

znalazł – nie wiem, kobieta  
czy dziecko, do tego  
mnie podobne, gdy w betach  
leżałem na brzegu

potoku, ten sam zegar  
stanął, by po całym  
śnie znów chodzić i biegać  
za mną. Odespałem.

Bogusław Kierc



Fot. Archiwum „K.A.”

Krzysztof Lisowski

## I ja bywałem u Pana Kornela.

(Wspomnienie o Kornelu Filipowiczu, 1913–1990)

To było jeszcze w epoce autorytetów. Ludzi, którzy potrafili mówić rzeczy istotne, i uważnie słuchać. Stanisław Czycz nazywał takie spotkania z ciepłą ironią „audiencją”, bo zaproszenie do Kornela Filipowicza w latach 80. ubiegłego stulecia miało coś z uroczystej ceremonii, do której należało się przygotować, w jakimś sensie oczyścić, zrobić rachunek sumienia, odpowiednio nastroić, wyciszyć. Może dlatego do dziś pamiętam te dwa-trzy spotkania, choć przecież Filipowicza widywałem wielokrotnie, na kolejnych spotkaniach mówionego „NaGłosu”, niezależnego pisma realizowanego „na żywo” w krakowskim Klubie Inteligencji Katolickiej czy w Wydawnictwie Literackim, do którego pan Kornel przychodził omawiać kolejne swoje książki z ulubioną, „osobistą” redaktorką, Ireną Smorąg, albo na zbiorowych wieczorach autorskich w ramach Tygodni Kultury Chrześcijańskiej (mam właśnie przed sobą okolicznościowy druczek z 1988 roku z takiego „Wieczoru jednego wiersza poetów krakowskich” z niezbyt znanym, długim wierszem

Pisarza Siostra Felicjta). Przypomnienie tego – jak mawiał ówczesny dyrektor WL-u – „występowania po kościołach” wiąże się ściśle z okresem odmowy sporej części intelektualistów polskich/środowisk twórczych dla działań ówczesnej władzy, kiedy po wprowadzeniu stanu wojennego, zawieszeniu i rozwiązaniu dawnego Związku Literatów Polskich, skandalicznej likwidacji krakowskiego miesięcznika „Pismo” (które współredagował autor Romansu prowincjonalnego, był zastępcą redaktora naczelnego Jana Pieszczachowicza), Kościół dla wielu był schronieniem, miejscem dobrej wspólnoty; działanie, występowanie na tego rodzaju zgromadzeniach zbliżało doń nawet agnostyków czy katolików „umiarkowanych”, którzy, jak Pan Kornel, mówili, że lubią iść do kościoła raz w roku na pasterkę, żeby pośpiewać wspólnie kolędy.

Szło się więc do Pana Kornela do ciemnego mieszkania przy ulicy Dzierżyńskiego (obecnie Lea) w Krakowie, żeby porozmawiać o sytuacji w kraju, pisarstwie, życiowej sytuacji, lekturach, biedach, kłopotach, potrzebach. Pan Kornel częstował zagraniczną (!) rozpuszczalną kawą, siadał za biurkiem, za jego plecami widziało się rozwieszane na ścianach huculskie kilimy, obrazy zmarłej w 1958 roku żony – Marii Jaremiarki; wokół stopy książek, papierów, maszyna do pisania. Pan Kornel patrzył badawczo zza okularów, wyglądał surowo, mówił rzeczowo, czasem milkł na dłużej – takie wspólne naturalne zamyślenie (były to czasy – powtarzam – kiedy mówiło się rzeczy istotne; kiedy procesy myślenia i mówienia następowały we właściwej kolejności...); padały słowa, które świadczyły o żywym zainteresowaniu starego Pisarza o młodymi adeptami pióra, trosce o Polskę, szansie na niepodległość, o właściwych wyborach. Ale w tych rozmowach nie było patosu, romantycznych uniesień, polskiego rozmamłania – to była wizyta u „specjalisty”, człowieka dużego doświadczenia i wiedzy, niezwykle przyzwoitego, dyskretnego człowieka, którego właściwością był dar wieloaspektowego widzenia spraw, próbującego nawet zrozumieć motywy działania „antagonistów” (patrz: Śmierć mojego antagonisty) czy wrogów.

Podobne spotkanie trafnie opisał kiedyś w felietonie Jerzy Pilch, a także zapisał we wspomnieniu Jan Józef Szczepański:

„«Byliśmy u Kornela.» To zdanie, często powtarzane przez młodych poetów, młodych, dopiero próbujących swych sił pisarzy wypowiedane było przez nich w czasach dla literatury najtrudniejszych, w czasach stanu wojennego, kiedy nie działał ZLP, kiedy zamknięte zostały wszelkie możliwości debiutu. (...) A więc owo «Byliśmy u Kornela», które w tamtych czasach było rodzajem magicznego zaklęcia, nie ograniczało się do literackich kontaktów. To był przede wszystkim kontakt z bardzo wpływową osobowością, która przez samą swoją obecność udziela tych pociech, tej pewności w sens istnienia, jakie daje najlepsza literatura”.

Przypominam sobie wysokiego, szczupłego mężczyznę, ubranego zwykle sportowo (jakaś kurtka, sztruksowe spodnie, wygodne buty, kapelusik), bardzo sprawnego fizycznie (lata organizowania i uprawiania spływów kajakowych Wisłą w towarzystwie m.in. Jaremiarki, Przybosia, obu Rózewiczów, Jonasza Sterna; liczne sezony wędkarskie, po których zostało wiele znakomitych opowiadań i zabawne zdjęcia znad Raby, z Wisławą Szymborską rozpalającą ognisko czy pomagającą „kierownikowi wyprawy” rozstawić namiot nad rzeką).

Emanował spokojem, tym rodzajem wewnętrznej równowagi i pewności, której w tamtych czasach mogliśmy jedynie zazdrościć.

Że nie tylko ja tak widziałem/widzę Filipowicza, wystarczy przypomnieć wypowiedź znakomitego tłumacza i propagatora literatury polskiej na obszarze niemieckojęzycznym, Karla Dedeciusa:

„(...) jego sądy były własne, niebanalne, niezależne od jakichkolwiek presji albo obsesji. Lubiłem go bardzo, widywałem chętnie, często wraz z Wisławą Szymborską. (...) Mogę powiedzieć, że Kornel był jednym z moich najlepszych przyjaciół. Podobały mi się jego zasady, jego współczucie okazywane nawet przeciwnikowi”.

Na pamięć i uwagę zasługuje coś jeszcze – skromność i przyzwoitość, realizowana praktycznie w życiu „kwestia smaku”. Kiedy po latach wojennych

(tom wierszy Mijani z 1943 roku, z ilustracjami Marii Jaremiarki, wydany w nakładzie 10 egzemplarzy!) wrócił do poezji, w lutym 1983 roku w wierszu Modlitwa pisał niewątpliwie o sobie:

Jedni modlą się za Kościół i ojczyznę  
 Drudzy proszą o zdrowie dla swoich dzieci i żon  
 Jeszcze inni błagają Boga aby oddalić raczył  
 Wojnę i burzę powódź suszę głód

A ja znam człowieka  
 Który nie wiem jak go nazwać  
 Takim samolubem  
 Że co dzień przed zaśnięciem  
 Nie modli się o nic więcej  
 Tylko o to  
 Żeby na stare lata coś mu nie odbiło  
 Żeby niewczesne ambicje  
 Nie kazały mu zrobić czegoś takiego  
 Czego by dawniej zrobić nie chciał  
 A co by go teraz cholernie przed nim samym  
 I w oczach innych  
 Ośmieszyło  
 Prosi więc Boga i wszystkich świętych  
 Błaga swoich zmarłych rodziców  
 I sam siebie zaklina  
 Żeby mu się na stare lata nagle nie zachciało  
 Być generałem honoris causa dyrektorem wodzem  
 Żeby mu się broń Boże nawet nie przyśniło  
 Że dekorują go jakimś medalem dyplomy wręczają  
 Odznaczenia laurki koperty i kwiaty  
 Piją jego zdrowie i sto lat mu śpiewają

No cóż  
 Każdemu wolno prosić pana Boga  
 O co chce

(wiersz znalazł się potem w tomie Powiedz to słowo, Wydawnictwo a5).

Był jednym z najświetniejszych prozaików polskich, autorem blisko dwustu opowiadań, kilku głośnych mikropowieści, wydał trzydzieści siedem książek (przeważnie publikowanych w Wydawnictwie Literackim), napisał – sam lub wspólnie z Tadeuszem Różewiczem – sześć scenariuszy filmowych, zrealizowanych później głównie przez Stanisława Różewicza. Po zawiązaniu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich pierwszy prezes krakowskiego oddziału SPP.

Kiedy niedawno – w trakcie spotkania poświęconego Pisarzowi – zostałem obdarowany w Bielsku-Białej opracowanym w 2000 roku przez Zbigniewa Macheja tomem Opowiadań cieszyńskich Filipowicza (Pisarz spędził w Cieszynie przedwojenne lata szkolne, jego nauczycielem polskiego i mentorem był Julian Przyboś), znalazłem w nim mało znany wywiad Macheja z Wisiławą Szymborską, która wiele razy odbywała z panem Kornelem podróże do miasta jego wczesnej młodości. Rozmowę z noblistką wieńczy taka jej wypowiedź:

„Bardzo lubiłam jeździć do Cieszyna. I nie tylko dlatego, że w tak miłym towarzystwie. Coś było w ludziach, w atmosferze tego miasta, co wydawało się rzadkie. Ustrój, w którym wtedy żyliśmy, dążył do tego, żeby wszystko maksymalnie ujednocilić. Począwszy od gazet, a skończywszy na smaku sera, poglądach na życie a nawet marzeniach... Otóż Cieszyn wydawał mi się jakiś inny, oporny. Jakby mniej było w nim kręactwa, pozerstwa, fałszywych słówek i wątpliwych aspiracji... Zapytałam kiedyś Kornela, na czym właściwie ta inność polega. «Może stąd – odpowiedział – że tutaj ludzie częściej niż gdzie indziej patrzają sobie prosto w oczy»”.

Z racji wykształcenia (ukończona przed wojną biologia na Uniwersytecie Jagiellońskim) był Filipowicz – jakby powiedział pisarz z jego generacji, Czesław Miłosz – Naturalistą, wnikliwym obserwatorem przyrody, kolekcjonerem detali świata, ale też był znakomitym kronikarzem ludzkich losów i wnikliwym komentatorem „przygód” ludzkiej duszy i umysłu.

Sięgam do 4. numeru krakowskiego „Pisma” (z czerwca 1981), gdzie obok dwóch opowiadań Filipowicza znajduję esej Stanisława Balbusa Sztuka małej prozy, a w nim następującą konstatację:

„Filipowicz posługuje się więc budulcem i wzorcami tradycji nader swobodnie wbrew pierwotnemu charakterowi przejętych «prefabrykatów». Niekiedy – wręcz przewrotnie. I przewrotność ta ma dwa adresy: do samej literatury, samej materii opowieści (...); w ten sposób pisarz sprawdza niejako nośność i wytrzymałość form tradycji literackiej. Po drugie – jest to przewrot-

ność skierowana do odbiorcy – jakby nieznaczne przymrużenie oka, jakaś nuta cienkiej ironii, wystawiającej na próbę jego wrażliwość, przenikliwość, czy po prostu poczucie humoru: nuta kwestionująca jego interpretatorską pewność siebie”.

Dziś, po 20 latach od śmierci Pisarza, pamiętam jeszcze dobrze ów niepokój przed spotkaniami u niego, a potem satysfakcję, spokojną pewność, płynącą z tamtych godzin Istotnej Rozmowy... I teraz czyta się opowiadania Filipowicza jak coś pięknego, mądrego i naturalnego, jako niezmiennie aktualną prozę dobrej miary.

Krzysztof Lisowski

Jerzy Plutowicz

## Pragnienie

Do czego służy ta księga, księga losu, choćby biblia ekonomii?  
Czy wystarczy podłożyć ją pod nóżkę szafy ze słóikami weka,

w chłodzie spiżarni? Albo ta notatka na marginesie gazety.  
Czy jedynie na skręta, na strugę popiołu, na obłok dymu?

Albo echo rozmów przy obiedzie – o planie wielkich prac,  
o zatroskaniu, wrózeniu z kart czasu. A może układanie rzeczy

w pudle po telewizorze. Oto rzecz z nazwą zatartą, nie do odczytania,  
przyprószone opłatkami; rzecz, która utraciła kontur, ciężar i pleć...

Cóż pozostało, jeśli nie pragnienie przemiany w promień światła,  
biegnący od okna aż do drzwi na zewnątrz, na świat, świt...



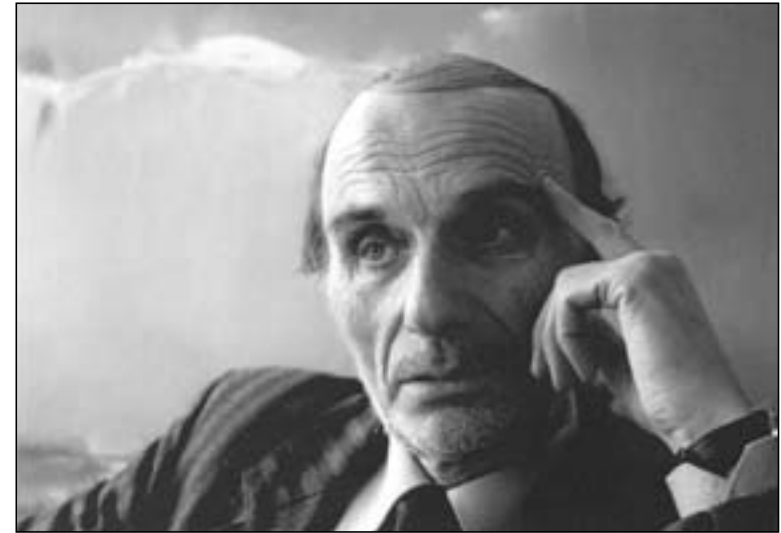
## Zmierzch II

A przecież zanosiło się na trudny powrót; bo z krainy katastrof.  
 Na upadek w czas. Na zapomnienie ogrodu gdzieś z odległego  
 zakątka raju. Biały wiersz. Jeśli złamiesz słowo, przepadniesz.  
 Zaklinam. Nigdy nie pojawiła się smuga popiołu na mankiecie  
 koszuli, ani na skroni. Ani nie upadł na posadzkę cień dużej, bo  
 z otchłani, wskazówki zegara. Nie zadrżały widełki kamertonu.  
 To raczej świeca, ustawiona przed ikoną, to jest lot ćmy w kręgu  
 światła. To jest ostra krawędź mroku; ćma, która kąsa cię w usta,  
 wysysa całą mowę. To jest klucz do bramy na zewnątrz bytu,  
 klucz brudnej muzyki. To nie lustro, które wchłonęło obraz,  
 przykuty pinezką do szafy wśród gratów na strychu. To tylko  
 obraz opadania, przekwitania, schodzenia na dno studni,  
 do piwnicy, do kresu wszystkich rzeczy. Obraz, który wchłania  
 życie twoje; życie moje.

## Przeprowadzka

Tam, gdzie kurz (bo nie drobinki idei, nie gwiazdny pył),  
 opadał na drżące liście ostów, co w rowie na granicy bytu;  
 opadał na stopnie schodów od strony podwórza, gdzie  
 robotnicy wynosili graty, raczej rzeczy w pełni swej istoty,  
 bo w trwaniu, w rzeczy-wistości; opadał na przestrzeń logiki  
 pod zimnym niebem. Tam, skąd przekazałeś, ocaliłeś rękopis,  
 co zawierał kropelkę wzruszenia, a może zaszyfrowany  
 raport; ukryłeś go za ściennym lustrem, a może pułapką  
 na obraz świata. Tam, gdzie zegar odmierzał żywy, krwisty  
 ochłap czasu. A przecież przymierzałeś się, by ująć pogoni,  
 skoczyć z mostu, przebiec po powierzchni wody, powtórzyć  
 historię ze snu. Wyrecytować za wersem wers. Odżyć  
 po śmierci poezji.

Jerzy Plutowicz



Fot. Archiwum „K.A.”

## Krzysztof Myszkowski

### Kazimierz Hoffman (1928–2009), wspomnienie

Kazimierz Hoffman był jednym z akuszerów mojego debiutu. W serii wydawniczej Oddziału Bydgosko-Toruńskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, którą powołał do istnienia, ukazało się na początku 1992 roku pierwsze wydanie *Pasji według świętego Jana* (1991). Wtedy go poznałem. Widywaliśmy się na zebraniach, niekiedy zachodziłem do Biura Wystaw Artystycznych, gdzie miał swój pokój, telefonowaliśmy do siebie. Rozmawialiśmy o sprawach aktualnych, o literaturze, o filozofii i teologii. Był chrześcijaninem, który żył wiarą z oddaniem i z powagą sprawy.

Gdy na początku 1995 roku obejmowałem redakcję „Kwartalnika Artystycznego” w ogniu ostrych ataków dyskretnie, ale stanowczo stanął po mojej stronie. Powiedział, że muszę wszystko trzymać mocną ręką, bo inaczej w niedługim czasie pismo przestanie istnieć. Potem jeszcze kilka razy nie stanął po stronie tych, którzy chcieli zniszczyć „Kwartalnik”, chociaż wywierali na niego silną presję.

Nie raz mieliśmy różne zdania, ale w wielu sprawach rozumieliśmy się dobrze. Regularnie dawał do druku nowe wiersze, ogłosiliśmy dwie z nim rozmowy, publikowane były omówienia jego książek. W Bibliotece „Kwartalnika Artystycznego” ukazał się jego ostatni tomik Znaki.

Trzymał się z boku, nie lubił wrzawy, unikał mediów. Skupiony na swoim pisaniu, interesował się utworami i tekstami innych, z uwagą czytał wybrane książki i pisma literackie. To dzięki niemu istniał i pomyślnie działał przez dwadzieścia lat Bydgosko-Toruński Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, który na kilka miesięcy przed jego śmiercią rozbili pozbawieni skrupułów ludzie. Na jednym z ostatnich zebrań ze łzami w oczach mówił, że odejdzie, że nikomu nie będzie przeszkadzał i prosił, żeby pozwolili skończyć kadencję. Nie pozwolili. I nie ma już Bydgosko-Toruńskiego Oddziału, o który troszczył się przez tak wiele lat. W jego miejsce powstały dwa kadłubki, wiele złego się stało. A był w tym środowisku pisarzem najwybitniejszym, poetą o randze ogólnopolskiej, laureatem Nagrody PEN Clubu (2005).

Ostatni raz widziałem go na promocji Znaków. Czytał wiersze, odpowiadał na pytania, był spokojny, uśmiechał się. Szampanem wznieśliśmy toast za jego zdrowie. Po spotkaniu odwiozłem go do domu. Gdy ze Starego Rynku szliśmy na plac Kościeleckich, z zapalem mówił o poezji, o pisaniu, o „Kwartalniku”. Wypowiadał przesłanie, kontynuował w czasie jazdy. Na pożegnanie mocno się uściskaliśmy. Po raz pierwszy tak się żegnaliśmy.

Na jego pogrzeb jechałem z Torunia. W Bydgoszczy skręciłem w złą stronę i krążyłem, szukając drogi. Na miejsce dotarłem, gdy już trwała msza. Stałem na zewnątrz, przy schodach, było szaro i chłodno, kropił deszcz.

Odszedł cichy i dobry człowiek. I takie były jego wiersze: ciche i dobre. To zostaje.

Krzysztof Myszkowski

## Kazimierz Hoffman i o Kazimierzu Hoffmanie w „Kwartalniku Artystycznym”

Nr 0/1993

Kazimierz Hoffman, Chłód; Udział artystów

Nr 1/1994

Kazimierz Hoffman, Na temat Sisleya; Robert Mielhorski, Milczenie – szkic o wierszach Kazimierza Hoffmana

Nr 2/1995 (6)

Kazimierz Hoffman, Po latach

Nr 2/1997 (14)

Kazimierz Hoffman, \*\*\* Po co piszę? – ankieta

Nr 3/1997 (15)

Kazimierz Hoffman, List z Longarone; Tleń

Nr 4/1997 (16)

Jan Wolski, „Wieczność w krótkim trwaniu” – recenzja tomiku wierszy pt. Przenikanie

Nr 1/1999 (21)

Kazimierz Hoffman, Przypowieść; W półśnie. Las; \*\*\* (i coraz częściej...); Glosa; Strofa; Krzyżyk na drzewie; Stary człowiek przed Poematem; Kazimierz Hoffman, Trzy wiersze – ankieta; O odpowiedzialności poezji za słowo i innych sprawach – z Kazimierzem Hoffmanem rozmawia Grzegorz Kalinowski; Piotr Matywiecki, Fragmenty o poezji Kazimierza Hoffmana

Nr 3/1999 (23)

Joanna Bielska-Krawczyk, Malowane – bliskie sercu – recenzja zbioru pt. Przy obrazie

Nr 1/2000 (25)

Jan Wolski, Pisać tłumiąc zachwyty – recenzja tomiku pt. Stary człowiek przed Poematem

Nr 1/2001 (29)

Kazimierz Hoffman, W Asyżu; Nad Prusina; Wzór, odcień; Nad Safoną

Nr 4/2001 (32)

Kazimierz Hoffman, Taxi landaulet; Figa; Dary; Nagroda World Press Photo; \*\*\*

(odkładam pismo...); Na zniknięcie piskląt krzyżówki; Bar; Maseratim

Nr 1/2003 (37)

Kazimierz Hoffman, Potwierdzający, Przyspieszenie, tekst; Do...

Nr 4/2003 (40)

Kazimierz Hoffman, Pięć napomnień

Nr 1/2004 (41)

Kazimierz Hoffman, Przytulający psa; Z Edmonda Jabésa; Spokojna śmierć;

Aiken

Nr 4/2004 (44)

Kazimierz Hoffman, Beckett. Tybinga; Pisarstwo; Szkiców do portretu część pierwsza;

Bogusław Kierc, Rzecz na swoim miejscu – recenzja tomiku pt. Kos i inne wiersze

Nr 2/2005 (46)

Kazimierz Hoffman, Bokser warujący; Ucello Kapłońskiego; Klątwa

Nr 1/2006 (49)

Kazimierz Hoffman, Elegia; N

Nr 2/2007 (54)

Kazimierz Hoffman, Odsiew; Smukała; \*\*\* (I to jeszcze...)

Nr 4/2007 (56)

Kazimierz Hoffman, Oktawa; \*\*\* (Cytaty z przeszłości...); Nad kartką; Ze snu

Nr 1/2008 (57)

Kazimierz Hoffman, W Jenie; Nad Husserlem

Nr 2/2008 (58)

Kazimierz Hoffman, Wilga; Przed obrazem; Kolor

Kazimierz Hoffman, Znaki, Biblioteka „Kwartalnika Artystycznego”, Byd-

goszcz 2008

Nr 4/2008 (60)

Kazimierz Hoffman, Wnętrze; „A zatem: franciszkański kartezjanizm” – z Ka-

zimirzem Hoffmanem rozmawia Grzegorz Kalinowski; Zbigniew Herbert,

Poetyckie spotkanie z Kazimierzem Hoffmanem; Głosy o «Znakach» Kazimierza

Hoffmana: Julia Hartwig, Bogusław Kierc, Piotr Matywiecki, Leszek Szaruga;

Jacek Łukasiewicz, Harmonie – recenzja tomiku wierszy pt. Znaki

Nr 1/2010 (65)

Krzysztof Myszowski, Kazimierz Hoffman (1928–2009), wspomnienie

## Bogusława Latawiec

---

\*\*\*

Jego ptaki

ich zatrzęsienie:

gile, jemioluski, żółtobrzuski,

zimorodki, sikory

i czterolistne koniczyny

stare podkowy z duktów

dwie bryłki bursztynu...

Nadal mi ćwierkają, kruszą się w książkach,

rdzewieją i płoną

To co jest w uszach, oczach, pod palcami

słuchane, oglądane

przekładane, odkurzane – czym jest

jeśli nie Tobą?

Rozmową?

Krajkowo, wrzesień 2009

Zakopane 1952 r.

Z cyklu „Odkrytki”  
Ojciec do matki

## Ze szkolenia

Wczoraj na Krzesanicy zdybałem orła  
Leciał nad przepaścią – biały wiatr  
I taka w nim była swoboda  
celność lotu  
że łzy poczułem pod powiekami nad jego mocą  
i własną słabością w wietrze  
W tym wietrze  
który wciąż jeszcze dmie nad nami

A dzisiaj znowu od rana  
te same kamienne czoła przy mnie  
kamienne oczy  
i słowa bez echa  
jak otoczaki w strumieniu  
tej samej wielkości

Ach gdyby tu wzbił się, kochana,  
choć jeden, jedyny  
pryskający ponad – żywy pstrąg...

Poznań, wrzesień 2009

## Nocą

Uwolnić stopę  
niech słucha ziemi  
Wypuścić kota na drzewo i myszy  
być o krok od ciebie  
ale biec na przełaj  
przez noc

z oddychającą garścią świetlików  
Podpalić nimi ciemność  
która jest między nami

Krajkowo, wrzesień 2009

\*\*\*

Żyła przy mnie przez lata ale do czego żyła?  
Już nie pamiętam:  
Do materiałów  
ich głębin  
tylko po to aby z nich świecić?  
Czy przeciwnie  
by im służyć do spięcia  
z nałożenia jednego szwu na drugi  
A może do włosów  
aby utrzymać ich lotne skrzydło  
zwinięte za uchem  
jak gniazdo przy korze?  
Jeszcze do kartki z kartką  
żeby je razem zatrzasnąć:  
list z jego brudnopisem  
wiersz z dalszym ciągiem wiersza  
a także kilka jego wersji późniejszych  
Ale to by już była  
koralowej zapinki praca istotna

(nie tylko ozdobna, użyteczna)

bo praca w czasie  
z kalendarzem, zegarkiem  
i prędkim pulsem dzwonów z wieży za oknem

Sopot, marzec 2009

Bogusława Latawiec

# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

Poezja  
Proza  
Esej  
Dzienniki  
Listy  
Rozmowy  
Recenzje  
Noty o książkach  
Bloki tematyczne  
Numery  
monograficzne  
Najwybitniejsi pisarze  
współcześni



Fot. Piotr Dżumala

Barbara Bray  
(1924-2010)

Choć nie znała polskiego, z zainteresowaniem patrzyła na numery poświęcone Giacomettiemu, Baconowi, Editions de Minuit – zanim sama znalazła się w gronie autorów. Jej nazwisko wielokrotnie pojawiała się w „Kwartalniku Artystycznym”. W poświęconym Haroldowi Pinterowi monograficznym numerze, który ukazał się w 2005 roku, kilka miesięcy przed przyznaniem angielskiemu dramaturgowi Nagrody Nobla, Barbara Bray opowiadając o swojej pracy w radiu BBC, przypomniała, że to jej w dużej mierze autor Urodzin Stanley'a zawdzięczał międzynarodowy rozgłos już na samym początku kariery literackiej. Opowiadała również o współpracy z Pinterem i Josephem Loseyem przy filmowej adaptacji W poszukiwaniu straconego czasu – głośny autor i słynny reżyser filmowy zaprosili ją do udziału w tym przedsięwzięciu jako wybitną znawczynię życia i twórczości Marcela Prousta. W 2006 roku, w stulecie urodzin Samuela Becketta, Bray rozmawiała na łamach „Kwartalnika” na temat więzi łączących ją z irlandzkim noblistą. Jej wypowiedź nie tylko dostarczała nieznanych wcześniej informacji – „z pierwszej ręki” – o Beckettie przy pracy, lecz również była dowodem

jej niesłychanej energii intelektualnej i rzadko spotykanego daru przedstawiania złożonych problemów prostym, klarownym językiem. A przy okazji, rozmowy z nią pozwoliły nam lepiej zrozumieć, jaki walor intelektualny dawała Beckettowi przyjaźń z kobietą obdarzoną taką wrażliwością i kulturą. I trzeba tu podkreślić, że czytelnicy „Kwartalnika” mieli przywilej poznania jej wypowiedzi, jeszcze zanim dotarła do kogokolwiek w angielskim oryginale – kiedy piszę ten tekst, relacja Barbary Bray ukazała się w Niemczech, niedługo będzie można ją przeczytać po angielsku i w przekładach na francuski, szwedzki, rumuński, hiszpański. Pod koniec 2008 roku Bray gościła ponownie na łamach naszego pisma – tym razem Łukasz Borowiec przetłumaczył jej słuchowisko *Przekłeta pamięć* do imion – oparte na korespondencji Jonathana Swifta z dwiema kobietami jego życia – Esther Johnson i Esther Vanhomirgh. W kolejnej rozmowie, Bray upominała się o uznanie roli, jaką w życiu takich twórców jak Dickens pełniły „niewidzialne kobiety”, te, o których czasami nie wspomina się z uwagi na to, że ich związku z wielkim artystą nie sankcjonował sakrament małżeństwa.

Była przez długie lata partnerką życiową Becketta, ale dla nas przede wszystkim ważna jest jako jego partnerka intelektualna. Niezwykła erudycja tej schorowanej u schyłku życia kobiety rzucała się w oczy każdemu już po kilku minutach rozmowy. Ostatnim jej występem publicznym była dyskusja na temat autora *Końcówki* jesienią 2008 r., w off-owym teatrzyku na przedmieściach Paryża. Słabym głosem, odwracając głowę od i tak już przygaszonych reflektorów, mówiła o skomplikowanej osobowości Becketta w sposób prosty i bezpretensjonalny, coraz to, kolejnym sformułowaniem, przypominając widowni o jakże rzadko spotykanej sztuce związłego i trafnego wypowiadania się bez intelektualnej pozy o tym trudnym dziele. Pełna pokory elegancja jej słów wydatnie przyczyniała się do lepszego zrozumienia tematu wśród słuchających.

Widziałem ją po raz ostatni w dwudziestą rocznicę śmierci Samuela Becketta, 22 grudnia. Dzień później opuściła Paryż na zawsze. Zmarła 25 lutego 2010 roku w Edynburgu. Jej odejście zauważono przede wszystkim w Wielkiej Brytanii. Na łamach dziennika „Guardian”, Andrew Todd pisze, że Bray była jednym z najbardziej znaczących „łączników” między brytyjską a francuską literaturą w XX wieku. Podkreślając jej ogromne poczucie lojalności wobec Becketta i skromność, autor artykułu zastanawia się, czy obejmująca film, dramat radiowy i telewizyjny druga faza twórczości autora *Godota*, byłaby tak bogata



Fot. Francesca Bray

i zróżnicowana bez Barbary, która niestrudzenie zwracała jego uwagę na zjawiska, które mogły stanowić dla niego inspirację, na przykład teatr No. Todd posiłkuje się cytatami z moich rozmów, publikowanych najpierw w „Kwartalniku Artystycznym”. Robin Young, w artykule w londyńskim „Timesie”, w którym zamieszczono zdjęcie Barbary z portretami Becketta w tle, podkreśla, że poświęciła ona swe życie i rozliczne talenty (jako tłumaczka, producentka, autorka scenariuszy i reżyserka) odkrywaniu i lansowaniu innych utalentowanych twórców. Jej nazwisko może nie trafiło pod strzechy, ale nazwiska tych, których inspirowała, rozślawiała i realizowała w radio (Becketta, Pintera, Marguerite Duras) – owszem. Innym śladem pamięci o Bray jest emitowany przez radio BBC felieton, w którym mówi się, między innymi, o subtelnym, ale trwałym i głębokim wpływie jej działalności na brytyjską kulturę literacką, o tym, że stworzyła nie istniejący dotąd typ widowni, nowego odbiorcę wymagających i ambitnych utworów sztuki europejskiej. John Tydeman, kierujący po niej i Martinie Esslinie działem Dramatu Radiowego stwierdza, że publiczność literacka nie wie, czego chce, dopóki tego nie dostanie – a to, co dostała od Bray było kulturą najlepszą z możliwych.

Barbara Bray, wnuczka żydowskich imigrantów z Holandii, urodziła się w Londynie, po ukończonych cum laude studiach w Cambridge wyszła za mąż za pilota Royal Air Force, a jednocześnie poetę Johna Bray, z którym wyjechała do Egiptu. Przez trzy lata uczyła angielskiego na uniwersytetach w Kairze i Aleksandrii, po czym rozstała się z mężem, wróciła z córkami do Anglii i podjęła pracę w BBC, gdzie poznała Becketta w czasie produkcji jego pierwszego słuchowiska. Od 1960 roku mieszkała w Paryżu, początkowo

pisząc do tygodnika „Observer” i uczestnicząc w cotygodniowej audycji BBC „Critics”, a następnie poświęcając się głównie pracy translatorskiej. To ona w znacznej mierze przyswoiła kulturze języka angielskiego takie nazwiska jak Genet, Sartre, Anouilh, Pinget, przede wszystkim zaś Marguerite Duras. Jej przekłady Duras krytyka angielska nazwała kongenialnymi. Była jedynym tłumaczem wyróżnionym aż czterokrotnie prestiżową nagrodą translatorską Scott Moncrieff Prize.

Jej związek z Beckettem przetrwał do jego śmierci w 1989 r. W latach dziewięćdziesiątych, wciąż tłumacząc z francuskiego, poświęcała wiele czasu założonej przez siebie dwujęzycznej trupie teatralnej Dear Conjunction, która wystawiała w Paryżu utwory drogich jej autorów. Od udaru mózgu w grudniu 2003 roku głównym celem, który sobie postawiła, było napisanie wspomnień o tym, co łączyło ją z autorem Czekając na Godota.

Barbara Bray była osobą niezwyklej skromności. W odróżnieniu od wielu znajomych pisarza, czasami „przelotnych” znajomych, którzy napisali tomy relacji o swej przyjaźni z Beckettem, ona, która tak wiele z nim przeżyła, chciała napisać tylko jego „charakterystykę duchową”. Wyjaśniła swoje zamierzenie cytując m.in. klasykę japońską. Murasaki Shikibu, autorka słynnego portretu księcia Genji z psychologicznej powieści Genji-monogatari, zapytana, dlaczego poświęca tyle stron osobie księcia odpowiedziała: „Nie chcę, by kiedykolwiek nastał czas, kiedy ludzie nie będą wiedzieli, że istniał ktoś taki, jak Książę”. Barbara postawiła sobie podobny cel: „Sam i ja mieliśmy niezwyklej związek, całkowicie odmienny od czegokolwiek. Sam był istotą wyjątkową i jego osobę powinno się uhonorować tak samo jak honoruje się jego dzieło. Ja po prostu nie chcę, żeby zapomniano, jakim był człowiekiem”.

Barbara Bray nie doczekała się wydania w języku oryginału prowadzonych ze mną rozmów. Na osiemdziesiąte piąte urodziny, jesienią ubiegłego roku, podarowałem jej opublikowaną wówczas w Berlinie niemiecką wersję części rozmów. O francuskiej – w piśmie „Europe” – wiedziała tylko, że niebawem ma się ukazać. Nie dane jej było ukończyć książki o przyjaźni z Beckettem. Pozostały jednak wielogodzinne nagrania i to one sprawią, być może, że przyszłe pokolenia pamiętać będą nie tylko o wielkim pisarzu, lecz także o tej niezwyklej kobiecie, która wystawiła mu pomnik całym swoim życiem. Jej nazwisko nie popadnie w zapomnienie, dopóki będą wznawiane jej tłumaczenia. Ale warto, by pamiętano również, jakim była człowiekiem.

Marek Kędziński

Kamila Pawluś

## Walce rdzewiejących puszek

Pod kaskadą piachu, myśląc o przesypującym się poranku,  
 staliśmy, a koło wiatru obracało się w dolinie. Domy z łupanego  
 kamienia  
 otoczone murami z łupanego kamienia, między którymi  
 – uliczki z łupanego kamienia:  
 wszystko dawało odpór najazdowi drobiazgu. Nasza obecność  
 rosła w szparach murów  
 i splekanych bramach, tymczasem skobel wisiał, na cześć  
 poukrywanych za okiennicami,  
 broniąc dostępu do krągłych głów kapusty i nagich jabłoni.  
 Oddalające szkło obiektywu  
 zachodziło mgiełką, w zaułkach jak stare przekupki  
 terkotały walce rdzewiejących puszek

Kamila Pawluś, ur. w 1979 roku w Krakowie; laureatka Ogólnopolskiego Konkursu na Debiutancką Książkę Poetycką, organizowanego przez kwartalnik „Opcje”; publikowała m.in. w: „Czasie Kultury”, „Tyglu Kultury” i „Tekstualiach”. Mieszka w Warszawie.

na obrotowych osiach: bądź pozdrowiony klejnocie, klejnocie,  
w kwiecie lotosu, lotosu  
lub też cokolwiek innego. Inskrypcje na skałach mówią  
o świętych pismach  
i czasie, dłucie, wiedzionym pewną ręką, oddanym  
na usługi niepewnej wieczności.  
Do zamkniętych podwoi destylarni ktoś przybił inną  
modlitwę, może  
równie skuteczną: za parę miesięcy wróć.

## Każdy mijający

Jeden – dla Ötziego (nieprzemakalny łapeć z jeleniej skóry,  
na niedźwiedziej podeszwie, wzmacniany plecionką z łyka;  
słoma dla komfortu) który chcąc nie chcąc stał się po swej śmierci  
lat trzy i pół tysiąca, czcigodnym mieszkańcem Tyrolu,  
obywatelem Włoch.

Drugi – może sandał – caligae. Własność przyszłego cesarza,  
obecnie siedmioletniego chłopca; dokładnie w tej chwili  
naciąga but i krzywi się stukając nabijaną gwoździami podeszwą  
o bruk:

rzemień uciska łydkę, gołe palce trą o kamienie.  
Wiele – bezimiennych: zniszczone otoki, wywalone języki,  
obcas bez wierzchnika, wyrwane oczka do sznurowadeł;  
Niemi żałobnicy po krótkiej bytności ciała.  
Na środku brukowanej ścieżki, na wieczne nieużywanie.

Kamila Pawluś

# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

ku jawy i pomorze

w 2009 roku



Nr 1 (61) Krzysztof Myszkowski, Jan Błoński (1931–2009); wiersze Julii Hartwig, Adama Zagajewskiego, Piotra Szewca, Anny Piwkowskiej, Krystyny Dąbrowskiej, Renaty Senktas, Łukasza Pendereckiego; współcześni poeci macedońscy w przekładach Olgi Lalić: Nikola Altiev, Ranko Mladenoski, Radovan P. Cvetkovski, Slavčo Kovilovski, Vasil Tocinovski, Hristo Petreski, Jusuf Sulejman, Petre Bakevski; Głosy o Tutaj Wisławy Szymborskiej: Edward Balcerzan, Ukryte cykle, Aleksander Jurewicz, Wisława Szymborska: „Tutaj”; Julia Hartwig, Powrót do Szymborskiej, Bogusław Kierc, Szalik z prawdziwej wełny, kluski ze skwarkami, Zofia Król, Czas lokalny, czas miejscowy, Krzysztof Myszkowski, Dziewiętnaście, Piotr Szewc, Niewiedza tutaj jest zapracowana, Janusz Szuber, Zdarzyło się tutaj; rozmowa Joanny Zach z Markiem Skwarnickim o Wierszach i ćwiczeniach Czesława Miłosza; rozmowa Krzysztofa Lisowskiego z Ewą Lipską pt. Przy okazji robienia porządków w archiwum; Po przelomie – najważniejsze książki dwudziestolecia 1989–2009: Michał Głowiński, Dziennikowe kwadratury koła, Henryk Grynberg, Najważniejsza proza, Antoni Libera, Moja biblioteczka dwudziestolecia (1989–2009), Krzysztof Myszkowski, Dwudziestolecie, poeci, Leszek Szaruga, Dwadzieścia lat później, Janusz Szuber, Dla mnie najważniejsze; esej Marka Kędzierskiego RUE Samuel BECKETT (2); „Kwartalnik Artystyczny” w 2008 roku;

Varia: Michał Głowiński, Aleksander Jurewicz, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Piotr Szewc;  
Recenzje i Noty o książkach



Nr 2 (62) Wiersze Zbigniewa Herberta, Julii Hartwig, Bogusława Kierca; Marek Kędzierski, Terytorium Bernharda, Rozmowy: Thomas Bernhard, Katolicka egzystencja, z rozmów z Kurtem Hofmannem, Thomas Bernhard, Spotkanie, rozmowy z Krystą Fleischmann, „Każdy dzień był dla niego inscenizacją” – Peter Fabjan w rozmowie z Markiem Kędzierskim, Terytorium Bernharda – fotografie, Krystian Lupa, Wolfsegg, Marek Kędzierski, Aurach; Głosy i głosy o Jasne niejasne Julii Hartwig: Krystyna Dąbrowska, Pod zieloną wodą; Jacek Łukasiewicz, „Być blisko na odległość”; Krzysztof Myszkowski, Dobra miara; Anna Nasilowska, Jednak klasycyzm; Leszek Szaruga, Pytania Julii Hartwig (notatki krytyczne), Piotr Szewc, Zwyczajna rzecz, Janusz Szuber, Odbite w lustrze: pytania i perła; Po przelomie – najważniejsze książki dwudziestolecia 1989–2009: Mirosław Dzień, Wyimki z subiektywnej listy, Andrzej Zawada, Zmiana sytuacji, zmiana strategii; Marek Wendorff, Kontakt '09;

Varia: Julia Hartwig, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Piotr Szewc;  
Recenzje i Noty o książkach



Nr 3 (63) Wiersz Fryderyka Schillera w przekładzie Adama Pomorskiego i wiersze Thomasa Bernharda w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka, wiersze Julii Hartwig, Ryszarda Krynickiego, Janusza Szubera, Krzysztofa Lisowskiego, Piotra Sobolczyka; Marek Kędzierski, Thomas Bernhard (2), Thomas Bernhard: Chodzenie, Korekta, Wycinka; Moje nagrody – Nagroda Literacka Wolnego Hanzeatyckiego miasta Bremy; Zdarzenia; Wiktor Szajbus. Baśń zimowa; W Rzymie, Ingeborg Bachmann, Thomas Bernhard, próba. Szkic, Elfriede Jelinek, O Bernhardzie, Erika Tunner, Życ i pisać, Manfred Mittermayer, Od świata rzeczywistego do fikcji. Literatura a rzeczywistość u Thomasa Bernharda, Agata Barełkowska, Thomas Bernhard – Ingeborg Bachmann, Nić porozumienia; „Decydujące fragmenty «Mrozu» napisałem w Warszawie...” Polskie wycieczki Thomasa Bernharda; Opowiadania mazurskie Kazimierza Orłosa; Po przelomie – najważniejsze książki dwudziestolecia 1989–2009: Anna Nasilowska, Najważniejsze książki dwudziestolecia, Ewa Sonnenberg, Zakończyć nie oznacza zacząć od początku;

Varia: Krzysztof Myszkowski, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga, Piotr Szewc;  
Recenzje i Noty o książkach  
List do Redakcji



Nr 4 (64) Wiersze Julii Hartwig, Hansa Magnusa Enzensbergera w tłumaczeniu Ryszarda Krynickiego, Piotra Szewca, Anny Janko, Kazimierza Brakonieckiego, Adriana Szymańskiej, Józefa Kurylaka, Kazimierza Nowosielskiego, R.S. Thomasa w przekładach Andrzeja Szuby;

Głosy i głosy w 100. rocznicę urodzin Jerzego Andrzejewskiego: Julia Hartwig, O Jerzym Andrzejewskim; Antoni Libera, Wesele, którego nie było. O „Miazdze” Jerzego Andrzejewskiego; Krzysztof Myszkowski, J.A.; Dariusz Nowacki, Teraz na niego zagłada?; Leszek Szaruga, Willa nad jeziorem; Jerzy Andrzejewski na fotografiach; Jerzy Andrzejewski i o Jerzym Andrzejewskim w „Kwartalniku Artystycznym”;

Aleksander Fiut, Schulz czyta Rilkego; Po przelomie – najważniejsze książki dwudziestolecia 1898–2009: Wojciech Ligeza, Tyle pięknych wierszy, tak mało uwagi i czasu; Arkadiusz Morawiec, Skromnie?; Andrzej Skrendo, Ankieta; Jean-Marie Gustave Le Clézio, Igraszki Anny;

Varia: Krzysztof Myszkowski, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga, Piotr Szewc;  
Recenzje i Noty o książkach  
Listy do Redakcji



## VARIA

Julia Hartwig

Dwadzieścia lat  
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich\*

Jako jeden z członków grupy, która zakładała przed dwudziestu laty Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, pozwalam sobie zabrać głos podczas uroczystości jubileuszowych związanych z dwudziestolecie istnienia tego stowarzyszenia. Szacunek dla tej chwili połączony jest z uczuciem pewnego niepokoju, związanego z moją własną sytuacją, jako pisarza i członka zawodowej społeczności pisarskiej. Jak to? Tylko dwadzieścia lat? A gdzie podziały się lata 1944 do 1989, to jest do dnia, kiedy zarejestrowane zostało Stowarzyszenie Pisarzy Polskich? Czy przez te minione przeszło pół wieku byłam tylko wolnym strzelcem, niezwiązanym z żadną organizacją zawodową? Moje zachowane do dziś dokumenty mówią coś innego, ukazują mi się opatrzone zdjęciem legitymacja z nadrukiem: Związek Literatów Polskich. Co się stało, co takiego zaszło, że legitymacji tej nie dałabym już dziś, ani wczoraj do przedłużenia, choć tradycja Związku Zawodowego Literatów Polskich założonego przez Stefana Żeromskiego jest mi tak bliska?

To, co powiem dalej, to już historia, ale byłam nie tylko jej świadkiem, ale i uczestnikiem. Był rok stanu wojennego. Ówczesny Związek skupiał kilka setek literatów uprawiających różne formy pisarskie i żyjących różne przekonania. Również polityczne. Byli tam członkowie partii, byli i bezpartyjni, jak wszędzie w ówczesnej Polsce. Czas był niespokojny, „Solidarność” parła naprzód, władze podjęły ostrą walkę z „elementami wicherzycielskimi”. Na mocy dekretu ustanawiającego stan wojenny zamknięto wszystkie stowarzyszenia twórcze, w tym również Związek Literatów Polskich.

Zarząd Związku, na którego czele stał Jan Józef Szczepański, podjął walkę o istnienie. Jak się w końcu okazało – beznadziejną. Wytoczono przeciw Związkowi najgroźniejsze i najbardziej śmiertelne działa. Uruchomiono

\* Przemówienie wygłoszone 28.11.2009 roku w Sali Wielkiej Zamku Królewskiego w Warszawie na uroczystości z okazji dwudziestolecia Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

całą sieć intryg, przejmowano korespondencję prezesa i posługiwano się nią bezwstydnie w toczonych obradach, puszczono w obieg fałszywkę listu noszącego sfałszowany podpis Jana Józefa Szczepańskiego. Gazety pełne były tekstów szkalujących środowisko pisarskie. Cytuję:

„Postawa członków ZLP w dywersyjnej, antypolskiej działalności jaskrawo sprzecznej z dobrem naszego państwa i narodowej kultury”.

„Działalność ZLP już od dłuższego czasu wykorzystywanego przez część jego kierownictwa i niektórych członków jako teren i narzędzie walki z ustrojem i władzami PRL.”

Trzeba było żyć w tamtych czasach, żeby wiedzieć, że za takie zarzuty płaciło się nie tylko unicestwianiem publicznym, ale często i wolnością. Nie udało się uratować Związku Literatów. Szlachetną nazwę, do której tak byliśmy przywiązani, przejęli ludzie całkowicie oddani partyjnym zarządzeniom władzy. Zaakceptowano komfort wyzbycia się ze swoich szeregów największych nazwisk pisarzy znakomitych, lecz nieposłusznych. Ich nazwiska znikły z pism, ich książki wycofywano z bibliotek, nie milkły też nadal brudne ataki osobiste. Największą jednak obrazą było bezkarne przywłaszczenie nazwy Związek Literatów Polskich, którą zachowała sobie grupa pisarzy pogodzonych ze stanem wojennym i pasożytujących na nim. Nie było już możliwe podpisać się pod nazwą zagrabioną w najbardziej nikiemny sposób. Kiedy nadszedł rok 1989 pisarze wyzbyli dotąd praw, postanowili się zorganizować. Powstało wówczas Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, którzy taką formułą wstępną poprzedzili nowo ustanowiony statut:

„Stowarzyszenie Pisarzy Polskich powstaje z woli pisarzy, którzy w stanie wojennym, po bezprawnym rozwiązaniu Związku Literatów Polskich w 1983 roku tworzyli i podtrzymywali niezależne życie literackie i kulturalne jako ważny składnik bytu odradzającego się społeczeństwa obywatelskiego. SPP nawiązuje do tradycji Związku Zawodowego Literatów Polskich, powstałego w 1920 roku, a także do działań środowisk literackich w kraju i zagranicą, podejmowanych w obronie praw ludzkich i swobody tworzenia”.

Przystąpili do niego wszyscy pisarze odsunięci przez lata stanu wojennego od życia społecznego, wśród nich: Julian Strykowski i Tomasz Burek, obaj bracia Brandysowie, Marek Nowakowski, Andrzej Braun i Marian Grześczak, Jacek Bocheński, Leszek Prorok i Jan Józef Szczepański. Artur Międzyrzecki i Andrzej Kijowski, Zbigniew Herbert, Wisława Szymborska

i Paweł Herz. Trzeba było walczyć o odzyskanie praw do własnego biura i do Domów Pracy Twórczej, bo wszystko to zostało przez ów Związek wojenny zagrabione. Trzeba było zorganizować się na nowo. Na zebraniu wyborczym restytuowano zarząd sprzed stanu wojennego, z prezesem Janem Józefem Szczepańskim, w uznaniu jego zasług w walce o utrzymanie Związku.

Pamiętam ten czas, jego zgryzoty i podtrzymujące nas przy życiu poczucie wspólnoty. Wspominając go pragnęłam uprzytomnić raz jeszcze nam samym i Państwu, że dwadzieścia lat Stowarzyszenia Pisarzy Polskich to tylko fragment naszej o wiele dłuższej przeszłości.

Obyśmy nadal mogli naszym pisarstwem służyć społeczeństwu, pozostając wierni swoim zadaniom.

Julia Hartwig

Krzysztof Myszkowski

## Addenda (16)

Czarna rozpacz.

Rybitwy na Krach. Białe pagórki na Jakubskim. Zakręt rzeki.

Przedmurze, puste rowy fos, fragmenty murów obronnych. Szczątki dawnej świetności.

Szum strugi, nurt rzeki, obłoki.

Kołyska i kołysanka.

U Mickiewicza: „Każdy zarówno w myślach kołysany/Między bojaźnią, żalem i nadzieją/W zamek smutnemi poziera oczyma”.

Marana tha!

Dzień jak potrzask.

Dochodzę do sił, czuję się coraz lepiej. Ewolucja anty-beckettowska. To też się zdarza.

Arthur Schopenhauer, W poszukiwaniu mądrości życia: „Prawdziwa krótkość wyrazu polega na tym, że mówi się wszędzie tylko to, co jest warte powiedzenia, unika natomiast wszelkich rozwlekłych rozważań nad tym, co każdy może sam pomyśleć, ze słusznym odróżnieniem tego, co konieczne, a co zbędne. Natomiast nigdy nie należy składać krótkości w ofierze wyrazności, nie mówiąc o gramatyce”. I Novalis: „Autentyczna prawda (...) musi zgodnie ze swoją naturą wskazywać drogę. Chodzi więc jedynie o to, aby kogoś zaprowadzić na właściwą drogę, lub lepiej – w określony sposób nakierować go na prawdę. Sam z siebie dojdzie on do miejsca przeznaczenia, gdy co innego czyni, gdy pożąda dojść do prawdy. Przedstawienie filozofii składa się zatem z samych tematów, zdań początkowych – zdań odróżniających – określonych zdań wzdychających – jest ona [filozofia] tylko dla kogoś działającego i kochającego prawdę – analityczne spełnienie tematu jest jedynie dla leniwych i niewprawnych”. Te uwagi dotyczą, w równej mierze, a może nawet w jeszcze większej, literatury.

Wszystko, co nie jest powtórzone, zmierza do nieistnienia.

Z ulicy Panny Marii, przez krużganek, do środka. Nawa północna. Okienne wnęki, witraże, gruby mur. Niskie gwiazdziste sklepienia. Krzyżujące się żebra, klucze łuków i ostrołuki. Lampki oliwne. Kaplica Trójcy Świętej. Organy.

Wchodzi się z nawy głównej, przejściem we wschodnim prześle pod dawnym tęczowym krucyfiksem. Na drugim krańcu, od strony zachodniej, znajduje się grób. Dwuipółmetrowa rzeźba z lipowego drewna.

Korzeń i różdżka z pnia.

Trzy razy powtórzony Psalm 91. Wyrażenia: „osłona Najwyższego” i „cień Wszechmocnego” są w nim określeniami świątyni.

Prawo i żertwa ducha.

Ruiny i Thorn. Thorn w ruinach. Ruiny Thorny.

Jasne i niejasne słowa, jasne i niejasne dźwięki. Syreni śpiew. Pułapka Mohla.

Nie układać się ze złymi duchami. Gdy przychodzą, przepędzać je!

Każdy dostaje swoją chwałę. Jest wprowadzony na jej drogę i wtedy reszta zależy od niego.

Nacht-Samborski w Wozowni. Róg Rabiańskiej i Ducha Świętego. Przez przeszkłone drzwi, do środka. Niski belkowany strop, siedemnaście belek stropowych, siedemnaście na osiemnaście metrów.

Portret Elizy w fotelu. W żółtej bluzce w brązowe plamki siedzi w brązowym fotelu. Twarz do połowy jasna, bez nosa i ust. Brązowe kropki oczu. Jest smutna, bardzo smutna, ale czoło ma jasne. Jest w niej rezygnacja i żal. I iskry nadziei.

Portret kobiety z zielonymi włosami. Patrzy uważnie. Kobieta w niebieskiej sukni. Na niebieskim tle, niebieska. Kobieta siedząca w błękitnej sukni. Jest wystrojona, czeka, ale jednocześnie jakby odwracała się, chciała odejść. Oddalona. Różowy profil. Zrobiony z kilku nakładających się na siebie profili. Ale jest jeden, sam, opuszczony. Popiersie różowe na ugrze. Obraz płacz, rozpacz. Jak w pułapce. Portret przed sztalugami – Chinka. Jest z tła i tło jest z niej, niekształtne, zamazane, w plamach i w plamkach.

Głowa – duża. Ile ruchu i życia jest w tej twarzy. Komedianci. Jak Trzej Królowie. Profil pana z brodą. Dwie twarze w jednej: ciemna i jasna, dobra i zła, w pomieszaniu. Podobnie: Głowa z jednym okiem. Jak maska zrobiona z dwóch masek – pół na pół. Głowa – maska. W otworach – oczy; bez nosa i ust. Kto patrzy? Głowa. Jakby pozlepiana z kolorowych łat i łatek. Zieleń, czerwień, brąz, niebieski, popiel, róż, biel i czerń. Klaun na czerwonym tle. Ile tu jest radości, i smutku; jedno do drugiego dodane, przyczępione. Czerwone, żółte, niebieskie i zielone pręgi. Tło jasne, słoneczne i ciemne, mroczne. Baleary. Egzotyka i coś z rodzinnego krajobrazu. Niebieskie, intensywne niebo. Pejzaż z Balearów. To samo mieszanie. Jakby jedno nakładało się na drugie. Jest w tym spokój i sielanka. Pastelowe kolory, światło. Pejzaż. Wir kresek, plam i kolorów. Dokończenie i niedokończenie w jednym. Szare niebo, rzeka, drzewo, dom i zabudowania. Architektura

z bramą. Jakby ruiny zamku krzyżackiego lub fragmenty murów Jerozolimy. Dominuje niebieski; biel, brąz, czerwień, żółty i róż.

Kobieta przy stole. Scenka paryska. Jest zamyślona i niespokojna, na czerwonej kanapie, której obicie jest posklejane lub pozszywane. Akt na czerwonej sofie. Niebieskie oczy. Niebiesko-zielone tło, brązowa podłoga. Akt kobiety przy zielonym piecyku. Nieforemne, niedokończone. Niebiesko-szare tło, ciemnoczerwona podłoga, nieskładne, niespokojne linie. Mężczyzna w zielonej mycce/Kobieta z psem. Z profilu. Patrzy uważnie i niepewnie. Kobieta, na doklejonej z drugiej strony desce, jest bez psa. Portret torreadora. Jasne i ostre kolory. Przed walką czy po, na arenie. Autoportret w czerwonym krawacie. Postać jak zjawa, twarz-maską. Medium. W dwóch trzecich szaroniebieskie i niebiesko-zielone tło, na dole brązowe. Objęty jest w kolory niebieskie. Jakby był odpowiednikiem torreadora i jego odwrotnością. Portret mężczyzny z wystającymi zębami. Smutny, przestraszony, zdumiony, nieszczęsny. Róż, brązy i granat. Portret mężczyzny na szarougrowym tle/Portret młodego Żyda. Spokój, pewność i dostojność. Zamyślenie i skupienie. Mocne osadzenie tła w tej postaci i postaci w tle. Niebieski znak. Łysy mężczyzna w niebieskiej marynarce. Jak szkic do portretu. Dominacja tła. Patrzy tak, jakby nie był z tego świata. Głowa kobiety na tle liści. Zespolone w jedno: głowa i liście, chociaż w tym stopieniu czy przenikaniu są integralne i osobne, rozłączne i nierozłączne. Dziewczyna w żółtej czapeczce. Bez ust i bez nosa. Brązowe oczy. Tło ciemne (brąz), jasne i znowu ciemne (brąz, zieleń).

Martwa natura z bananem. Jak nie Nacht, a jednak czuje się jego rękę. Chłopiec obok liści w doniczce. Jest obok. W marynarskiej koszuli. Liście żywe, bujne i radosne, a on smutny i przytulony do nich. Wiszący głuszc. Jak postać lub przedmiot. Dominuje, wypełnia obraz, chociaż wiele tu szarego tła, prześwitującego na strefy jasne, jednolite i niespokojne. Kolory niebieskie, popielate, żółte, czerwone i białe. Zacieki. Bażant. Podobnie, chociaż odwrócony, głową w dół. Zielone kolory tła, ruch, niedokończenie. Białe i błękitne pióra. Czerwień i intensywnie niebieskie plamki. W jasnobrązowym obramowaniu. Liście w garnku niebieskim – czerwone tło. Świetny zestrój kolorów i kształtów. Jednolitość z wielu tonów i odcieni. Dominują: brąz, zieleń, niebieski i, w kontrapunkcie, czerwony. Liście. To samo, tylko w innej, ciemniejszej, zielonej tonacji.

I innym sposobem uzyskane. Nie tak zakryte. Liście fikusa w pasiastym wazonie. Jeden z tych ślicznych fikusów Nachta. Paski, pionki, kwiaty. Fikus w drewnianym dzbanku. Jak twarz. Liście w ugrowym dzbanie. Świeżo zmieszane zielenie i szarość. Cytryna, słoik z miodem i dzban. Liście z białym kwiatem. Zielenie, jasność, żółty kubek, zielono-czerwona kula i u góry biały kwiat z żółtą, zieloną i czerwoną plamką, podkreślony niebieskim. Kwiaty na stole – storczyki w niebieskim dzbanie. Niebiesko-zielono-popielata kompozycja. Żywe kolory, ekspresyjne szare tło. Donica z gałązkami i liśćmi na zielonym tle. Co za zielen! Jasna, żywa. I na nią jakby naklejone listki narysowane ręką dziecka. Martwa natura. Znowu fikus i żywe tło, radosne kolorowe związki. Fikus na stołku. Różnokolorowe pasy i paski tła. Rytm kreskowe. To mieć. Nic tu takiego nie ma. Pole możliwości. W ruchu i w bezruchu, w akcji. I bez zmian. Ale tylko na chwilę, bo jak się uważnie patrzy, to już nie.

Kompozycja biało-zielono-czerwona. Twarz-kwiat w doniczce. I znowu te lekkie, duchowe niebieskości, szarości, popiele i podbite czerwienią, jasne i świetliste rozkwitające zielenie. Kompozycja w białe kropki. Jak rysunek dziecka. Wazon z kwiatami na czerwono-zielonym stole. To samo, ale jakby bardziej zrobione, podkreślone.

Głowa z fioletowym krawatem. Ciemne tonacje. Jak grecka maska. Patrzy jednym okiem. Akt z kwiatami. Duże piersi, usta, róż, niebieskie oczy i rozłożysty fikus. Widok z prawej i z lewej strony, otwarte. Akt kobiety stojącej z uniesioną ręką. Plama, magma, ogniste włosy. Na różowej twarzy trzy niebieskie kropki. Możliwości. Akt stojący kobiety na czerwonym tle. Boki. Ciemne czerwienie, ostrość. Wszystko to jakby byle jakie, ale utrwalone, zatrzymane w miejscu. Oczekiwanie, niepewność i pewność, rezygnacja. Wojenne barwy. Pokonana? Bukiet stylizowany. Esy floresy. Jeszcze nie wie, czego chce. Szuka swojego wyrazu.

W tle krzesło i sztalugi. Szara ściana. Rozpacz. Wielki smutek. Żółta bluzka w brązowe plamki.

Krzysztof Myszowski

## Marek Skwarnicki

### Hejnał mariacki (3)

#### Kapitan Klos i Pan Pikuś

Śniło mi się, że słyszę wśród nocnej głuszy nad dachami Krakowa zamiast hejnału głos trąbki Armstronga. Po ostatnich zabawach sylwestrowych na Rynku Głównym wcale mnie to nie zaskoczyło. Właściwie nie były to ekscesy, ale taniec stu tysięcy ludzi, którzy zbiorowo podskakiwali w rytm ekstatycznych dźwięków bębnow, bębenków, trupoli i katafalków. Te ostatnie to pomysły świętej pamięci Gałczyńskiego. Wszystko, dzięki TV, oglądała i słuchała cała Polska. Podobne obrazy i dźwięki docierały do mnie i publiczności telewizyjnej kraju m.in.: z Wrocławia, Gdańska. Okazało się, że tylko Poznań nie tańczył nawet walca angielskiego i chyba adorował w domach Mozarta (Amadeusza). Wynurzenia moje mogą być zrozumiałe tylko dla ludzi starszych, u których mozaika czasów osobliwe tworzy kompozycje. Ja na przykład w czasach studenckich obserwowałem latami budowę Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina. Nocne bachanalia młodych moich rodaków pod tym małym a gustownym olbrzymem niezwykle mnie teraz czegoś śmieszyły. Trochę nie wiem dlaczego. Wszystkimi tymi sylwestrowymi drgawkami i wrzaskami w dużych miastach ani się nie gorszę, ani nikomu nie mam nic za złe. Zastanawiam się tylko, dlaczego wśród tak dużych rzesz Polaków skryta jest euforyczna chęć zabawy i radości, a na przykład młoda literatura jest tak smutna jak – według określenia Dickensa gwóźdź do trumny (Opowieść wigilijna).

W tej sytuacji nęci mnie „stara literatura”, tzn. taka, którą dzisiaj pisaliby starszankowie. Ciągle mam chęć stania się pionierem takiej twórczości. Ciągoty te budzi we mnie sam Kraków. Jest to miasto w swoim centrum nienaruszone nawet przez II wojnę światową. W kamienicach z czasów cesarza Franciszka Józefa można nadal natknąć się na zbiorowe wygodki na klatkach schodowych, w mieszkaniach pierwotnie pięciopokojowych i dwuizienkowych z oddzielnymi komórkami dla służących; można być zaproszonym do kąpieli w wannie o pojemności rodzinnej z kurkami wielkości zaworów w lokomotywach. Parowych lokomotyw dawno już nie ma w powszechnym użytku. A szkoda. Mój dziadek był kolejarem, zawiadowcą kilku stacji wokół Warszawy. Widocznie w moich genach dziadek przetrwał, bo nieraz z rozrzewnieniem słyszę w duchu przeciągły gwizd parowozów albo ich stękanie na stacjach.

W takim to świecie (mojego dzieciństwa) tyle, że nie w Warszawie a w Krakowie, umieściłbym akcję mojej opowieści. Jej bohaterem byłby Antykwariusz, uchodząca po Powstaniu Warszawskim pod Wawel. Jego miasto, w którym było bardzo dużo kamienic takich samych jak krakowskie, tylko wyższych, a w nich znajdowały się również olbrzymie wanny, kredensy, a nieraz księgozbiory oblepiające ściany dawno zmarłych bibliofilów. To wszystko spłonęło, płomienie pożaru milionowego miasta zdmuchnął wiatr historii. Cóż więc dziwnego, że mój Antykwariusz począł gromadzić całkowicie ocalałe książki i handlować nimi, by żyć. On chyba żyje i teraz, tylko ja o tym nie wiem. On – albo jego spadkobiercy – odsprzedali na pewno gotycko sklezione lochy pełne książek, map, miedziorytów, drzeworytów i literatury od Sasa do Hasse'a. Pan Patryk – bo takie miałyby imię nasz antykwariusz kochał książki, co nie jest dzisiaj tak częste. Na półkach, gdzie trzymał dwa inkunabuły, umieścił bibliotekę. Gdy przychodzili do niego na brydża, albo na obchód jakichś świąt i rocznic narodowych, Patryk wyciągał z biblioteki „Benedyktynkę” produkowaną nawet dzisiaj w 2010 roku w wolnym znowu Wilnie albo buteleczkę o tej samej nazwie, produkowaną w nieodległym Tyńcu, starodawnym klasztorze polskich benedyktynów, produkujących także słynne „Piwo Opata”. Trzeba wiedzieć, że te trunki do dziś zdobią półki wielu winiarni i piwiarni kochanego mojego Krakowa.

Kiedy byłem pierwszy raz, a potem parę razy w USA zastanawiała mnie aura nudy panującej w tamtym życiu. O tej nudzie na uniwersyteckim kampusie wciąż mi mówili przeżywający ją młodzi Amerykanie. Dla przybysza z komuny pobyt tam nie był wcale nudny, więc starałem się wczuć w ich przeżycia. Bunt ówczesny na przełomie lat 70. i 80. objawiał się różnie. Przed poborem do wojska uciekano do Kanady. A w małym mieście lowa usiłowano nago biegać po ulicach. Jednego z nagusów policja aresztowała, a on po uwolnieniu podał policję do sądu za naruszenie jego praw osobistych. W domu naukowca, w którym mieszkałem, zapraszano mnie na „dymka”, a grono uprawiające ten proceder składało się z rdzennych Jankesów i Chińczyków, Hindusów, Latynosów no i od czasu do czasu mnie. W czasie rytuału palenia trawki mówiono mało, lakonicznie i o niczym. Grzechotał telewizor, co kilka minut przemawiał Mister Clean, który teraz zawitał do nas do Polski razem z wolnością. Ten król proszków do prania z nieustannie powtarzanymi pannami Palmolive oraz zabijającymi się nawzajem gangami gangsterów w Nowym Jorku, albo San Francisco i Los Angeles, były tłem, które i u nas teraz zdobi zarówno bogate, jak i biedne pokoje z telewizorami. A do tego trzeba dodać informacje telewizyjne, prasowe itp. nie sięgające tematyką obszaru Stanów i kończące się zazwyczaj na granicy własnego stanu.

Koncentracja uwagi na meczach sportowych miejscowych klubów uzupełniała obraz przeraźliwie nudny dla cudzoziemca. Rzecz w tym, że dzisiaj podobna zamerykanizowana nuda panuje w naszych telewizorach i poniekąd głowach telewidzów. Zaczynają się panoszyć narkotyki, chociaż skutecznym antidotum jest we wschodniej Europie wódka. Broń Boże nie panikuję, ale przecież amerykańkanizacja naszej masowej kultury i podkultury czyni z niej mutację cywilizacyjną popularnej kultury całego świata.

Nie należy z kolei wpadać w antyamerykanizm. Ameryka „stoi” uniwersytetami, instytucjami badawczymi, laboratoriami, naukowymi olbrzymami takimi jak NASA. Jadąc przez tamtejszy kontynent i ewentualnie zatrzymując się w setkach małych miast, w których możemy odwiedzić miejscowe muzea i centra pamięci wielkich Amerykanów, uczestniczymy też w codziennym kulturalnym życiu tego niezwykłego narodu. W roku 1973 znalazłem się w miasteczku położonym u stóp Gór Skalistych, w okolicach Denver. Młodzi ludzie, których byłem gościem zaprowadzili mnie do takiego muzeum. Był to właściwie zwyczajny antykwariat. Ekspozowano maszynę do szycia firmy Singer, taką samą jak u nas w domu, w Krakowie, na której teściowa łała dzinsy moich synów. Żelazka na węgiel drzewny dopełniały wiedzy o miejscowej historii, obok pięknych, skórzanych płaszczy Indian zamieszkujących kiedyś te tereny. Wystarczyło, co prawda, dostać się do pobliskiego Denver, by w miejscowym muzeum obejrzeć obrazy Rembrandta, wazy greckie, albo w miejscowej filharmonii wysłuchać tych samych koncertów, co w Paryżu i Krakowie. (He, he!) W głowie się wszystko miesza, gdy się o tym myśli.

Doświadczaliśmy w naszym kraju i chyba doświadczamy nadal, kulturowej ofensywy naszego wschodniego sąsiada. Do tej pory TVP, na kanale Kultura, emituje dziesiątki filmów wyprodukowanych w czasach PRL. Ocenzone wówczas filmy nadal dziś zakłamują narodową naszą historię. Stawka większa niż życie i Czterej pancerni i pies otumaniają wyobraźnię Polaków żyjących w wolnym kraju, którego obywatele mogą podróżować po Europie bez granic. Tej zmiany chyba nie zauważają ani młodzi, ani starzy pisarze – brak filmów o takim wielkim przełomie w życiu narodowym i każdego z nas. Tworzą się gatunki zastępcze jak np. hip-hop, rap itp. Sto tysięcy ludzi podskakujących na krakowskim Rynku w ostatniego Sylwestra, tak jak i ów hip-hop, są wyrazem buntu przeciw jednostajności i szarzyźnie reklam proszków do prania, banków, towarzystw ubezpieczeniowych i Pana Pikusia. Co prawda lepszy Pikuś niż Stalin.

Marek Skwarnicki

## Leszek Szaruga

### Jazda (13)

36.

Minęło właśnie 50 lat od wydania w Niemczech w tłumaczeniu Karla Dedeciusa antologii polskich poetów czasu wojny zatytułowanej *Lekcja ciszy*. Z tej okazji Marek Zybura zredagował i udostępnił polskim czytelnikom zbiór wypowiedzi krytyki niemieckiej komentującej to wydarzenie. Można powiedzieć, że układając ten zbiór wszedł Dedecius w ostrą polemikę ze słynną tezą Adorno, iż „pisanie wierszy po Auschwitz byłoby barbarzyństwem”. Niemcy dostali już co prawda wcześniej lekcję poetycką w postaci arcydzieła, jakim jest *Fuga śmierci Paula Celana*, ale wiersze – przede wszystkim polskiego „pokolenia wojennego” – stały się okazją do dodatkowych refleksji. I tak w swej recenzji Gerhard Portele pisze: „Jeżeli coś odróżnia tę poezję od niemieckiej (...) to jest tym czymś powaga, którą wyczytać można z każdego tutaj niemal wiersza. Powaga, jakiej nam tak często brakuje w poezji niemieckiej, będącej mniej lub bardziej potrzebną grą – grą właśnie – pomimo głębszego sensu, jaki też posiada. W antologii z *Polski imperatyw* «Muszę-to-napisać» czytelny jest nawet w groteskach, w których często zdaje się odbijać rozpaczliwa bezradność wobec świata. (...) Polska sztuka dysponuje dzisiaj wyrafinowanymi, pomysłowymi i niekonwencjonalnymi formami, które nie stają się celem samym w sobie, nigdy nie pozostają tylko estetyką, ale służą treściom”.

Swoją drogą szkoda, że Marek Zybura nie pokusił się o szersze spojrzenie. Bo czyż nie byłoby i dla nas dzisiaj interesujące przeczytanie ułożonej przez Dedeciusa *Lekcji ciszy*? Przecież tak naprawdę polski czytelnik nie zna tej książki, a w końcu ta właśnie antologia, która bez wątplenia nie pozostała bez wpływu na to, co po jej wydaniu działo się w poezji niemieckiej – poszła wszak za tym rosnąca wciąż popularność Różewicza, potem Herberta, by tylko przy tych dwóch poetach pozostać – mogłaby być obecnie ważnym doświadczeniem dla wstępujących w życie literackie młodych. Bo, prawdę powiedziawszy, warto zobaczyć czasem polską poezję w lustrze układanej przez innych i dla innych antologii: ten, a nie inny zbiór wierszy, dobór tych, a nie innych autorów może nas wyzwolić od przyjmowanego przez nas samych kanonu. Tym bardziej, że właśnie uzupełnienie tej książki przez zgromadzone w tomie Zybura komentarze tworzyłoby całość niepowtarzalną.

37.

Ucieszyła mnie wypowiedź Ryszarda Nycza w czasie dyskusji na temat tabu (także w literaturze: „*Pogranicza*” 2009/5): „Aby dać przykład pisarza, który – jak się zdaje – ucieleśnia cnoty niezależności, wolności, swobody, chciałem wspomnieć o zapomnianym pisarzu, Januszu Szpotańskim, którego właściwie cała kariera, cała działalność, specyfika jego pisarstwa jest ześrodkowana na przełamywaniu tej tabuizacji, pruderii, konformizmu, na uczeniu wolnomyślności w sferze politycznej, w sferze obyczajowej, nawet w sferze religijnej. Jest naszym nieszczęściem, że są to tak nieliczne jednostki, że bywają one tak szybko zapomniane. Szpotański zasługuje na pamięć z wielu powodów, ale także z tego. On uczył, że umysł wstydlivy nie może być naprawdę wielkim umysłem i to pozostaje ciągle aktualnym przesłaniem nie tylko jego pisarstwa, lecz także świadectwa, które swym życiem nam daje”.

To prawda, i należy mieć nadzieję, że nie wszyscy o Szpotańskim zapomnieli. Tym, którzy zapomnieli, warto przypomnieć: Janusz Szpotański (1929–2001) to poeta, tłumacz, krytyk i teoretyk literatury, znany przede wszystkim jako autor śpiewogry *Cisi i gęgacze* napisanej w roku 1964, za którą osądzony został na trzy lata peerelowskiego więzienia. Ale: zmusił przecież tym utworem nawet superpruderyjnego partyjnego ascetę Władysława Gomułkę do wypowiedzenia pamiętnego określenia Szpotańskiego jako „człowieka o moralności alfonsa”: już wymuszenie tych słów na towarzyszu Wiesławie, w dodatku w transmitowanym na cały kraj przemówieniu, należy do wiekopomnych zasług „Szpota”. To było naprawdę coś!

Kolejne jego utwory są świadectwem naprawdę niewiarygodnie wielkiego talentu: wspaniałe rusycyzmy w *Carycy* i *Zwierciadle*, utworze w sposób wręcz kapitalny, portretującym Leonida Breżniewa i jego poczynania, także francuskie passusy w *Banji* w Paryżu, poemacie zwróconej swym ostrzem przeciw snobistycznym klimatom intelektualnym francuskiej stolicy – te karkołomne gry językowe połączone z bajeczną wprost erudycją autora nie pozwalają tej części jego twórczości sytuować poniżej *Balu* w operze Tuwima, a skłaniają do zrównania jej z klasycznymi przecież i ucukrowanymi przez tradycję *Monachomachią* i *Antymonachomachią* biskupa Ignacego Krasickiego. Podobnie jak zmarły w 1801 roku w Berlinie duchowny, jest Szpotański tropicielem nie tylko wad systemu, lecz przede wszystkim – co niewielu dotąd dostrzegło – przywar swych rodaków: to prawda, iż gromi władzę czy zakochaną w sobie inteligencję, ale też daje obraz polskiego życia w komunistycznym grajdole. Gdy te utwory – a na szczęście dość ich, by starczyły na przedmiot uczonych rozpraw dla co odważniejszych

polonistów na lata – czytać uważnie, nie sposób nie dostrzec, z jaką precyzją oddawane są w nich detale peerelowskiej codzienności. Jego „Towarzysz Szmaciak” to przecież nie tylko obraz nędzy umysłowej rządców komunistycznych, lecz także wizerunek skundlenia społeczeństwa owym rządowi poddanego. Zaś nośność i ekspresja tych obrazów, za sprawą warsztatowej sprawności, zdolności kojarzenia liryzmu z dosadnością i swobody z żelazną dyscypliną, stanowić mogą wzorzec, z którym mierzyć się trudno.

Jestem dziwnie pewien tego, że obecne nasze życie polityczne – ale i artystyczne też – właśnie w tego typu poezji odnalazłoby godne odbicie. Tyle, że takich autorów już nie ma, a jakby się pojawili, to by nie byli publikowani, zaś gdyby już publikowani byli, to by zapewne skutecznie ich przemilczano.

38.

Zwróciła moją uwagę książka Przemysława Czaplińskiego zatytułowana Polska do wymiany. Jednym z głównych wątków tu podnoszonych jest coś, co można by nazwać odkryciem Innego, które to odkrycie zmienia – czy może tylko: powinno zmienić – nasz stosunek do siebie samych. Pisał o tym zresztą nieco wcześniej Ryszard Kapuściński w tomie Ten Inny: „W każdym razie świat, w który wchodzimy, jest Planetą Wielkiej Szansy, ale nie szansy bezwarunkowej, lecz otwartej tylko dla traktujących swoje zadania serio, dających tym dowód, że siebie samych traktują serio. Jest to świat, który potencjalnie wiele daje, ale i wiele wymaga, w którym próba łatwego chodzenia na skrót jest często drogą donikąd. Będziemy w nim ciągle spotykać nowego Innego, który powoli zacznie wyłaniać się z chaosu i zamętu współczesności. (...) Kim będzie ten Inny? Jak będzie wyglądać nasze spotkanie”. To oczywiście jedno z kluczowych pytań naszego czasu. Nawiązując do niego pisze Czapliński: „Wyzwaniem dla braterstwa w późnej nowoczesności nie jest już tylko człowiek podobny do nas, człowiek należący do jednolitego ciała, lecz także ktoś wobec nas nierówny; wyzwaniem dla wolności nie jest już tylko ten, kogo wolności pozbawiono, lecz także ten, kto nie może z niej korzystać. Dlatego właśnie równość wydaje się punktem krytycznym wielkich narracji nowoczesnych, odmieniec zaś – najpełniejszym w polskiej kulturze wcieleniem prawdy o nierówności. Zarazem jednak, paradoksalnie, odmieniec, którego – pod postacią brudnej cielesności, nienaturalnej płci, zmieszanego pochodzenia i przynależności do historii – każdy z nas nosi w sobie, staje się sprzymierzeńcem w budowaniu innych więzi. Wiemy, co jest niemożliwe; nie wiemy, co jest możliwe. Czas wymienić narrację”.

Podobne rozpoznania stają się coraz częstsze i coraz wyraźniej odczuwana jest potrzeba przekroczenia granic dotychczasowego rozumienia świata, wyznaczenia nowych perspektyw. Mówi o tym Jacek Gutorow w rozmowie, jaką z nim na łamach „Odry” przeprowadziła Joanna Orska. Nawiązując do nowatorskiej myśli Stanisława Brzozowskiego stwierdza: „Brakuje mi obecnie kogoś takiego jak Brzozowski. Kogoś, kto byłby w stanie dokonać radykalnej, nietzscheańskiej z ducha genealogii współczesności. Nie krytyki w znaczeniu «krytykanctwa», lecz krytyki rozumianej po kantowsku, jako intelektualny rozbiór kategorii, za pomocą których postrzegamy i opisujemy literaturę. Myślę o projekcie właściwie niewygodnym dla wszystkich, skierowanym przeciwko nam jako poetom, nam jako krytykom i nam jako czytelnikom. Projekcie, który podważyłby nasze narracje – i czynił to w imieniu rzeczywistości. Byłby to projekt przede wszystkim emancypacyjny i transgresyjny, dokonujący nieustannej rewaluacji i dekonstrukcji narracji, dyskursów, strategii retorycznych rządzących naszym postrzeganiem literatury i świata. (...) Często powtarzam sobie zdanie jednego z esejów Bolesława Micińskiego: «Trzeba rozbić ten krajobraz». Poezja, a za nią krytyka, musi być oporem, musi wytwarzać opór, tak jak pszczoła wytwarza miód. Nie chodzi przy tym o kwestie estetyczne. Dobry wiersz powinien mną wstrząsnąć, a w każdym razie powinien odsłonić przede mną jakiś nowy wymiar mnie samego. Powinien dać mi coś, czego nie mam. Całe to gadanie o tradycji z jednej strony i przełomach z drugiej wytworzyło wirtualną rzeczywistość, która ma niewiele wspólnego ze źródłowym doświadczeniem tekstu poetyckiego. A tu potrzebna jest wytrwała, konsekwentna, detaliczna praca, wysiłek otwarcia, rozbicia istniejących struktur, emancypacja tego, co marginalizowane i tłumione. Brzozowski był tego świadom. I dlatego tak bardzo by nam się przydał. Swoją drogą nie dziwi mnie renesans jego myśli, choć niejakim rozczarowaniem są dla mnie próby reaktywacji Brzozowskiego. (...) Tutaj trzeba zaktywizować cały zasób dwudziestowiecznej myśli krytycznej, choćby tej spod znaku fenomenologii, szkoły frankfurckiej czy dekonstrukcji. Nie można sobie pozwalać na tanie, odruchowe gesty czy szybkie syntezy. Nie wiem, jak taka krytyka spod znaku Brzozowskiego miałaby dzisiaj bądź w przyszłości wyglądać, ale wierzę, że jest potrzebna. Być może wiązałaby się z imperatywem związania literatury z polityką? Może musiałaby zacząć od wskazania tych działań, które nazywam «polityką kulturalną», a które dokonują się na styku życia literackiego, układów środowiskowych, mediów i potężnych, choć często ukrytych dyskursów ideologicznych? (...) Uważam, że czy tego chcemy, czy nie, literatura jest nacechowana politycznie i ideologicznie”.

Gdy czytam tego rodzaju wypowiedzi, mam wrażenie – zresztą potwierdzone przez własne doświadczenie – że nie tyle mamy kłopot z mówieniem o sobie, ile że narasta w polskiej kulturze, oczywiście nie całej, ale w wielu jej kręgach, poczucie kryzysu własnego dyskursu tożsamościowego. Parafrazując Czaplińskiego powiedziałbym, że wiemy już, iż tak dalej jak dotąd o sobie mówić już nie możemy, może nawet też już nie potrafimy, ale nie bardzo z kolei wiemy, jak mówić powinniśmy. O trudnościach w ustawieniu głosu literatury interesująco mówi w zatytułowanym *Literatura musi być przeciwna swoim czasom* wywiadzie Piotr Śliwiński w „Odrze” komentując poszukiwania podjęte w prozatorskich książkach Cezarego Michalskiego, którego debiutancka powieść *Siła odpychania* przed paru laty wywołała żywą dyskusję: „Z pisarzy ogarniętych polityczną pasją publicystycznej pokusie starał się nie ulec Cezary Michalski. Wciągnął go esej, a – wzorem Stanisława Brzozowskiego, który jest chyba dla niego kimś ważnym – dążył do związania perspektywy zbiorowej, wręcz historycznej, z egzystencjalną... Płomienie Brzozowskiego to dla niego książka tak magnetyczna, że pytanie o historię i sprawiedliwość ściśle kojarzy się z obsesją czasu, doświadczenia, śmierci, z przekonaniem, że piszemy (krwią) swoje życie, będąc jednocześnie jego czytelnikami i krytykami. Mnie to, czego chce Michalski, wydaje się ciekawe, choć spełnienie jego zamiarów należy do przyszłości. Inaczej mówiąc: literatura musi być przeciw swoim czasom w nieco bardziej złożony sposób... A najbardziej złożonym sposobem jest bycie literaturą”.

Warto, myślę, w tym kontekście przypomnieć to, co o Brzozowskim pisał Józef Czapski, współtwórca paryskiej „Kultury”, wybitny malarz i eseista, jeden z tych intelektualistów, których dyskretny wpływ na życie umysłowe Polski trudno przecenić: „Odkrycie Brzozowskiego nastąpiło u mnie dopiero w 1919 roku w Krakowie, po inkubacji Rosji. Już na szkolnej ławie w Petersburgu literatura rosyjska, rzeczywistość rosyjska były moimi pierwszymi przeżyciami intelektualnymi, które mnie naznaczyły. W Brzozowskim odkrywałem od pierwszej chwili podobną temperaturę myśli. W pismach swoich pisze on wielokrotnie ile zawdzięcza Rosji; według niego społeczna myśl rosyjska była głębsza i nawet widzenie Zachodu pełniejsze i nowocześniejsze niż w Polsce. (Mickiewicz pisał to samo o Rosji Mikołajewskiej w swoich listach do Odyńca)”. I dalej: „Pamiętnik Brzozowskiego to książka, która zostanie w literaturze polskiej. (...) Błyskawicznymi rzutami naświetla całe dziedziny problemów i myśli, nie ma tam strony, która by nie zmuszała czytelnika do zastanowienia i do własnego rachunku sumienia. Pisze o literaturze, przeciwstawiając ją czystej polityce, literaturze uważanej za luksus, jako «jednej z najważniejszych dróg prowadzących

do wyzwolenia z brutalnie głupich i deprawujących zabobonów politycznych». Marzy o tym, że gdyby miał czas jeszcze, zmieniłby «charakter polskiej literatury na całe pokolenia» i byłby szczęśliwy”.

Za rok sto lat minie od tych marzeń i wciąż, jak dowodzą tego toczone obecnie dyskusje, ów wyznaczony przez Brzozowskiego horyzont polskiej literatury pozostaje nieprzekraczalny. Stąd, jak myślę, ów postulat mówiący, że „czas wymienić narracje”.

Leszek Szaruga

Piotr Szewc

## Z powodu i bez powodu (18)

Bez tytułu i daty (XIII)

Jerzy Andrzejewski. J.A., Ja, ja... Inicjałów mógłby mu pozazdrościć Gombrowicz.

Higienistka pojawiała się w klasie niezapowiedziana. Przechodziła wolno wzdłuż rzędów ławek, wyciągaliśmy ręce, a ona oglądała z obu stron dłonie. Rozgarniała włosy i sprawdzała, czy nie ma pośród nich żywych emisariuszek brudu. Cierpłem i kulilem się ze strachu: a nuż napotka je u mnie...

Jak na imię miał ojciec Eli Zarębskiej, Adolf czy Alfons? W którejś z młodszych klas wioził nas, jako kierowca, na kilkudniową wycieczkę. Potem, pamiętam, umarł. Mama Eli należała do tzw. trójki klasowej. Zarębscy mieszkali w piętrowej kamienicy tuż obok szkoły, po drugiej stronie Lwowskiej. Ela z inną prymuską, Jadzią Szewczyk, siedziała w pierwszej ławce. Były dla mnie wzorem dyscypliny i pilności. Znikły mi z oczu.

Pani Lucyna Segieda, polonistka, była moją wychowawczynią w szkole podstawowej, w klasach V–VIII, a więc w latach 1972–1976. Mieszkała w podzamojskim Majdanie, gdzie ją odwiedzałem. Do pracy jeździła autobusem 4 (w „dawnych” czasach, do autobusu 4 szło się z Czołek pieszo godzinę lub nawet dłużej). Gdy byłem w klasie maturalnej technikum, zimą 1980–1981, pożyczyła mi *Zarys teorii literatury* Michała Głowińskiego, Aleksandry Okopień-Sławińskiej i Janusza Sła-



wińskiego; z tego m.in. dzieła przygotowywałem się do egzaminu wstępnego na studia. Była pierwszą czytelniczką – życzliwą i krytyczną – maszynopisu mojej debiutanckiej powieści. Jej córka Beata jest kilka lat starsza od mojej siostry Małgosi. Pani Segieda nie żyje. O jej śmierci kilka lat temu powiedziała mi Mama.

Rankiem 30 listopada Krzysztof Lisowski sms-em pozdrowił mnie z podróży: „Jadę z Raciborza do Katowic przez miejscowość Nędza”. Jakże trafna egzystencjalnie nazwa, pomyślałem, i w takim duchu Krzysztofowi odpowiedziałem.

Na pytanie „co tak mnie zaglądasz?“, odpowiedziałem najlepiej, jak potrafiłem, uprzejmie i w moim pojęciu żartobliwie. W nagrodę dostałem kolejną perłę: „oj oj tak co ty powiesz już cię skleroza doskwiera?”.

Marta Cuber chciała mieć udział w moim życiu – we śnie. Udział w życiu intymnym i duchowym, udział we wszystkim. Porozumiewaliśmy się dawno temu, gdy jeszcze miałem dwadzieścia kilka lat, i obecnie. Wykonywała jakieś prace w państwowej placówce opiekuńczej, która mieściła się na terenie gospodarstwa Kawów w Czołkach. Placówka zajmowała się ludźmi wymagającymi opieki i produkcją rolną (sad, warzywa, kury).

Odwiedziła mnie dawna znajoma, widujemy się sporadycznie, raz na kilka lat. Wciąż ta sama i prawie taka sama. Bez reszty zaprzątnięta sobą. Mówi o natchnieniach, których doświadcza, i energii, która w naturalny sposób z niej emanuje. Gdy wykazuję taką czy inną niekonsekwencję praktyki jej życia z teoriami, które głosi, na chwilę gaśnie jak skarcona niegrzeczna dziewczynka. Na chwilę... Ten „entuzjazm” i „energia” są jak puste kalorie – żadnego z nich pożytku.

Piotr Szewc

## RECENZJE

Krystyna Dąbrowska

### Poeci metafizyczni

T.S. Eliot w słynnym szkicu Poeci metafizyczni pisał, że siedemnastowieczni twórcy okreśani tym mianem, byli nie tylko myślicielami w liryce, ale też czuli myśl tak bezpośrednio jak zapach róży: myśl stawiała się dla nich doświadczeniem, modyfikowała ich wrażliwość. Trudno o trafniejszą charakterystykę wierszy Johna Donne’a, George’a Herberta i jeszcze paru innych poetów tamtego czasu. W ich najlepszych utworach uczucie jest ujęte w ramy intelektualnej konstrukcji, lecz owa konstrukcja nie ma w sobie nic z wyspekulowanego schematu – odbieramy ją jako organiczny kształt emocji, przeżyć. To połączenie pasji i filozoficznego dystansu, spontaniczności i kunsztu, konkretności i abstrakcji sprawia, że wiersze pisane na przełomie renesansu i baroku właściwie nie zestarzały się; czytane dzisiaj, brzmią zadziwiająco świeżo.

Ogromna w tym zasługa przekładów Stanisława Barańczaka, którego Antologię angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia wznowiło Wydawnictwo a5. Książka zawiera liryki trzydziestu ośmiu autorów. Są wśród nich John Donne, George Herbert, Henry Vaughan, Robert Herrick i Andrew Marvell – każdy z tej piątki doczekał się także samodzielnego tomiku wierszy w tłumaczeniu Barańczaka. Dzięki antologii mamy możliwość porównania tych różnych osobowości twórczych, osadzenia ich w kontekście dokonania innych ówczesnych poetów – mniej lub bardziej wybitnych. Dodatkową zaletą zbioru jest świetny Wstęp, w którym Barańczak przybliżył tło epoki i wskazuje najważniejsze cechy prezentowanej poezji; z kolei sporządzone przez tłumacza biogramy autorów dają pojęcie o ich burzliwych losach, zaś przypisy zamieszczone na końcu książki pozwalają zrozumieć świat siedemnastowiecznych wyobrażeń, będących często budulcem poetyckiego konceptu, a nie zawsze dla nas czytelnych.

Barańczak we Wstępie pokazuje, że konflikty polityczne, religijne i światopoglądowe, których areną była Anglia pierwszej połowy XVII wieku, w połączeniu z odkryciami naukowymi czasów renesansu, zadecydowały o szczególnym charakterze powstających wtedy wierszy. Nie była to już liryka elżbietańska,

pełna harmonii i niewzruszonej wiary w porządek świata, ale poezja antynomii, niepokoju i zwątpienia, próbująca ogarnąć niesłychaną różnorodność rzeczywistości i znaleźć literacki ekwiwalent dla napięć rządzących ludzkim życiem. Właśnie ten dramatyzm, dzisiaj bardzo nam bliski, sprawił, że poetami metafizycznymi interesowali się tacy dwudziestowieczni twórcy jak T.S. Eliot czy Brodski (rosyjski noblista dał wyraz swojej fascynacji w Wielkiej elegii dla Johna Donne'a). Jednak poetyka sprzeczności stosowana przez Donne'a i jego następców przez długi czas nie była doceniana – najważniejszy krytyk angielskiego oświecenia, doktor Samuel Johnson, widział w niej słabość, nie atut siedemnastowiecznej liryki. To on po raz pierwszy użył określenia „poeci metafizyczni”, przy czym, zauważa Barańczak, „metafizyczność” była dla Johnsona „cechą dość podejrzaną” – oznaczała upodobanie do nadmiernych kontrastów i uduwnień, do konceptyzmu, w wyniku którego, jak pisał angielski krytyk w Żywotach poetów, „najbardziej niejednorodne idee zostają gwałtem ze sobą sprzężone”.

Czy rzeczywiście gwałtem? Zdaniem T.S. Eliota wrażliwość siedemnastowiecznych poetów pozwalała im wchłonąć każdy rodzaj doświadczenia i z przeciwstawnych elementów rzeczywistości uczynić nową jedność. Dopiero później nastąpiła według niego fatalna w skutkach dysocjacja wrażliwości (zapoczątkowana już zresztą przez Milтона). Ale jak ma się owa jedność budowana z przeciwstawnych elementów do dramatyzmu metafizycznej poezji? Barańczak w Posłowie do Wierszy wybranych Donne'a pisał: „Dokonany przez Donne'a przełom poetycki polegał właśnie na skojarzeniu ze sobą dwu wizji lirycznych: «jednolitej wrażliwości», dopuszczającej każdy obiekt i temat jako równoprawny przedmiot zainteresowania, z rozszczepioną, zdramatyzowaną, konfliktową wizją świata, znamienną już dla nowych, postrenesansowych czasów, dla epoki, która w kontynentalnej Europie ochrzczona została mianem baroku. Inaczej mówiąc, renesansowa hierarchia świata wyznacza granice i materiał wyobraźni; nie przeszkadza to jednak nowym, barokowym niepokojom i rozterkom wprawiać składników tego świata w dramatyczny ruch”.

Owe barokowe napięcia znajdują odzwierciedlenie w doborze artystycznych środków. Angielski wit – czyli dowcip, zamiłowanie do intelektualnej gry i błyskotliwych paradoksów wyraża się poprzez stosowanie poetyckiego konceptu, polegającego na zderzaniu przeciwieństw i odkrywaniu zaskakujących analogii. Tworzywem konceptu jest, jak ujął to Barańczak, „konkretna i wielostronna wyobraźnia”, odwołująca się zarówno do erudycji, jak i do potocznego doświadczenia. Na płaszczyźnie stylu w wierszach metafizycznych

obowiązuje zasada strong lines, czyli dążenie do kondensacji, próba zamknięcia antynomicznych treści w zwartym, przejrzystym kształcie. Można powiedzieć, że filozoficznej złożoności towarzyszy w siedemnastowiecznej liryce postulat jasnej, czytelnej formy. T.S. Eliot zwracał uwagę, że „język tych poetów jest z reguły prosty i czysty; w wierszach George'a Herberta prostota została posunięta do granic możliwości – prostota, którą bez powodzenia próbuje doścignąć wielu dzisiejszych poetów. Budowa zdań, z drugiej strony, jest często daleka od prostoty, ale to nie wada; to wierność myśli i uczuciu. (...) I podobnie jak owa wierność rodzi bogactwo myśli i uczuć, tak ono rodzi bogactwo muzyki”.

George Herbert i John Donne to dwa potężne filary Barańczakowej antologii – słusznie otrzymali w niej najwięcej miejsca. Poeci biegunowo odmienni: bo o ile dzieło Donne'a jest świadectwem zachłanności, nieposkromionego apetytu na życie, o tyle twórczość Herberta to konsekwentny zapis wyrzeczenia. U Donne'a, co typowe dla większości siedemnastowiecznych poetów, sfery sacrum i profanum współlistnieją nierozdzielnie, tematyka erotyczna spotyka się z symboliką religijną – wystarczy przywołać tytuły niektórych wierszy miłosnych, jak Kanonizacja czy Relikwia. W pierwszym z tych liryków para kochanków zostaje porównana do świętych, których wierni będą w przyszłości prosić o wstawiennictwo u Boga. W Relikwii ukochana bohaterka staje się Marią Magdaleną, a on – w domyśle – Chrystusem. Z kolei w Sonetach świętych, stricte religijnych wierszach Donne'a, uderza zmysłowość języka, jakim poeta zwraca się do Stwórcy. Barańczak zaznacza, że takie przemieszanie języków – miłosnego i religijnego – nie jest tylko efektywnym konceptem, ale naturalnym wyrazem chrześcijańskiej wyobraźni, którą rządzi zasada paradoksu. „Pisząc o Donne – czytamy we Wstępie – R. Ellrodt zauważa, że umysłowość chrześcijańska zakłada jednoczesną afirmację realności zarazem odrębnych i nierozzerwalnie złączonych. W tym sensie cała «poezja metafizyczna» jest istotnie reprezentatywna dla umysłowości chrześcijańskiej, niezależnie od tego, czy w danym wierszu poetę interesuje jedność i zarazem obcość pary kochanków, dualizm duszy i ciała, miejsce człowieka w świecie natury czy stosunek wyznawcy do Boga.”

Chociaż bardzo cenię późną, religijną poezję Donne'a, bliższe mi są jego wcześniejsze wiersze miłosne i dwa zawarte w antologii liryki pisane w formie listów z morskich wypraw: Burza morska oraz Cisza morska. To tu dochodzi do głosu nie tylko wielki temperament, nadający niespotykaną rozpiętość emocjonalną całej twórczości Donne'a, ale i jego bezcenne poczucie humoru. W Burzy morskiej wiatr, który umożliwił okrętom wypłynięcie z portu: „był tak uprzejmy tylko jak Anglicy,/Co przyjaciół podwożą, by ich w okolicy/odległej

pozostawić". W Walecie, żalu zabraniającej słynne porównanie kochanków do ramion cyrkla jest zarazem czułe i delikatnie żartobliwe. Warto przytoczyć fragment tego wiersza, aby docenić kunszt tłumacza:

Dwie dusze jedną są istotą,  
Więc w czas rozłąki się nie zmieniają;  
Jak wyklepane w drucik złoto,  
Nie przerwą się, lecz rozprzestrzeniają.

Są dwie, lecz dwie tak jak ramiona  
Cyrkla podwójne; twoja dusza,  
Jak igła unieruchomiona,  
Jednak wraz z moją się porusza.

I – chociaż w centrum pozostała –  
Gdy ramię w koło się obraca,  
W ślad za nim się wychyla cała,  
Prostuje się, gdy ramię wraca.

George Herbert stanowił wyjątek wśród poetów metafizycznych: tworzył wyłącznie wiersze religijne. Mogłoby się zdawać, że twórczość, która zupełnie rezygnuje z tematyki świeckiej, będzie zbyt mdła i abstrakcyjna – lecz liryka Herberta temu przeczy. Jego poszukiwanie Boga przebiega tak dramatycznie i znajduje tak czysty poetycki wyraz, że czyta się te wiersze w najwyższym napięciu. Bohater Herberta nie jest urodzonym mnichem; i on zasmakował uroków doczesnego życia: „Znam zagadki Nauki... Honoru... Rozkoszy” – mówi w Perle – „Lecz kocham Ciebie”. I wyznaje, przywołując zwyczaj częściowego zaszywania oczu sokołowi, żeby ptak niczym nie rozpraszany szybciej wracał na rękawicę sokolnika: „Więc nie zaszyte oczy mając, lecz otwarte,/Lecę ku Tobie, Panie i w pełni rozumiem,/Co mi sprzedawać raczysz, ile to jest warte”.

Świadoma asceza w żadnym razie nie gwarantuje u Herberta duchowej sielanki. W Utrapieniu (I) rezygnacja z dworskiej kariery, do której predestynował bohatera temperament, i wybór ścieżki wiary kończy się poczuciem skrajnego osamotnienia, opuszczenia przez Boga. Bardzo często padają w tych wierszach słowa buntu i żalu: „O jakże mogłeś obdarzyć językiem/Proch, aby wzywał Pana,/A potem go nie słyszeć!” (Odtrącenie), albo: „Chlebem codziennym jest dla mnie szukanie/Bezpożyteczne” (Poszukiwanie), czy też:

Szarpany, darty, rwany na kawały,  
Modlę się: dość już, Panie,  
Niech tortura ustanie,  
Nie czyni mnie śmieciem, to znów błyskiem chwały,  
Czymś, co bez końca rozciągasz pomiędzy

Światem twej łaski a światem mej nędzy.  
Utrapienie (VI)

Jednak są w tej trudnej wizji momenty jaśniejsze, kiedy poeta mówi:

Bo, jak dal Twoja przerasta przestrzenie  
Wszelkiej pustyni,  
Tak Twoja bliskość, ścisła nieskończenie,  
Z dwóch jedno czyni.  
Poszukiwanie

A wyłożona w krótkim liryku Herbertowska koncepcja poezji pozwala zrozumieć, że wyrzeczenie może być także sposobem doświadczania pełni, ponieważ wiersz:

Nie jest nowiną ni ozdoba,  
Giełdą, urzędem, targowiskiem:  
Wiersz to jest coś, czym mogę z Tobą  
Obcować – z Tobą, więc ze Wszystkimi.  
Sedno

Wreszcie ostatni z utworów Herberta prezentowanych w antologii, zatytułowany znamienne Miłość (III), przynosi ukojenie wraz z wizerunkiem Boga łagodnego i kochającego.

Barańczak zauważa we Wstępie, że w liryce Herberta „różnicowaniu napięcia emocjonalnego odpowiada dodatkowo ogromna wynalazczość wersyfikacyjna i prozodyczna” i że „u poety tego ze szczególną mocą wyraziło się przekonanie – wspólne zresztą wszystkim wybitniejszym «poetom metafizycznym» – iż poszukiwanie obecności Boga w świecie powinno wyrazić się nie tylko w sytuacji lirycznej, lecz i w całej strukturze wiersza”. Jak pisał Eliot: bogactwo uczuć i myśli przekłada się na bogactwo muzyki. Można jeszcze dodać, że dla Donne’a inspiracją była rzeczywistość w całej chaotycznej wielorakości, interesowały go wszelkie, czy to wzniosłe, czy trywialne aspekty życia, i nawet pchła, pijąca krew kochanków, mogła stać się poetyckim tematem. Natomiast Herbert od początku w swojej twórczości szedł drogą duchowej ascezy, a jednak jego wiersze budują równie skomplikowany, pełen kontrastów i namiętny obraz świata.

Jest jeszcze w antologii Barańczaka wiele innych skarbów. Intrygujące dwuwiersze Herricka, na przykład Definicja piękna:

Piękno jest tym promieniem – albo i piorunem –  
Co rozbłyska pomiędzy środkiem a biegunem.

Albo Pogródka dla pięknej niewdzięcznicy Thomasa Carewa – mówiąca o tym, że to poeta, opiewając wdzięki ukochanej, w istocie je stwarza. Czy Wizerunek mój, w Szkocji pozostawiony Bena Jonsona, w którym autor bez złudzeń analizuje przyczyny powściągliwości swojej wybranki:

I na nic nadzieja cała,  
Bo wiem, że ona widziała  
Zmarszczki i włos mój siwawy,  
I zdrowie, które wiek kruszy  
Od lat czterdziestu siedmiu; wiem, że oglądała  
Brzuch mój wielki jak góra, twarz szorstką jak skała

Warte uwagi są wiersze Andrew Marvella – przede wszystkim Dialog Duszy i Ciała; liryki Henry’ego Vaughana poświęcone zmarłym przyjaciołom, Odbicia w wodzie Thomasa Traherne’a, owładniętego mitem dzieciństwa.

Antologia zawiera niezwykle bogactwo. Nawet pomniejsi autorzy poruszają czasem jedną liniijką, pomysłem, obrazem, nie mówiąc już o wrażeniu, jakie wywierają wiersze najwybitniejszych siedemnastowiecznych twórców. Stanisław Barańczak przybliżył nam lirykę mądrą, odważną i pełną poznawczej pasji, a do tego dowcipną i zmysłową.

Krystyna Dąbrowska

Stanisław Barańczak, Antologia angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia, Wydawnictwo a5, Kraków 2009

## Leszek Szaruga

### W trybie oznajmującym

Jest rzeczą zrozumiałą, że pragniemy poznawać zakamarki duszy wielkich artystów – z pustej ciekawości, ale i także po to, by się „dowiedzieć”. Czego się dowiedzieć? Trudno na to pytanie dać odpowiedź sensowną. W rozmowie z Tadeuszem Różewiczem zamieszczonej po prezentacji korespondencji między nim a Jerzym Nowosielskim powiada poeta: „Są rzeczy, których nie będę nikomu opowiadał, w ogóle”. Na co słyszy: „Panu wolno pewne rzeczy przemilczać, ale ja pracuję nad biografią, a biografia nie powinna mieć tematów tabu”. I odpowiedź Różewicza: „To Pani tak uważa, ja nie muszę, to są właśnie różnice między tymi, co piszą biografie, i przyjaciółmi. (...) Nie wszystko jest

na sprzedaż. To były sprawy między nami. Guzik mnie obchodzą biografie, zresztą najlepsze są sfalszowane. Nieprawdziwe są zawsze ciekawsze”.

Dość często ostatnio powtarza się słowa Józefa Mackiewicza mówiące, że „tylko prawda jest ciekawa”. Ale wydaje mi się, że Różewicz ma sporo racji: prawda, owa słynna „cała prawda” o życiu człowieka, nawet wielkiego artysty, bywa nieciekawa, a nawet nudna. Tym bardziej, że w tej wymianie listów między poetą a malarzem najciekawsze jest to, o czym co prawda w nich mowa, ale czego w nich nie ma: ich długie – często całonocne – rozmowy, o których jedynie wspominają. Wiemy, że były, ale nie jest nam dane śledzenie ich przebiegu. Cóż za pole do domysłów! Jaka szansa dla biografisty, który wie, że oto tego a tego dnia, tu i tu, dwaj panowie się spotkali i omawiali sprawy wagi najwyższej. Treść tych rozmów jednak możemy sobie odtworzyć jedynie z ich dzieł. Fantastycznie, diabelsko interesująca perspektywa „badawcza”, a może nawet zaproszenie do pisania biografii fabularyzowanej.

Blok listów z lat 1963–2002 (szkoda, że nie są to teksty ponumerowane) zdominowany jest przez Różewicza – z interesującego wstępu Krystyny Czerni dowiadujemy się, że jest to zbiór „niesymetryczny”: „Liczy 335 kartek i listów, z czego tylko 45 pisanych ręką malarza”. Z lektury całości wynika jednak, że listów Nowosielskiego (i jego żony Zofii) z pewnością było więcej i pewnie w przyszłości niektóre z nich się odnajdą. Jedno uderza tu od razu: całkowity brak odniesień do sytuacji politycznej w kraju, nawet w okresie „festiwalu Solidarności” – Nowosielski zresztą wprost deklaruje w jednym z listów, że te sprawy zupełnie go nie obchodzą, ten artysta żyje w innym świecie i ta jego deklaracja w żadnym wypadku nie powinna być odczytywana jako wyraz zrozumiałej skądinąd w owych czasach „ostrożności”: wszak nasza korespondencja często odzierała była wówczas z należytą jej tajemnicą.

Z tego też względu należy poważnie odczytywać słowa Nowosielskiego, który w 1964 roku relacjonuje swe wrażenia z wystawy prezentującej (o czym się dowiadujemy z przypisu) m.in. dzieła Popowa, Abdurachmanowa, Kośmina, Handżina i Zarickiego: „Drugą ciekawą rzeczą jest wystawa młodszego (właśc. średniego) pokolenia sowieckich malarzy – parę b. interesujących obrazów – jeżeli chodzi o świat malarstwa to na pewno nie są to martwe czy też mało ważne pozycje. Nuda, która towarzyszy poznawaniu całej wielkiej produkcji artystycznej tzw. Zachodu, ustępuje miejsca jakiemuś zdziwieniu – pewnej refleksji może, że zgubiono u nas (tzn. znowu na tzw. Zachodzie) całkiem istotne s z a n s e rozwoju malarstwa. Stwierdzam to z dużą satysfakcją i pewną zazdrością,

bo zawsze bardzo mi leżała na sercu sprawa sztuki rosyjskiej. Nas gubi zbyt ukształtowana (fałszywa zresztą) samowiedza artystyczna, pewien aprioryzm estetyczny – w zbyt gotowej formie kształtują się w naszej wyobraźni ostateczne efekty naszych poczynań malarskich i to, myślę, jest powodem dziwnej jałowości potraw, które przyrządzamy. Trzeba by końskiego zdrowia i szalonej energii, żeby wypróbować inne możliwości, żeby dokonać skomplikowanego manewru wycofania się na inne pozycje wyjściowe – może nie samemu, może w większym środowisku, nie wiem, ale czuję, że już sił mi na to nie wystarczy, i to też jest powodem mego złego samopoczucia”. I reakcja Różewicza: „Twój list był bardzo interesujący – w tej części, w której mówisz o sztuce rosyjskiej (radzieckiej) i o sztuce Zachodu + nasza sztuka (która też jest sztuką Zachodu). Chciałbym z Tobą bardzo o tym porozmawiać (obszernie)”.

Problem nudy powraca w liście Różewicza z października 1968 roku: „Drogi Jerzy, kiedy siedzę w jesienne popołudnie w domu i próbuję napisać jeszcze jeden wiersz – bardzo dotkliwie, fizycznie odczuwam niezwykłą nonsensowność tej sytuacji i myślę o tym, jak dojść do n o w e g o wiersza – moje własne i cudze typy wiersza współczesnego nudzą mnie – a w robocie nie przynoszą nic interesującego. Przed dwoma czy trzema laty mówiliśmy, że można spróbować pisać wiersze «grafomańskie» (tak nazwaliśmy te wiersze umownie) od ręki... Ale jak to straszliwie trudno. Mam przed sobą wiersz, jego piątą czy dziesiątą już wersję, i ciągle poprawiam (z punktu widzenia rzemiosła poetyckiego, pewnych wartości umownych, estetycznych itp.), absolutnie nie mogę sobie pozwolić (wewnętrznie) na pozostawienie I wersji wiersza”. I do tego jeszcze jeden cytat, tym razem z listu Nowosielskiego, który, pisząc o „portretach okrętów”, zwraca uwagę na osobliwe umiejscowienie tego malarstwa „między prymitywem a «malarstwem naiwnym»”, a które stanowi dlań „jakby drugi, a właściwie trzeci, podskórny nurt (obok czystego prymitywu), pod powierzchnią oficjalnej sztuki XVIII i XIX, a nawet XX w.! W porównaniu z nim cała produkcja XIX-wieczna wydaje się pompierstwem, bzdurą i hochsztaplerką! Jest tam coś z mistycyzmu”.

Gdy czyta się te fragmenty wyłaniające się w tej korespondencji z nurtu zapisków o życiu codziennym – Różewicz informuje, że nie mógł znaleźć poszukiwanego przez żonę Nowosielskiego proszku E (przypomnę: był taki proszek do prania) – i sprawozdań z aktualnych prac (bez specjalnego ich opisywania, rzeczowo: namalowałem tyle a tyle obrazków, piszę wiersz itp.), wówczas pojawia się w tej wymianie listów prześwit otwierający wejście w przestrzeń tych istotnych rozmów, które obaj artyści z sobą prowadzili. I już w tych sygnałach widać, że obaj

odczuwają kryzys współczesnej sztuki, nadświadomej, niezdolnej do wyrażania tego, co Witkacy nazywa „przeżyciem metafizycznym”. Obaj rozmówcy mocują się z tym, co niedopowiedziane, niewyraźne, lecz dojmująco obecne: to „coś” tworzy dynamiczną, napiętą nić ich wzajemnego porozumienia. Nie zawsze jednak – komentując telewizyjną rozmowę Nowosielskiego z Wyką na temat Wesela Wajdy pisze Różewicz: „Dałeś się wciągnąć w ogólnonarodowe głędzenie (razem z Wyką), naciągania na kopyto równych pozornie aktualnych spraw «narodowych» itp., tymczasem jest trochę rzeczywiście aktualnych i współczesnych problemów, na które można natrafić w tramwaju, taksówce, autobusie, uczelni, ulicy, przychodni, szpitalu, szkole, dworcu kolejowym, kościele – gminie, gospodzie itp., itd. Nie lubię, kiedy problemy nieistniejące grają rolę problemów żywych – bo to jest blaga i głupstwo, a tego mamy w naszym życiu dosyć”.

A zatem raport z codzienności, w jaki układa się ta epistolarna opowieść – nie pozbawiona „akcji”: obserwujemy tu przecież bieg artystycznych dróg, choć raczej przez szyldy stacji niż przez dzieła (ale te przecież znamy z lektur i oglądu) – jest opowieścią o „problemach żywych”. Dopełniają ją szkic Różewicza Notatki dla Nowosielskiego i zarejestrowana w nagraniu rozmowa poety z malarzem. Ta rozmowa – „zrobiona”, jak powiada Różewicz, a zatem „sztuczna” przez sam fakt jej wyreżyserowania – podsumowuje spotkania obu artystów od roku 1946, by przywieść nas do tego momentu, w którym obaj zgadzają się co do tego, że wiedza o sztuce jest niewiedzą o sztuce, że sztuka jest czymś więcej niż wiedza o niej i że tego „więcej” nie da się wyrazić choćby dlatego, że, jak to zauważają, nie tylko samo dzieło, nie tylko sam utwór coś mówi, ale i jego usytuowania w czasie i przestrzeni: „Bo z obrazem jest tak: – powiada Nowosielski – jak u mnie obraz przez dłuższy czas wisi w tym samym miejscu, a potem go przeniosę do innego pokoju albo na inne miejsce na ścianie, to często się zdarza, że ja ten obraz po prostu na nowo zobaczę”. I, oczywiście, gdy czyta się takie wyznania, powstaje pytanie o tożsamość obrazu, tożsamość dzieła sztuki. Jest niepochwytne, gdyż, kontynuuje Nowosielski: „Trzeba wchodzić w środek obrazu. Bez rezonerstwa, bez zbędnej, intelektualnej, dyskursywnej ciekawości. Bo to wszystko są bariery. Ale to wszystko jest już bardzo bliskie mistyki. Tak, bardzo bliskie mistyki, dlatego, że jest coś, co w teologii chrześcijańskiej zostało nazwane teologią negatywną, apofatyczną: nie zadaje się pytań”. Może więc po prostu tak: pytania o sens sztuki, o jej tożsamość, są stawiane w trybie oznajmującym... Trudno jednoznacznie coś na ten temat powiedzieć. Różewicz uważa, odwołując się do myśli Wittgensteina, że dzieło odpowiada na to, co niewyraźne: „Pomyślałem (...) o starej, wytartej już

do reszty, zbanalizowanej prawdzie: o czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć. I mnie się wydaje, że malarstwo w swojej istocie jest rozwiązaniem tego problemu". Nie tylko malarstwo, bo przecież warto przypomnieć wariację na temat Wittgensteina, która wyszła spod pióra dawnego mistrza Różewicza – Juliana Przybosia, który swój wiersz Oświęcim zamknął dramatyczną pointą: „O tym nie można ani mówić, ani milczeć”.

Leszek Szaruga

Tadeusz Różewicz, Zofia i Jerzy Nowosielscy: Korespondencja, skompletowanie i opracowanie tekstu, wstęp, przypisy, wybór ilustracji, wywiad z Tadeuszem Różewiczem – Krystyna Czerni, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009

## Grzegorz Kalinowski

### W poszukiwaniu Witkacego

Janusz Degler karierę naukową rozpoczynał na Uniwersytecie Wrocławskim i od początku fascynował go Witkacy. Jego rozprawa doktorska zatytułowana była Inscenizacje sztuk S.I. Witkiewicza w teatrze międzywojennym. Kolejne publikacje Deglera poświęcone autorowi Nienasycenia to: Witkacy w teatrze międzywojennym (1973), Spotkanie z Witkacym (1978), wydał także jego pisma krytyczne i publicystyczne Bez kompromisu (1976) i teksty o teatrze Czysta Forma w teatrze (1977). Od 1990 roku jest Przewodniczącym Komitetu Redakcyjnego Dzieł zebranych S.I. Witkiewicza wydawanych przez PIW. Wierny pozostaje twierdzeniu Konstantego Puzyny, że „aby móc dobrze Witkacego interpretować, trzeba go najprzód porządnie wydać”.

Rzetelnej i wnikliwej książce autora Witkacego portret wielokrotny. Szkice i materiały do biografii (1918–1939) patronuje motto z Sonaty Belzebuba:

Ale co nas obchodzą przeżycia ludzi zwykłych?  
U artystów zamieniają się one na coś innego,  
przenoszą się w inny wymiar i dlatego każdy  
szczegół z życia artysty ma taką szaloną wartość,  
dlatego to aż do śmieszności zajmują się  
szczegółami tymi biografowie.

Janusz Degler zajmuje się w swej monografii, istotnie „szczegółami z życia artysty”, ale nie „do śmieszności”, najbardziej fascynującym okresem w życiu Witkacego – latami 1918–1939 – i zarazem najbardziej twórczym, w którym

pisze on czterdzieści dramatów, dwie powieści, trzy książki teoretyczne, uczestniczy w kilkunastu wystawach Firmy Portetowej i w końcu nadaje ostateczny kształt swojemu traktatowi filozoficznemu Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie Istnienia (wydanemu w 1935 roku). W tych opisanych epizodach z życia Witkacego nieustannie zaznaczona będzie opozycja między biografią tzw. „zwykłych ludzi” a tzw. artystów. Przeżycia „zwykłych ludzi” są bez znaczenia, a szczegół z biografii artysty to droga ku „innym wymiarom” rzeczywistości. „Tu bowiem nie ma prawdziwego życia”, a „ja to ktoś inny”. Jakby być tu bez tożsamości w kukłowym świecie, sam będąc kukłą, w którym rozpadowi ulega Miłoszowa „druga przestrzeń”, a Istnieniu odjęta zostaje Tajemnica, ludzie zaś żyją w błogostanie, wolni od wszelkich tęsknot metafizycznych.

Witkacego portret wielokrotny ma wyrazisty układ. Po krótkim wstępie autora, w którym przywołuje on tajemniczą fotografię Witkacego w oficerskim mundurze Lejb – gwardii Pawłowskiego Pułku (odnanioną pod koniec lat siedemdziesiątych), wykonaną w kabinie z lustrami, a prezentującą różne jego oblicza, skrywającej to, o którym można by mniemać, że jest prawdziwe, ale pozostaje zasłonięte, bo model usytuowany jest tyłem do obiektywu, następuje Kronika życia i twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza (lipiec 1918–wrzesień 1939). Ta fotografia, niewątpliwa inspiracja wyznacza kompozycję dyskursu autora Portretu... wzbogaconego po raz pierwszy publikowanymi niektórymi listami i fotografiami. Która twarz Witkacego jest prawdziwa? Czy ona w ogóle istnieje? Pojawiło się wiele interpretacji tej fotografii, jako „zwielokrotnionej i wielorakiej obecności” Witkacego – „dramaturga i powieściopisarza, malarza i rysownika, teoretyka sztuki i filozofa, krytyka i publicysty, fotografa i poety (...)”. I pomimo wielu znakomitych studiów i książek o autorze 622 upadków Bunga trudno mówić o wszechstronnym i pełnym rozpoznaniu autora. Kolejny fragment nazywa się: Po drugiej stronie lustro, w którym przedstawione zostały epizody z życia Witkacego, m.in. omawia autor Portretu... związki Witkacego z grupą formistów. Twórca Czystej Formy jawi się tu jako przenikliwy filozof sztuki, którego sądy przeciwstawić można uproszczeniom i komunałom powtarzanym także we współczesnej refleksji o malarstwie. Pisał Witkacy: „Celem malarstwa nie jest i nigdy nie było odtworzenie, a nawet indywidualna interpretacja widzialnego świata, jak sądzi większa część publiczności, a nawet «znawców sztuki», tylko stworzenie konstrukcji form na płaszczyźnie, stanowiących nierozdzielną całość w ramach tę płaszczyznę ograniczających, czyli kompozycja”. W kolejnej części

Portretu... znalazła się „historia powstania i recepcji” najgłośniejszej powieści Witkacego pt. *Nienasyconie*. Ten fragment jest także pretekstem do prezentacji refleksji Witkacego o powieści (rozprawa, w której Witkacy odpowiada krytykom: *Dlaczego powieść nie jest dziełem Sztuki Czystej*). Dalej opowiada o tym, jak Witkacy zawarł małżeństwo z Jadwigą z Umrów, o perypetiach i komplikacjach tego związku – „psychomachii małżeńskiej”, historie przyjaźni z niemieckim filozofem Hansem Corneliusem i narzeczoną Brunona Schulza, Deborą Vogel. Są także fragmenty o niedoszłym pojedynku z Kornelem Stryeńskim, o zarzuconej powieści *Obłąd*, nieudanej karierze (wystawianie sztuk w Paryżu) we Francji, o fiasku marzeń o karierze filmowej i Witkacym jako „protoplaście współczesnego kina” mieszającym różne gatunki sztuki filmowej; o współautorach *Narkotyków*, o pobycie pod Grodnem w domu Nadziei O'Brien de Lacy z Druckich w czerwcu 1939, historia związku z Czesławą Oknińską, której „relacja z ostatnich 13 dni Witkacego” kończy *Kronikę życia i twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza* (lipiec 1918–wrzesień 1939). Ostatnia, trzecia część – *Listopisanie* zawiera listy Witkacego do przedstawicieli ówczesnej elity artystycznej i intelektualnej m.in.: Kazimierza Ajdukiewicza, Tadeusza Kotarbińskiego, Romana Ingardena, Bronisława Malinowskiego, Władysława Tatarkiewicza, Kazimierza Twardowskiego, Hansa Corneliusa a także Jarosława Iwaszkiewicza, Michała Choromańskiego, Jalu Kurka, Karola Ludwika Konińskiego, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Brunona Schulza, Stefana Żeromskiego i wielu innych znanych adresatów. Ważne miejsce w tym *Listopisanie* zajmują listy do żony, Jadwigi. Odślaniał w nich siebie, „potrafił być szczery aż do granic ekshibicjonizmu”. Szansę ujżenia Witkacego „bez maski, bez grymasów i póź stwarza korespondencja z żoną, przed którą nie miał tajemnic (...)”. „Błędem – pisze Janusz Degler – byłoby sądzić, że listy ukazują tylko błazeńską twarz Witkacego – twarz kpiarza, żartownisia, mistyfikatora, lubującego się tylko w autokreacjach. Wyłania się z nich również inna twarz – mało znana lub w ogóle nieznana. Twarz człowieka nieszczęśliwego i cierpiącego, zmęczonego trapiącymi go dolegliwościami, dramatycznie przeżywającego ubytek sił i zdrowia, borykającego się z przyziemnymi kłopotami życiowymi, zdręczającego siebie różnymi wątpliwościami i poczuciem winy wobec bliskich mu osób. Jest to twarz (...) człowieka, który dotkliwie odczuwał swoją samotność.” W *Apendixie* znalazły się dokumenty dotyczące pobytu Witkacego w Rosji, kiedy to, jak uważają krytycy i badacze jego twórczości, uformowany został jako człowiek i artysta (m.in. listy, dokumenty o przebiegu służby, *Dziennik działań wo-*

jennych od 1 do 22 lipca 1916, Świadectwo komisji lekarskiej z 20 lipca 1916, Karta kwalifikacyjna dla Komisji Weryfikacyjnej własnoręcznie wypełniona przez porucznika S.I. Witkiewicza). Andrzej Mencwel wyraził to: „Witkacy rodzi się Witkacym w Rosji czasów rewolucji – wszystko dalsze jest tylko kontynuacją”, tutaj „ujrzy przypadkiem twarz XX wieku” i tutaj „Obit Bungo, natus est Witkacy”.

Stanisław Ignacy Witkiewicz (Witkacy) to jeden z najbardziej niezwykłych, oryginalnych i zarazem nieodgadzionych twórców międzywojnia. Obraz świata „odczarowanego”, czyli „świata, gdzie Tajemnica zaszła już poza widnokrąg codzienności” (Jan Błoński), zapisany przez Witkacego w literaturze, filozofii, esejach i listach, utrwalony został także w jego malarstwie i fotografiach. Przetworzony i zdeformowany, jakby poprzez deformację i hiper-przekształenia rzeczywistości miał wejrzeć w czarną otchłań bytu, doznając Tajemnicy i nie mieć nic wspólnego z „jałowym zamętem zwyczajnego życia”. I najprawdziwsze jest najpewniej to, że istotnie weń wejrział, a skutkiem tego wejżenia było przerażenie i trwoga, które później przebierały się w wyszukane stroje, formy nieprawdziwe, rodząc kłamstwo, „wszelkie pomięszanie”. To samo dotyczyło jego języka, fabuł, plam barwnych, fotografowanych elementów rzeczywistości w nienaturalnych konfiguracjach, mętnych wywodów filozoficznych, w których była jakaś niepojęta logika. Kim był, to pytanie zarazem o to, kim nie był. Jaka jest tajemnica Witkacego? Te pytania pozostaną, bo nie ma na nie jednoznacznej odpowiedzi. Impuls samozniszczenia, obsesja samobójstwa i jednocześnie kult życia niczym nieograniczonego, wolego od wszelkich konwenansów. Jest więc fenomen życia i twórczości. Dysharmonie, deformacje i sprzeczności. Umysł genialny i wszechstronny, twórca totalny, iście renesansowy. Jego życie przenika sztukę, sztuka zaś życie, a wszystko połączone w tajemniczym splocie, w którym artysta trwa w trudnej do zdefiniowania, sztucznej i nie-prawdziwej rzeczywistości, której istotą jest kłamstwo, a ów artysta rozpaczliwie ucieka przed nudą egzystencji. Pewnie ucieka też przed sobą samym, przed swoją pustką i samotnością, świadomością duchowego kalectwa, ubóstwa i nadmiaru zarazem, które w nim głęboko tkwią, pozostając w sobie zapatrzoną i wsłuchaną. Być może to właśnie lęk przed schopenhauerowską nudą, tylko przez artystę odczuwaną, staje się impulsem do ciągłego pościgu za czymś, co nieustannie umyka. Za śmiercią, samo-unicestwieniem, by tym bardziej być? W tym świecie kreacja i reżyseria stanowią podstawy bycia. Są ontologicznymi fundamentami tej przedziwnej czasoprzestrzeni.

Witkacy jest tu jednocześnie reżyserem i aktorem spektaklu, w którym gra główną rolę, a jego aktorzy stwarzani i sterowani są przez niego. On jest nimi wszystkimi i jednocześnie nie jest żadnym z nich. Życie jest snem i nie jest snem równocześnie. Badacze i komentatorzy twórczości autora *Pożegnania jesieni* zмагаć się muszą z ciągle odkrywanymi tropami, odsłaniającymi się bez końca i oświetlającymi jego twórczość, bo to nie tylko literatura, ale przecież i także filozofia, epistolografia, malarstwo, fotografia, czy wreszcie życie samo. Może Sztuka pisana przez wielkie S. A więc coś, co nieustannie życiu zaprzecza. Sztuka jest sztuczna do szpiku kości, to byt skłamany. We wszelkich postaciach. Ale jednocześnie jest jedynym obszarem, gdzie możliwa jest ucieczka przed codziennością, jałowością istnienia, jest wreszcie światem „zaczarowanym”. Teatr i wszelka sztuka rodzi się z religijnych obrzędów. Jej związek z sacrum i z metafizyką w koncepcjach Witkacego jawi się jako fundametalny. Manieryczny, jak się często wydaje, język dramatów i powieści Witkacego usiłuje dotrzeć, czy też dokopać się poprzez mroki do Tajemnicy Istnienia, do ukrytej sfery rzeczywistości, do jej nieodganionego sensu, którego fundamentem jest doznanie „jedności w mnogości” – podstawowa zasada estetyczna jego sztuki i „dziwności istnienia” – fundamentalne egzystencjalne doznanie, które poprzedza wszystko.

Wielki wpływ na twórczość autora *Nienasycenia* miała kontuzja, jakiej doznał w bitwie pod Stochodem w 1916 roku. Mówi o tym autor *Portretu...*, w poszukiwaniu Witkacego, przywołując opinię Romana Ingardena o „sytuacji krańcowej”, jakiej doświadczył wówczas Witkacy, a o której tak naprawdę niewiele wiadomo. Zachowały się jedynie świadectwa lekarskie stwierdzające silne migreny i stany depresyjne, a wspomniany Roman Ingarden pisał o tym doświadczeniu bitewnym jako o „pełnym przerażeniu olśnienia dziwnością i obcością bytu, które mu już potem nigdy spokoju odzyskać nie pozwoliło”. A przecież z drugiej strony wiadomo, że Witkacy także i wcześniej spokoju nie zaznawał. Ten egzystencjalny niepokój zrodzony na podatnym gruncie nerwowej i drapieżnej, w ciągłej gotowości do – ..., osobowości, utrzymującej go w nieustannym napięciu, podsycany niszczącymi środkami chemicznymi, halucynogennymi czy alkoholem, spotęgowny różnymi doznaniem, przybierał niekiedy monsturalny wymiar. Ciągła gonitwa i poszukiwania prowadziły z jednej strony do powstawania szokujących, hermetycznych i niezrozumiałych utworów literackich, oryginalnej filozofii (choć nie w pełni samodzielnej), wówczas, ale chyba i także dziś, i twórczych eksperymentów, którym różne etykiety przyklejano. Ważne są także, pomimo wrażenia

o tkwieniu w artystowskiej rzeczywistości, zapisy, które znalazły się w listach z 1937 roku do profesora Corneliusa: „Przeczuwam, że zbliża się katastrofa światowa”, do Konińskiego: „Na lato 1938 przepowiadam *Weltkatastrophe*”, czy z listu do żony: „Tak jakoś mam złe przeczucia – czuję wiszące nad sobą, a może ponad całym światem, złe wypadki”.

Jaki jest więc prawdziwy portret Witkacego? Czy książka Janusza Deglera odpowiada na to pytanie? Na pewno w dużym stopniu ów portret przybliży. Przeczy uproszczeniom zawartym w utrwalonej w świadomości czytelników „negatywnej legendzie”, prezentującej go jako „dziwaka i ekscentryka, alkoholika i narkomana, kabotyna i erotomana”. Jest solidnym kompendium wiedzy o najważniejszym okresie w życiu autora *Pożegnania jesieni*, zawiera pierwsze w dziejach witkacologii tak szczegółowe i dogłębne kalendarium życia i twórczości Witkacego lat 1918–1939, a także po raz pierwszy publikowane fotografie.

Grzegorz Kalinowski

Janusz Degler, *Witkacego portret wielokrotny. Szkice i materiały do biografii (1918–1939)*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2009



## Noty o książkach

\*

Kolejne bibliofilskie wydanie wierszy Julii Hartwig, pieczołowicie złożone i wydrukowane (skład ręczny, druk na maszynie typograficznej), to prawdziwe rękodzieło, poetycki znak. Okazją do wydania było przyznanie poetce tytułu Honorowego Obywatela Miasta Lublin oraz wręczenia nagrody „Kamień” lubelskich spotkań poetyckich – Miasto Poezji.

Tomik zawiera czternaście wierszy m.in. z tomików: Pożegnania (1956), Czuwanie (1978), Chwila postępu (1980), I (1999), Nie ma odpowiedzi (2001), Bez pożegnania (2004), ułożonych w liryczno-biograficzny ciąg. Jest w tych wierszach opisany Lublin, są przywołani rodzice, siostry, bracia, Czechowicz i dawne koleżanki. Czyta się jednym tchem, bez odrywania, jakby wędrowało się po zaczarowanej krainie lub szło się przed siebie po kręgach barwnej mozaiki spójnej i zwartej, chociaż z różnorodnych kawałków i odłamków złożonej. Na przecięciu życia i literatury, na tej trudno uchwytnej, choć przecież ostrej i wyrazistej, bardzo konkretnej, chociaż niewidzialnej linii, która oddziela jedno od drugiego, na samej granicy.

K.M.

Julia Hartwig, Powroty, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN” z udziałem Wojewódzkiego Ośrodka Kultury, Lublin 2009

\*

Traktat Chagiga to mały fragment wielkiego dzieła rabinów – Talmudu, który powstał na kanwie procesu rabinizacji judaizmu, tj. przemian, które rozpoczęły się w drugiej połowie I wieku n.e., zwłaszcza po zburzeniu przez Rzymian Jerozolimy i wraz z nią świątyni jerozolimskiej. Skupienie uwagi na Torze w sytuacji, gdy przestało istnieć państwo i naród izraelski, oznaczało wyłonienie się nowego typu religii Żydów. Religia ta nie zrywała więzów z dawną religią Izraela, ale radykalnie ją przeorganizowała, koncentrując się na Prawie. Życ obyczajnie i pobożnie znaczyło dla Żyda przestrzegać Prawa. Także podstawy przyszłej nadziei zasadzały się na posłuszeństwie Prawu. Dlatego Tora, jako centralny tekst dany wspólnocie, musiała stać się bliska każdemu Izraelicie i przez niego osobiście odczytywana i rozumiana. A Jerozolima, miasto świątyni, stała się osią świata, co zostało utrwalone w Midraszu Tanchuma: „Jak pępek znajduje się w centrum człowieka. Tak Erec Israel jest pępkiem świata, i leży w

centrum świata, Jerozolima w centrum Erec Israel, a świątynia w centrum Jerozolimy, a święte świątyni w centrum świątyni, a arka w centrum świętego świątyni, a kamień węgielny przed świętym świątyni, ponieważ od niego świat został założony”.

Terminu Talmud używa się w ścisłym znaczeniu jako nazwy własnej na oznaczenie dwóch dopełniających Misznę komentarzy rabinów-amoraitów. Powstały one niezależnie od siebie w Palestynie w III–IV wieku i w Babilonii w III–V/VI wieku, stąd nazwy: Talmud palestyński zwany niekiedy jerozolimskim i Talmud babiloński, który cieszył się większym autorytetem i poważaniem. W szerszym znaczeniu Talmud oznacza Misznę i Gemarę jako jedno dzieło. Miszna, będąca dziełem rabinów-tannaitów, stanowi zbiór praw i zwyczajów społeczności żydowskiej zawartych w wypowiedziach ponad stu nauczycieli i stanowi rdzeń talmudycznej tradycji. Miszna dzieli się na sześć części czyli porządków. Rozbudowanym komentarzem do Miszny jest Gemara. Podstawą Talmudu jest legalizm, przekonanie o istnieniu Prawa obowiązującego cały Izrael jako wspólnotę religijną. Odpowiedź na pytanie, czym jest judaizm, związana jest właśnie z interpretacją Talmudu, który, podobnie jak Pismo święte, jest środkiem przekazu świętych tradycji następnym pokoleniom.

Głównym przedmiotem traktatu Chagiga (Ofiara świąteczna) są szczegóły składania ofiar w trzy „święta pielgrzymkowe”, najważniejsze wydarzenia w żydowskim kalendarzu: Święto Namiotów, Święto Przaśników i Święto Tygodni. Kolejne rozdziały omawiają m.in. szczegółowo nakazy i zakazy dotyczące trzech rodzajów składanych w te święta ofiar, co jest o tyle dziwne, że nie miało to praktycznego znaczenia i nie oddziaływało bezpośrednio na życie codzienne społeczności żydowskiej, gdyż świątynia jerozolimska leżała w gruzach, pielgrzymek nie odprawiano i ofiar nie składano (inne traktaty zajmują się prawie wyłącznie rzeczami, które miały praktyczne znaczenie).

Najciekawszą częścią Chagigi jest pierwsza miszna drugiego rozdziału, która zawiera obszerną panoramę wątków ezoterycznych i mistycznych i to właśnie ona stanowi o szerokim zainteresowaniu tym traktatem.

M.W.

Talmud babiloński. Traktat Chagiga, tłumaczenie i komentarz Gwido Zlatkes, wprowadzenie do Talmudu Krzysztof Pilarczyk, Wydawnictwo WAM, Kraków 2009

\*

Nowy, bardziej popularny i przystępny cykl PARDES, prezentujący szerzej judaizm i kulturę żydowską, rozpoczyna książka o Dziesięciu Przykazaniach,

które stanowią i będą stanowić po jej kres podstawy i źródło europejskiej etyki. Dziesięć Przykazań to w dosłownym przekładzie z hebrajskiego Dziesięć Słów i jest to dla naszego kręgu cywilizacyjnego najważniejszy tekst świata: to sama esencja prawa, do przestrzegania którego Bóg zobowiązuje człowieka. Są to prawa uniwersalne i bez ich przestrzegania życie na ziemi zamieniłoby się w niemożliwy koszmar. Zresztą łączą się one ze stworzeniem świata: w analizach gematrycznych podane jest, że pierwszy werset Tory, który mówi o stworzeniu nieba i ziemi, zawiera siedem słów, złożonych z dwudziestu ośmiu liter. Zdanie, które jest wprowadzeniem do Dziesięciorga Przykazań: „Bóg powiedział wszystkie te słowa”, również składa się w hebrajskim oryginale z siedmiu słów i dwudziestu ośmiu liter. Dwadzieścia osiem to gematryczna wartość wyrazu koach („siła”). Widzimy więc głęboką relację pomiędzy Stworzeniem i Objawieniem, którą uwydatniają dwa aspekty mowy Boga. Mowa, którą Bóg tworzył świat, a której przecież nikt nie słyszał (mowa żyjąca i życiodajna), koresponduje ze słowami, które Bóg dał ludziom, by usłyszeli je, zrozumieli i przyjęli. Etyka i Dekalog zakotwiczone są w Stworzeniu: istota przykazań polega na obronie istnienia, na związku z Bogiem, który to istnienie utrzymuje.

Na Górze Synaj rozlega się głos szofaru i Bóg mówi do Mojżesza (Moszego) i do całego ludu. Lud słyszy tylko dwa pierwsze przykazania i nie tyle są to słyszalne słowa, co usłyszane dźwięki. Ta wypowiedź Boga jest według Talmudu czymś, „czego wypowiedzenie przekracza zdolność ludzkiej mowy, a usłyszenie przekracza zdolność ludzkiego ucha”. Te słowa Bóg wypowiedział, jak wspomina to Mojżesz, „na górze, z ognia i z gęstości obłoku”. Jest to stanowcza i konkretna mowa, która zostaje spisana na kamiennych tablicach – dwóch Tablicach Przymierza, które były najświętszą pamiątką Jisraela, przechowywane w Skrzyni Świadectwa (midrasz podaje, że zarówno te całe, jak i ułamki pierwszych, rozbitych przez Moszego) i które zniknęły, jak zniknęła Skrzynia i jak (w późniejszym czasie) przestała istnieć Świątynia.

Jak mówi francuski filozof Maurice Blanchot: „Tym, co zawdzięczamy żydowskiemu monoteizmowi, nie jest objawienie jedyne Boga, lecz objawienie słowa jako miejsca, w którym ludzie utrzymują stosunek z tym, kto wyklucza wszelkie stosunki: z nieskończeniem Odległym i absolutnie Obcym. Bóg przemawia i człowiek mówi do niego. Oto wielkie odkrycie Izraela (...) jeśli bowiem rzeczywiście istnieje nieskończony rozdział, słowu przypada uczynić zeń miejsce porozumienia, a jeśli istnieje niemożliwa do przebycia przepaść [między człowiekiem i Bogiem], słowo tę przepaść przekracza.

Dystans nie zostaje zniesiony, nie ulega nawet zmniejszeniu, przeciwnie, pozostaje zachowany i czysty dzięki dyscyplinie słowa, które podtrzymuje absolut różnicy”.

Tablice to jakby esencja Tory. Przykazania od pierwszego do piątego są aluzją do pięciu ksiąg Tory Pisanej, a od szóstego do dziewiątego są aluzją do Tory Ustnej. Widać, że oświadczenia Boga uporządkowane są w jasny sposób. Przechodzi się tu od spraw Boskich do ludzkich, a prawa w każdej grupie wypisane są według hierarchii ważności. Pierwsza tablica zawiera przykazania mówiące o relacji pomiędzy Bogiem a człowiekiem, a druga o relacji pomiędzy człowiekiem a jego bliźnim. Pięć przykazań odnosi się do chwały Stwórcy, a pięć jest dla dobra człowieka. Dziesięć Przykazań i Tora jako całość stanowią doskonałą i nierozzerwalną jedność. Rabini uczą, że nie można odrzucić jednego słowa Tory, nie odrzucając tym samym jej całej; ten, kto zaprzecza Boskiemu pochodzeniu choćby jednego słowa z Tory, wypowiada herezję.

W dalszej części mamy cały tekst Dziesięciu Przykazań – po polsku i po hebrajsku w dwóch nieco różniących się wersjach (z Szemot i z Dewarim), obszernie komentarze do każdego z tych Przykazań i na końcu słowniczek najważniejszych terminów użytych w tej książce.

K.M.

Dziesięć Przykazań, opracowanie na podstawie źródłowych tekstów tradycji żydowskiej i redakcja: Lidia Koško i rabin Sacha Pecaric, Stowarzyszenie PARDES, Kraków 2009

\*

Celem tej książki jest, by judaizm stał się „bez tajemnic”, oczywiście na tyle, na ile jest to w ogóle możliwe, a już tym bardziej w ramach jednej, choćby i bardzo obszernej publikacji. „Nie do ciebie należy ukończenie pracy, ale nie wolno ci jej porzucić”, poucza rabi Tarfon.

Są tu pytania ogólne i osobiste. Jest to książka oparta na dialogu, co ważne, bo sam judaizm ma naturę dialogiczną, nie dogmatyczną. Koronnym przykładem dzieła dialogicznego jest na pewno Talmud.

Pytania i odpowiedzi zgrupowane są w siedemnastu działach, m.in. dotyczących zagadnień etycznych (problemy dobra, zła, sprawiedliwości i natury człowieka, problemy przykazań, zasad i wartości), zagadnień związanych ze śmiercią, poglądów judaizmu na zagadnienia eschatologiczne, o modlitwie, o synagodze czy o symbolach żydowskich. Jest tu wiele ciekawych pytań i wiele ciekawych odpowiedzi.

Na przykład – jaki jest stosunek judaizmu do ateizmu? I prosta odpowiedź: Stosunek judaizmu do ateizmu scharakteryzować mogą pewnie najlepiej takie określenia jak zdziwienie, zaskoczenie, niedowierzanie wobec manifestowanej przez ateizm irracjonalności. Wiarę w nieistnienie Boga utożsamia się z brakiem rozsądku, ze stanowiskiem irracjonalnym, z głupotą, z brakiem rozumu i brakiem elementarnej logiki. Ateizm odrzucając Boga niczego nie ustanawia, a ateści zastępują Boga bogami z własnego wyboru, co jest bezsensownym i groźnym, bardzo niebezpiecznym postępowaniem, o czym nie raz przekonujemy się z historii. Rabin Israel Salanter zwykł mówić: „Istnieje jedenaste przykazanie: «Nie bądź głupcem»”.

Czy dobro nie jest po prostu brakiem zła? Nie, nie tak widzi to judaizm. Pomiedzy złem a dobrem jest jeszcze wielki obszar, na którym mieści się przeważająca liczba ludzkich działań. Jest nim obojętność.

Judaizm nie zezwala na kremację zwłok, uważa, że ponieważ człowiek został stworzony z „prochu ziemi”, powinien do ziemi powrócić. Dodatkowym argumentem przeciw kremacji zwłok jest wiara w zmartwychwstanie: według odwiecznej tradycji, pomiędzy kręgosłupem a czaszką, lub w czaszce pod mózgiem, znajduje się fragment kostny zwany luz lub neskwii. Powrót do fizycznej postaci człowieka w momencie zmartwychwstania rozpocznie się właśnie od niego. Sens tego przeświadczenia polega na tym, że ten tajemniczy fragment ludzkiego ciała symbolizuje miejsce, w którym spotykają się fizyczność z duchowością. Symbolizuje również Zachodnią Ścianę Świątyni (Hakotel Hamaarawi). Jeżeli nie zostanie zniszczona – z niej powstanie Trzecia Świątynia, tak jak z luz odbuduje się ciało człowieka.

Gdzie można znaleźć w Biblii Hebrajskiej odwołanie do losu duszy ludzkiej po śmierci? W Księdze Koheleta (12, 7), na kanwie dwóch wersetów z Księgi Rodzaju (2, 7 oraz 3, 19). Charakterystyczne jest tu przypisanie człowiekowi (według Targum Onkelos) zdolności posługiwania się mową, w połączeniu z faktem „tchnięcia w jego nozdrza duszy”. Mowa jest nie tylko najważniejszą cechą odróżniającą ludzi od zwierząt, ale język jest także narzędziem twórczego poznania, a jednocześnie kreowania duchowego świata człowieka, który jest ludzkim pomostem do Boga. Bez języka nie istnieje duchowość; język nie istnieje bez duszy. Gdy człowiek umiera, jego ciało wraca do ziemi, ale – według judaizmu – jego dusza wraca do Stwórcy. Judaizm nie wierzy w wieczne potępienie i piekło. Dusza ulega jedynie procesowi oczyszczenia z duchowych skażeń, nim powróci do Boga.

Pytania o „złe duchy”, „duchy nieczyste”, „demony”. Jak odnosi się do nich Talmud? Czy istnieje w judaizmie wiara w egzorcyzmy lub tezy, w jaki sposób należy się odnosić do takich duchów? Są takie duchy, które mają zdolność podporządkowania sobie człowieka. Jest wiara w istnienie Szatana (Satana), który zarządza dużą liczbą demonów jako siłami zła (najbardziej znane to: Belzebub, Azazel, Asmodeusz, Rahab). Te wierzenia istnieją jednak poza głównym nurtem judaizmu. W literaturze talmudycznej zagadnienia demonologii są już obecne dość często (np. dybuk). Są egzorcyzmy, na przykład odmówiony trzy razy Psalm 91 ma taką moc.

Pytania o modlitwę. Istnieją cztery rodzaje modlitwy: zwracanie się do Boga z prośbą, dziękowanie Bogu, chwalenie Boga oraz wyznanie czynków (grzechów) i analiza własnego postępowania. Modlitwa to bardzo osobista sprawa człowieka: to jego rozmowa z Bogiem. Takie, jakie są twoje modlitwy, takie jest twoje życie duchowe. Zohar (Księga blasku) stwierdza, że bez modlitw cadikim (sprawiedliwych) „świat nie przetrwałby ani jednej chwili”. To oni ochraniają świat.

I jest jeszcze wiele, wiele innych pytań oraz dołączonych do nich odpowiedzi. Na końcu słownik podstawowych terminów hebrajskich i aramejskich używanych w tej książce i indeks.

K.M.

Judaizm bez tajemnic, opracowanie naukowe Paweł Jędrzejewski, Stowarzyszenie PARDES, Kraków 2009

\*

Ruszyła edycja „Dzieł zebranych” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (1919–2000). Tom pierwszy zawiera recenzje, szkice i rozprawy literackie z lat 1935–1946, a więc pisma najpierw bardzo młodego, a potem już dochodzącego do dojrzałości Herlinga. Mamy tu dużą różnorodność form: od artykułów, recenzji, not i przeglądów do rozmów, biogramów, listów do redakcji, polemik, omówień czy wypowiedzi w ankietach, ale są także szkice i eseje, czy dialogi i listy poetyckie. Wczesny dorobek pisarski Herlinga jest różnorodny i nierówny, w dużej mierze publicystyczno-dziennikarski, chociaż już z prawdziwie literackimi błyskami, z ciekawie rysującym się zapleczem ideowo-artystycznym i rozmyślnie gromadzonym potencjałem. Start Herlinga przypada na burzliwy, dramatyczny czas, który ma na niego wielki wpływ, kształtuje go w ogniu osobistych doświadczeń i jest najbliższym kontekstem dla tych tekstów. A przecież ich autorem jest najpierw pełen marzeń i nadziei szesnastolatek, a na końcu tego okresu – dwudziestosiedmioletni rozbitek, świadek klęsk, powstaniec, były niewolnik sowieckiego łagru,

żołnierz bitwy pod Monte Cassino i z wyboru emigrant polityczny. Krótka to i długa droga, pouczające i godne przemyślenia świadectwo.

Na drodze literackiej prowadzili Herlinga: Brzozowski i Irzykowski, Fryde i Koniński i doprawdy trudno było w tamtym czasie o lepszych przewodników. Pod ich wpływem literaturę pojmował jako przygodę duchową i intelektualną, która niemożliwa jest bez kodeksu wartości i dążenia do prawdy, poszukiwania jej. To jest podstawa i on prawie od początku to wie, że bez niej przepada się w tym wymiarze poważnym, który jest jedynym prawomocnym wymiarem literatury. Przebija z tych tekstów religijna koncepcja życia przejęta pod wpływem Frydego od Maritaina i Chestertona. Mamy tu teksty m.in. o Mickiewiczu i o Krasińskim, o Conradzie i o Żeromskim, o Dąbrowskiej i o Andrzejewskim, o Miłoszu i o Gombrowiczu, o Tuwimie i o Przybosiu.

Widzimy w tych tak różnych tekstach kształtującego się pisarza, jego walkę o własny wyraz intelektualny, duchowy, światopoglądowy i artystyczny, który swoją wspaniałą pełni osiągnął w Dzienniku pisanym nocą. Tu jest jeszcze prawie wszystko w toku, in nascendi i w powijakach i wiele zostaje przed nami: ten liczący ponad siedemset stron tom jest dobrym punktem wyjścia, płaszczyzną i kierunkiem do dalszej wędrówki w głąb Herlingowego świata.

M.W.

Gustaw Herling-Grudziński, Recenzje, szkice, rozprawy literackie 1935–1946, „Dzieła zebrane”, tom 1, zebrał Zdzisław Kudelski, opracowali Włodzimierz Bolecki, Justyna Chłap-Nowakowa, Adam Fitas, Maciej Urbanowski, Mirosław Wójcik, posłowie Tomasz Burek, Wydawnictwo literackie, Kraków 2010

\*

Zbiór tekstów pt. Poeci czytają Herberta otwiera wypowiedź Wisławy Szymborskiej, o formie i artyzmie wierszy Zbigniewa Herberta (1924–1998), które w dzisiejszej, w większości gazetowej krytyce literackiej nie są prawie w ogóle uwzględniane. Ale jak można pisać o wierszach, nie pisząc o ich pięknie, uroku, harmonii i mocy, a więc o tym, jak zostały napisane (zrobione)? Czy nie byle jak? „Konieczna jest analiza środków artystycznych, dzięki którym zamierzony przez artystę efekt został (albo nie został) osiągnięty” – przypomina poetka. Stara prawda, ale jak bardzo dziś niedoceniana i nieaktualna. Ten zbiór potwierdza, z wyjątkami, jej słuszność, chociaż wypowiadają się w nim i poeci i krytycy. Piszą raczej o sobie w związku z Herbertem albo piszą tak połamanymi zdaniem, że nie można zrozumieć, o co im chodzi. Trudno. Najciekawsze głosy, to głosy czułe, skupione i kompetentne, prześwitujące właśnie na artystyczny wymiar

wierszy autora Pana Cogito: Julii Hartwig, Seamusa Heaney’a, Hansa Magnusa Enzensbergera, Ryszarda Krynickiego, Adama Zagajewskiego, Jane Hirshfield, Janusza Szubera, Tomasza Venclovy, Bronisława Maja czy Edwarda Hirscha. Z ciekawością przeczytałbym wypowiedź Tadeusza Różewicza, ale jej nie ma. Jest jednak dwadzieścia wierszy Herberta, więc w sumie, sporo do czytania. Jak zwykle w Wydawnictwie a5 uwagę zwraca bardzo staranna szata edytorska.

M.W.

Poeci czytają Herberta, zebrał i opracował Andrzej Franaszek, Wydawnictwo a5, Kraków 2009

\*

Miłosz opracowany! Liczący ponad osiemset stron tom Czesław Miłosz. Bibliografia druków zwartych Agnieszki Kosińskiej jest pierwszym tego typu światowym opracowaniem i jednocześnie otwiera serię bibliograficzną, która obejmie całość twórczości autora Ocalenia. Na ascetycznej, popielatej okładce widnieje piękne zdjęcie poety z 1985 roku autorstwa jego brata Andrzeja. Tytułowe „druki zwarte” to wydawnictwa samoistne i książki, a Czesław Miłosz (1911–2004) był jednym z najbardziej płodnych pisarzy ostatniego wieku (kiedyś zażartował, mówiąc: Napisałem tyle, co Kraszewski). Debiutował w 1933 roku Poematem o czasie zastygłym i pisał nieprzerwanie prawie do końca życia, czyli ponad siedemdziesiąt lat. Zadziwia i fascynuje ogrom i rozmach tej twórczości, jej wielkość i moc, jej mroczne i jasne strefy, tony, strony i tonacje; obejmuje wiersze i poematy, eseje i traktaty, prozę, listy, artykuły, recenzje i noty, rozmowy, przekłady i nawet podręcznik historii literatury polskiej, a wszystko to na bardzo wysokiej i jak najwyższej wysokości, w wymiarze i formacie światowym. Miłosz jest jednym z najczęściej przekładanych i to na wiele języków pisarzem polskim. Co ciekawe i ważne, pisał, z kilkoma wyjątkami, wyłącznie po polsku, chociaż dużą część życia (prawie jedną trzecią) spędził poza krajem.

Bibliografia obejmuje wszystkie wydania książek Miłosza, od debiutu poetyckiego w 1930 roku do 2008 roku włącznie: pierwsze wydania, następne, wydania drugoobiegowe (poza cenzurą) oraz przekłady na języki obce. Opisy bibliograficzne zawierają m.in.: adres wydawniczy, informacje o gatunku literackim, o procesie powstawania utworu, o miejscu w dorobku, o edytorskich decyzjach autora (np. innych tytułach, odmianach tekstu), podstawę wydania, zmiany w stosunku do wydania pierwszego i następnych, informacje o cechach szczególnych opisywanego egzemplarza, spis zawartości i informacje,

do których tomów Miłosza został włączony, w całości lub części, dany druk zwarty. Wrażenie robi pietyzm tych zapisów, ich staranność i uwaga; znajdziemy wśród nich, oprócz wiadomości podstawowych, wiele ciekawostek i smaczków, jak np. przy opisie Robinsona warszawskiego, gdzie zamieszczona jest uwaga, że zaprzepaszczonego pomysłu tego scenariusza zrealizował po prawie sześćdziesięciu latach Roman Polański w filmie *Pianista*.

Agnieszka Kosińska, *spiritus movens* tego przedsięwzięcia, absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, krytyk literacki i redaktor, osobista sekretarka Miłosza w latach 1996–2004, korzysta przy redagowaniu tych opisów także z informacji własnych na temat warsztatu Poety oraz procesu wydawniczego jego książek, w którym brała udział. Nie są podane, poza kilkunastoma wyjątkami, utwory opublikowane w czasopismach i antologiach; bibliografia czasopiśmiennicza Miłosza, nad którą prace trwają, ukaże się za kilka lat.

Tom ułożony jest w przejrzysty i łatwy do korzystania sposób: materiały zostały usystematyzowane w trzynastu działach z *Twórczością i Pracami przekładowymi na czele i Opracowaniami na końcu*. W obrębie działów zastosowana jest chronologia powstawania, niejednokrotnie pokrywająca się z chronologią publikacji. W dziale XII *Miscellanea* znajdują się utwory, których autorem lub współautorem jest Miłosz i które nie zostały zakwalifikowane do pozostałych działów, a w dziale ostatnim – *Opracowania m.in. autokomentarze, rozmowy, monografie, biografie, zbiory szkiców, studia poszczególnych zagadnień, numery monograficzne pism, wspomnienia, albumy, filmy dokumentalne i reportaże oraz bibliografie*. W *Aneksie* umieszczony jest tekst prof. Jadwigi Czachowskiej, współtwórczyni powojennej bibliografii literackiej w Polsce, Czesław Miłosz a bibliografia polska opowiadający o współpracy pisarza z redakcją *Słownika współczesnych pisarzy polskich*, a następnie *Słownika Współcześni polscy pisarze i badacze literatury i o problemach z tym związanych* (władze PRL-u skazały Miłosza na nieistnienie) oraz reprodukcje ankiet biobibliograficznych, które wypełniał Miłosz w związku z bibliografiami powstającymi w Polsce od lat 50., a także reprodukcje korespondencji związanej z kontaktami Miłosza z redakcją obu ww. *Słowników*. Jak wspomina Kosińska, Miłosz znał wagę bibliograficznych opracowań, chętnie w tym zakresie współpracował i pilnował uzupełnień. Całość zamykają indeksy: tytułów, nazw osobowych i tytułów czasopism.

Lekturę i korzystanie z tomu ułatwiają i rozświetlają: staranny i dokładny, zawierający jedynie fakty udokumentowane *Kalendarz życia i twórczości Miłosza* oraz dwa spisy: liczący czterdzieści cztery pozycje *Spis pierwszych wydań dzieł*

Czesława Miłosza oraz liczący siedemdziesiąt pozycji *Spis pierwszych wydań prac przekładowych Czesława Miłosza, ważniejszych prac redakcyjnych i innych*.

Tom uzmysławia ogrom dzieła noblisty, jego rozległość i głębię, pomaga w wędrówce po jego labiryntach, które wyprowadzają wiernego i uważnego czytelnika na jasny szlak, drogę, która prowadzi do celu.

K.M.

Agnieszka Kosińska, Czesław Miłosz. Bibliografia druków zwartych, współpraca: Jacek Błach i Kamil Kasperek, Oficyna Wydawnicza Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego i Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, oddział Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, Kraków–Warszawa 2009

\*

W Krakowie i w pobliżu Lwowa Ludwig Wittgenstein (1889–1951) służył jako żołnierz z przerwami od 1914 do 1916 roku. Od 9.8.1914 zaczyna pisać *Dzienniki*, notując: „Przedwczoraj zostałem wzięty do poboru i przydzielony do 2 Regimentu Artylerii Fortecznej w Krakowie”. Najpierw jako żołnierz pływał po Wiśle na statku wojennym „Goplana”, następnie przeniesiono go do wojskowych zakładów naprawczych w Krakowie i Lwowie, a później na własne życzenie został wysłany na front, do regimentu haubic. Dnia 30.10.1914 rozpoczyna pisanie drugiego zeszytu rękopisów, który prowadzi do 22.4.1915, a 29.3.1916 trzeciego zeszytu, w którym prowadzi zapiski do 10.1.1917. Te *Notatniki* tworzą fundament dla jego późniejszych prac filozoficznych.

Tom *Przydzielony do Krakowa* jest zapisem zorganizowanej przez Ignatianum w Krakowie konferencji filozoficznej poświęconej temu okresowi życia jednego z największych filozofów XX wieku. Tematyka poruszana w poszczególnych artykułach skupia się wokół takich ważnych dla Wittgensteina kwestii jak rozumienie sensu życia, logiki, prawdy i pewności, rzuca światło na jego życie w tamtym czasie, ukazuje problemy, którymi się zajmuje. Zostały także przedstawione związki między niektórymi aspektami filozofii autora *Traktatu logiczno-filozoficznego* a filozofią Leibniza, Nietzschego, Russela oraz twórczością L.N. Tołstoja, Trakla, Krausa czy Emersona.

Katarzyna Gurczyńska-Sady pisze o solipsyzmie wczesnego Wittgensteina i jego filozofii psychologii. „Świat jest niezależny od mojej woli” – stwierdza autor *Dociekań* i dodaje, iż chociaż świat jest niezależny od mojej woli, „ja” jest, w pewnym sensie, od świata zależne. To zaś od czego jesteśmy zależni nazywa Bogiem, losem lub światem. W tradycyjnie ujętym solipsyzmie tym,

co się kurczy, jest świat, tym zaś, co pozostaje, jest „ja” samo. Tymczasem u Wittgensteina mamy do czynienia z sytuacją odwrotną. Tym, co zostaje, nie jest „ja”, ale sama rzeczywistość bez „ja”. Solipsyzm, o którym pisze Wittgenstein jest solipsyzmem bez „ja”. Podmiot znika, pozostaje zaś rzeczywistość. W późnej filozofii Wittgensteina wewnątrz człowieka zostaje przeniesione w świat publiczny – po stronie podmiotu nic nie pozostaje.

W tekście Waltera Methlagla znajdujemy ciekawe cytaty z zapisów Wittgensteina, na przykład: „15.9.1914: Najlepiej pracuje mi się obecnie podczas obierania ziemniaków. Zgłaszam się do tego zawsze dobrowolnie. Jest to dla mnie tym samym, czym dla Spinozy było szlifowanie soczewek. (...) Jestem wprawdzie wolny dzięki duchowi, ale duch mnie opuścił! Wieczorem mogłem jeszcze trochę pracować, po czym czułem się lepiej”. Nieznane cytaty z Wittgensteina są najmocniejszą stroną tego tomu.

Uwagę zwraca także tekst Josefa Rothhaupta. Formy zapisów Wittgensteina: „uwaga”, oddzielona za pomocą pustych linijek „sekcja”, która dzieli się jeszcze na „paragrafy” („podsekcje”). Ważną wskazówką są fazy pracy nad tekstem: 1) tworzenie, 2) selekcja i 3) komponowanie. Ogólnie można powiedzieć, że Wittgenstein pisał krótkie formy prozatorskie: „uwagi”, „aforyzmy”, „fragmenty” lub: „sentencje”, „maksymy”. Tkwił w tradycji aforyzmu, tak o tym mówi: „Kto pisze aforyzmy, ten musiał je przetrwać, gdyż w przeciwnym wypadku aforyzm jest oszustwem. (Wiem oczywiście, jak bardzo aforystyczny sposób pisania – szczególnie uprawiany przez Krausa – odpowiada naszym czasom. I jak bardzo ja sam jestem pod jego wpływem. Także w złym sensie.)”. Tradycją alternatywną do pisania aforyzmów jest tradycja pisania fragmentów (fragmenty – urywki chybionej czy niemożliwej całości); podczas gdy aforyzm podkreśla swoją samowystarczalność, swoją zamkniętość w sobie, to fragment wskazuje przy całej samodzielności właśnie na związek z innymi fragmentami.

W 1930 roku zapisał: „Cokolwiek piszę, są to fragmenty, lecz ktoś rozumiejący będzie mógł z tego uzyskać zamknięty obraz”, a wiele lat później dodał: „Pojęcie «fragmentu». Nie jest łatwo chociażby tylko powierzchownie opisać użycie tego słowa”. Dla niego ważniejsza od samych uwag była ich kompozycja (kombinacja); odpowiednie zestawienie i sensowne uporządkowanie uwag w większą całość stanowiło dla niego przez cały czas duży problem. Tak Dociekania jak i Traktat zbudowane są (zaaranżowane) z fragmentów czy aforyzmów. Ważna jest „przejrzysta ekspozycja” – forma naszego ujęcia, sposób, w jaki widzimy (ta metoda była dla Wittgensteina podstawowa). Ale i to było podważone, co widzimy w zapisie z 1932 roku: „Owo szczególne

uspokojenie, pojawiające się wtedy, gdy dla jakiegoś, uważanego za jedyny w swoim rodzaju, przypadku możemy podać inne podobne przypadki, pojawia się w naszych badaniach zawsze wtedy, gdy pokażemy, że jakieś słowo ma nie tylko jedno znaczenie (albo nie tylko dwa), lecz jest używane w pięciu lub sześciu różnych znaczeniach. I dodaje: „Uważam, że przedsięwzięcie wyjaśniania już dlatego jest chybione, że trzeba jedynie właściwie zestawić to, co się wie i nic nie dodawać, a zadowolenie, które chcemy osiągnąć poprzez wyjaśnienie, pojawi się samo. (...)”

Można tutaj jedynie opisywać i powiedzieć: takie jest ludzkie życie”.

Tworzenie uwag w celu trafnego wychwycenia i określenia tego „co się wie” i komponowanie uwag, „aby [móc] właściwie zestawić” to „co się wie”, są elementami przejrzystej ekspozycji i przejrzystą ekspozycją jako całością. Podpatrujemy literacką technikę pisania tekstów za pomocą łączenia razem określonych detali, co łączy się z techniką służącą uzyskaniu „szczególnego uspokojenia”, a także z praktyką tworzenia, selekcjonowania i komponowania uwag.

Oświeśla to ważny zapis: „Każde zdanie, które piszę, ma zawsze na myśli całość, tzn. zawsze znowu to samo, i jest to równocześnie tylko jeden przedmiot widziany pod różnymi kątami”. Kontekstem są tu np. teksty Lichtenberga, Goethego, Nietzschego, Novalisa czy Krausa, a także Schopenhauera, Kierkegarda, Angelusa Silesiusa, świętego Augustyna, Pascala czy Bacona.

W związku z Krausem bardzo ważny zapis: „Gdy nie jesteś gotów ofiarować twojej pracy dla czegoś jeszcze wyższego, to nie będzie ci towarzyszyło błogosławieństwo. Gdyż swój szczyt uzyska ona przez to, że postawisz ją na prawdziwym poziomie w stosunku do ideału.

Dlatego próżność niszczy wartość pracy. Tak praca Krausa stała się np. «brzmiącym cymbałem».

(Kraus był niezwykle uzdolnionym architektem zdań)”.

I dalej: „Rodzynki mogą stanowić najlepszą część ciasta; lecz cała torba rodzynek nie jest od ciasta lepsza, a ktoś, kto jest w stanie dać nam całą torbę rodzynek, nie może jednak upiec rodzynekowego ciasta, nie mówiąc już o tym, by mógł zrobić coś lepszego. Myślę o Krausie i jego aforyzmach, lecz także o sobie i moich filozoficznych uwagach.

Ciasto to są niejako rozrzedzone rodzynki”.

Jak mówi Rothhaupt: „Wittgenstein skutecznie zebrał «torbę pełną» winogron, czyli fragmentów i wysuszył je na rodzynki, czyli aforyzmy. Czy jednak – należałoby razem z nim zapytać – udało mu się także upiec dobre «ciasto»?”.

Engelmann nazywa Wittgensteina „twórczym separatorem”. Ale Wittgenstein ma swój styl; forma i treść tworzą u niego jedność, gdy chodzi o rodzaj i sposób w jaki łączy swoje sekcje; jego teksty, jego uwagi mają wymiar tego, co powiedziane, i tego, co pokazane. Ciekawe zdania znajdujemy w zapisie o Lichtenbergu: „Geniusz jest talentem, w którym wyraża się charakter. (...) ...wielkość tego, co ktoś pisze, zależy od wszystkiego innego, co on pisze i robi”.

Wittgenstein często odniesieniem pars pro toto albo odnosi się do aforyzmów innych osób, albo aforystycznie wypisuje i fragmentarycznie używa pasażę z tekstów innych osób, są na to liczne przykłady.

Myśli sformułowane jako „odłamki poznania”. Ale: „Kiedy zaczynamy w coś wierzyć, to nie w pojedyncze zdanie, ale w cały system zdań (Światło stopniowo rozjaśnia wszystko.)”, mówi Wittgenstein. W liście pisze, że tylko religijnemu człowiekowi przypada dokonanie prawdziwie genialnych dzieł, gdyż tylko ten inspirowany jest czystym duchem. „Spór z duchem, ze światłem ujmuje” – mówi. W swoim pisaniu często używał metafory światła. I on, agnostyk, w momentach wyczerpania i bezradności oddaje się na nowo w ręce Boga: „Niech się stanie wola Twoja” (28.10.1914), „Lecz nie moja, ale Twoja wola niech się stanie” (30.3.1916), a pod datą 30.4.1916 zapisuje: „Człowiek potrzebuje tylko Boga”. Ślady poszukiwania Boga można znaleźć w jego osobistych zapiskach (szukanie jasności i prawdy). Próbowano wpisać go w nurt teologii negatywnej, ale trudno jest mówić o jakiegokolwiek postawie religijnej Wittgensteina. Nie jest to jednak takie jasne, skoro w dzienniku pod datą 1.8.1916 roku notuje: „Jedynie ze świadomości wyjątkowości mojego życia wyrasta religia – nauka – i sztuka”, a 21.2.1937 zapisał: „Pozbyć się cierpień ducha, to pozbyć się religii”. Tak jakby sam siebie dobrze nie znał. W Uwagach różnych stwierdza: „Człowiek widzi dobrze to, co ma, lecz nie to, czym jest. To, czym jest, da się porównać do jego wysokości nad poziomem morza, czego nie można najczęściej ocenić bez dystansu. A wielkość lub małość dzieła zależy od tego, gdzie stoi ten, który je wykonał”.

K.M.

Ludwig Wittgenstein, Przydzielony do Krakowa/Krakau zugeteilt, wydawcy Józef Bremer, Josef Rothhaupt, Wyższa Szkoła Filozoficzno-Pedagogiczna Ignatianum, Wydawnictwo WAM, Kraków 2009

## Nowe książki

Księgarnia Akademicka

Ewa Sonnenberg, Rok ognistego smoka, Krakowska Biblioteka SPP pod red. Gabrieli Matuszek i Wojciecha Ligęzy, t. 2, Kraków 2009

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

Sándor Márai, Wyspa, przełożył Feliks Netz, Warszawa 2009

Elisabeth Roudinesco, Nasza mroczna strona. Z dziejów perwersji, przełożył Bogdan Baran, Warszawa 2009

Wydawnictwo Literackie

Kazimierz Orłoś, Bez ciebie żyć nie mogę, Kraków 2010

Wydawnictwo M

Roman Brandstaetter, Księga modlitw. Dzieła zebrane, Kraków 2010

Wydawnictwo Miniatura

Piotr Michałowski, Pierwowzory i echa. (Od Kochanowskiego do Barańczaka), Kraków 2009

Wydawnictwo Polnord

Kazimierz Nowosielski, Czytać i pisać. Analizy oraz interpretacje dwudziestowiecznej poezji polskiej, Gdańsk 2009

Wydawnictwo Sic!

Gustave Flaubert, Trzy baśnie, w przekładach Renaty Lis i Jarosława Marka Rymkiewicza, Warszawa 2009

Wydawnictwo TAKO

Cezary Dobies, Księga imion. Podróż literacka przez Biblię oraz przypowieści o współczesnych ludziach, z rysunkami Artura Majki, Toruń 2010

Wydawnictwo Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego

Henryk Dubowik, Inkunabuły i cimelia z XVI wieku w zbiorach Biblioteki Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, Bydgoszcz 2009

Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej

i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu

Wyrazy życia. Szkice o poezji Piotra Sommera, Poznań 2009

Wydawnictwo ZNAK

Leszek Kołakowski, Czy Pan Bóg jest szczęśliwy i inne pytania, wybór i układ  
Zbigniew Mentzel, Kraków 2009

Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo

Juliusz Słowacki, Horsztyński, opracował Jarosław Ławski, Wrocław 2009

Oda w poezji polskiej, opracowała Teresa Kostkiewiczowa, Wrocław 2009

Adolf Rudnicki, Opowiadania wybrane, opracował Józef Wróbel, Wrocław  
2009

Historia literatury polskiej, opracował Luigi Marinelli, tłumaczyła Monika  
Woźniak, Wrocław 2009

## Głosy i glosy w „Kwartalniku Artystycznym”

1996 nr 4 (12) – Samuel Beckett

Samuel Beckett, Vaclav Havel, Edward Beckett, Andre Bernold, Roger Blin, Harold Bloom, Gottfried Büttner, John Calder, Steven Connor, Ria Endres, Charles Julliet, Martin Esslin, Georges Pelorson (Belmont), Rosemary Poutney, David Warrilow, Billie Whitelaw, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Myszkowski.

1997 nr 4 (16) – Jerzy Andrzejewski

Aleksander Fiut, Henryk Grynberg, Jarosław Klejnocki, Julian Kornhauser, Ryszard Matuszewski, Czesław Miłosz, Krzysztof Myszkowski, Andrzej Wajda, Andrzej Fiett

1998 nr 3 (19) – 5 lat „Kwartalnika Artystycznego”

Jacek Bocheński, Jerzy Giedroyc, Henryk Grynberg, Julia Hartwig, Zbigniew Herbert, Ryszard Kapuściński, Zygmunt Kubiak, Stanisław Lem, Czesław Miłosz, Jarosław Marek Rymkiewicz, Jan Józef Szczepański, ks. Jan Twardowski, Andrzej Wajda

1999 nr 2 (22) – Zbigniewowi Herbertowi in memoriam

Alain Besancon, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Jerzy Gizella, Krzysztof Karasek, Julian Kornhauser, Stanisław Lem, Bronisław Maj, Czesław Miłosz, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Jan Józef Szczepański, Janusz Szuber, Adriana Szymańska, ks. Jan Twardowski, Zbigniew Żakiewicz

2001 nr 2 (30) – Czesławowi Miłoszowi w 90. rocznicę urodzin

Krzysztof Myszkowski, Julia Hartwig, Joanna Pollakówna, Stanisław Lem, Jan Józef Szczepański, Jan Błoński, Irena Sławińska, Aleksander Fiut, Janusz Szuber, Zofia Zarebianka

2003 nr 2–3 (38–39) – Alberto Giacometti

Ernst Scheidegger, Jean-Paul Sartre, Jean Genet, David Sylvester, Jacques Dupin, Tahar Ben Jelloun, Charles Juliet, Magnus Hedlund

2003 nr 4 (40) – 10 lat „Kwartalnika Artystycznego”

Krzysztof Myszkowski, Julia Hartwig, Czesław Miłosz

2004 nr 3 (43) – Czesławowi Miłoszowi in memoriam

Jan Paweł II, Marzena Broda, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Jacek Gutorow, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Grzegorz Kalinowski, Julian Kornhauser, Ryszard Krynicki, Antoni Libera, Rafał Moczko, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski, Marek Skwarnicki, Ewa Sonnenberg, Piotr Szewc, Janusz Szuber, Wisława Szymborska, Zbigniew Żakiewicz

2005 nr 3 (47) – W 1. rocznicę śmierci Czesława Miłosza

Kazimierz Brakoniecki, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Michał Głowiński, Henryk Grynberg, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Bogusław Kierc, Janusz Kryszak, Krzysztof Lisowski, Krzysztof Myszkowski, Grażyna Strumiłło-Miłosz, Janusz Szuber, Adriana Szymańska, Bolesław Taborski, Zbigniew Żakiewicz

2006 nr 2 (50) – Na 85. urodziny Tadeusza Różewicza

Wisława Szymborska, Robert Cieślak, Mirosław Dzień, Anna Frejlich, Aleksander Jurewicz, Bolesław Kierc, Olga Lalić, Jacek Łukasiewicz, Piotr Michałowski, Stanisław Różewicz, Andrzej Skrendo, Piotr Sommer, Agata Stankowska, Leszek Szaruga, Zbigniew Żakiewicz

2007 nr 3 (55) – Artur Międzyrzecki

Aleksander Jurewicz, Wojciech Ligęza, Piotr Matywiecki, Arkadiusz Morawiec, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc

2008 nr 2 (58) – W 10. rocznicę śmierci Zbigniewa Herberta

Stefan Chwin, Mirosław Dzień, Henryk Grynberg, Julia Hartwig, Maria Kalota-Szymańska, Bogusław Kierc, Wojciech Ligęza, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Paweł Mackiewicz, Piotr Matywiecki, Piotr Michałowski, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Kazimierz Nowosielski, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2009 nr 4 (64) – W 100. rocznicę urodzin Jerzego Andrzejewskiego

Julia Hartwig, Antoni Libera, Krzysztof Myszkowski, Dariusz Nowacki, Leszek Szaruga

2010 nr 1 (65) – W 1. rocznicę śmierci Jana Błońskiego

Aleksander Fiut, Marek Kedziński, Paweł Mackiewicz, Anna Nasiłowska, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga



## Autorzy „Kwartalnika Artystycznego”

Miłosz Herling-Grudziński Herbert Szymborska Twardowski Beckett Andrzejewski Hartwig Międzyrzecki Cendrars Lem Kapuściński Białoszewski Pinter Wyka Błoński Ionesco Głowiński Krynicki Celan Kornhauser Zagajewski Bernhardt Różewicz Szaruga Amichaj Kubiak Hertz Pound Matywiecki Libera Hölderlin Nasiłowska Lipska Żakiewicz Jaccottet Chwin Jurewicz Céline Jarzębski Kędzierski Fiut Ginsberg Ligęza Bolecki Bacon Hoffman Grynberg Wilde Orłó J.M. Rymkiewicz Pollakówna Giacometti Myszkowski Sławińska J.J. Szczepański Konwicki Borges Wirpsza Pomorski Brodski Wajda Sachs Łukasiewicz Balcerzan Szuber Brakoniecki Claudel Orski Kiers Marjańska Dickinson Lisowski Taborski Bolewski T. S. Eliot Skwarnicki Szewc Gizella Iwaniuk Pinget Rodowska Stachura Genet Ołędzka - Frybesowa Szuba Danielewicz - Zielińska Dzień Achmatowa Nowosielski Joyce Engelking Williams Miłosz Herling-Grudziński Herbert Szymborska Twardowski Beckett Andrzejewski Hartwig Międzyrzecki Lem Kapuściński Białoszewski Pinter Wyka Błoński Ionesco Głowiński Krynicki Celan Kornhauser Zagajewski Bernhardt Różewicz Szaruga Amichaj Kubiak Hertz Pound Matywiecki Libera Hölderlin Nasiłowska Lipska Żakiewicz Jaccottet Chwin Jurewicz Céline Jarzębski Kędzierski Fiut Ginsberg Ligęza Bolecki Bacon Hoffman Grynberg Wilde Orłó J.M. Rymkiewicz Pollakówna Giacometti Myszkowski Sławińska J.J. Szczepański Konwicki Borges Wirpsza Pomorski Brodski Wajda Sachs Łukasiewicz Balcerzan Szuber Brakoniecki Claudel Orski Kiers Marjańska Dickinson Lisowski Taborski Bolewski T.S. Eliot Skwarnicki Szewc Gizella Iwaniuk Pinget Rodowska Stachura Genet Ołędzka - Frybesowa Szuba Danielewicz - Zielińska Dzień Achmatowa Nowosielski Joyce Engelking Williams Miłosz Herling-Grudziński Herbert Szymborska Twardowski Beckett Andrzejewski Hartwig Międzyrzecki Cendrars Lem Kapuściński Białoszewski Pinter Wyka Błoński Ionesco Głowiński Krynicki Celan Kornhauser Zagajewski Bernhardt Różewicz Szaruga Amichaj Kubiak Hertz Pound Matywiecki Libera Hölderlin Nasiłowska Lipska Żakiewicz Jaccottet Chwin Jurewicz Céline Jarzębski Kędzierski Fiut Ginsberg Ligęza Bolecki Bacon Hoffman Grynberg Wilde Orłó J.M. Rymkiewicz Pollakówna Giacometti Myszkowski Sławińska J.J. Szczepański Konwicki Borges Wirpsza Pomorski Brodski Wajda Sachs Łukasiewicz Balcerzan Szuber Brakoniecki Claudel Orski Kiers Marjańska Dickinson Lisowski Taborski Bolewski T.S. Eliot Skwarnicki Szewc Gizella Iwaniuk Pinget Rodowska Stachura

## Ankiety „Kwartalnika Artystycznego”

### Po co piszę?

Czesław Miłosz nr 4/1995 (8), Ryszard Krynicki, Juliana Kornhauser nr 1/1996 (9), Jan Józef Szczepański, Tadeusza Konwicki, Zbigniew Żakiewicz, Aleksander Jurewicz, Andrzej Stasiuk nr 2/1996 (10), Henryk Grynberg, Stefan Chwin, Kazimierz Brakoniecki nr 3/1996 (11), Tadeusz Różewicz, Urszula Koziół nr 4/1996 (12), Michał Głowiński, Bogdan Czaykowski nr 1/1997 (13), Kazimierz Hoffman, Janusz Styceń nr 2/1997 (14), Grzegorz Musiał, Krzysztof Karasek nr 3/1997 (15), Florian Śmieja, Maciej Niemiec nr 4/1997 (16), Bolesław Taborski, Ewa Sonnenberg nr 1/1998 (17), Marek Kędzierski, Leszek Szaruga nr 2/1998 (18), Ludmiła Marjańska, Janusz Szuber, ks. Jan Twardowski, Piotr Wojciechowski, Bohdan Zadura nr 3/1998 (19), Adriana Szymańska, Ewa Kuryluk, Urszula M.Benka nr 4/1998 (20), Józef Kurylak, ks. Jan Sochoń nr 1/1999 (20), Ryszard Kapuściński, Aleksandra Ołędzka-Frybesowa nr 2/1999 (22), Maciej Cisto, Mirosław Dzień, Piotr Szewc nr 3/1999 (23), Krzysztof Cwikliński, Krzysztof Lisowski nr 4/1999 (24), Stanisław Lem nr 1/2000 (25), Anna Nasiłowska, Tomasz Jastrun, Jarosław Klejnocki nr 2/2000 (26), Maria Danilewicz Zielińska, Jerzy Gizella nr 3/2000 (27), Małgorzata Baranowska, Teresa Ferenc, Bogusław Kierc nr 4/2000 (28), Jacek Bolewski SJ, Jacek Łukasiewicz, Artur Szlosarek nr 1/2001 (29), Zbigniew Jankowski, Kazimierz Nowosielski nr 2/2001 (30), Joanna Pollakówna, Janusz Anderman, Jerzy Pilch, Wojciech Wencel nr 3/2001 (31), Anna Janko, Piotr Michałowski, Piotr Mitzner nr 4/2001 (32), Katarzyna Boruń, Bogusława Latawiec, ks. Janusz A.Kobicrski, Henryk Waniek nr 1/2002 (33), Krzysztof Myszkowski nr 2/2002 (34).

### Trzy wiersze

Czesław Miłosz nr 3/1997 (15), Stanisław Lem nr 4/1997 (16), Jan Józef Szczepański nr 1/1998 (17), Ryszard Krynicki nr 2/1998 (18), ks. Jan Twardowski nr 3/1998 (19), Jarosław Marek Rymkiewicz nr 4/1998 (20), Kazimierz Hoffman nr 1/1999 (21), Julian Kornhauser nr 2/1999 (22), Leszek Szaruga nr 3/1999 (23), Piotr Sommer nr 4/1999 (24), Gustaw Herling-Grudziński nr 1/2000 (25), Maria Danilewicz Zielińska nr 2/2000 (26), Ryszard Kapuściński nr 3/2000 (27), Michał Głowiński nr 4/2000 (28), Zbigniew Żakiewicz nr 1/2001 (29), Bogusław Kierc nr 3/2001 (31), Julia Hartwig nr 2/2004 (42).

### Jaki jest terazniejszy stan literatury polskiej?

Czesław Miłosz nr 3/2001 (31), Henryk Grynberg, Stanisław Lem, Leszek Szaruga, Janusz Szuber nr 4/2001 (32), Julia Hartwig, Jerzy Gizella, Mieczysław Orski, ks. Jan Twardowski, Piotr Wojciechowski nr 1/2002 (33), Ludmiła Marjańska, Adriana Szymańska, Edward Balcerzan, Kazimierz Brakoniecki nr 2/2002 (34), Anna Nasiłowska, Mirosława Dzień, Michał Głowiński, Jarosław Klejnocki, Kazimierz Nowosielski nr 3/2002 (35) Aleksander Fiut, Jacek Gutorow, Piotr Michałowski, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski (4/2002 (36)).

### Po przełomie – najważniejsze książki dwudziestolecia 1989–2009

Michał Głowiński, Henryk Grynberg, Antoni Libera, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Janusz Szuber nr 1/2009 (61), Mirosław Dzień, Andrzej Zawada 2/2009 (62), Anna Nasiłowska, Ewa Sonnenberg nr 3/2009 (63), Wojciech Ligęza, Arkadiusz Morawiec, Andrzej Skrendo nr 4/2009 (64)

## Numery monograficzne i tematyczne „Kwartalnika Artystycznego”

ANDRZEJEWSKI: 4/1997 (16), 4/2009 (64)

BACON: 4/2005 (48)

BECKETT: 4/1996 (12), 4/1999 (24), 3–4/2006 (51–52), 1/2007 (53), 4/2008 (60)

BERNHARD: 2/2009 (62), 3/2009 (63)

CÉLINE: 1/1998 (17)

EDITIONS DE MINUIT: 2/2000 (26), 3/2001 (31)

GIACOMETTI: 2–3/2003 (38–39)

GINSBERG: 3/1997 (15)

HERBERT: 2/1999 (22), 2/2008 (58)

HOFFMAN: 1/1999 (21), 4/2008 (60)

KAPUŚCIŃSKI: 1/2006 (49)

MIĘDZYRZECKI: 3/2007 (55)

MIŁOSZ: 2/2001 (30), 3/2004 (43), 3/2005 (47), 3–4/2006 (51–52), 3/2008 (59)

PINGET: 2/1998 (18)

PINTER: 1/2005 (45)

POUND: 3/1998 (19)

RÓŻEWICZ: 3/2002 (35), 2/2006 (50)

SUHRKAMP VERLAG: 3/1998 (19)

TWARDOWSKI: 3/1998 (19)

POECI AMERYKAŃSCY: 1/1999 (21)

LITERATURA CZESKA: 2/1997 (14)

LITERATURA IZRAELSKA: 1/2000 (25), 4/2004 (44)

LITERATURA ROSYJSKA: 2/1996 (10)

POECI Z SARAJEWA I ZE SŁOWENII: 3/1995 (7)

## BIBLIOTEKA KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO



Grzegorz Musia<sup>3</sup>, Al Fine, Gdańsk 1997

Miros<sup>3</sup>aw Dzień, Cierpliwooæ, Warszawa 1998

Micha<sup>3</sup> G<sup>3</sup>owiński, Czarne sezony, Warszawa 1998

Jaros<sup>3</sup>aw Klejnocki, W drodze do Delft, Warszawa 1998

Piotr Matywiecki, Zwyczajna symboliczna prawdziwa, Warszawa 1998

Krzysztof Myszkowski, Funebre, Warszawa 1998

Bożena Keff, Nie jest gotowy, Warszawa 2000

Maria Danilewicz Zielińska, Biurko Konopnickiej, Warszawa 2000

Janina Koœcia<sup>3</sup>kowska, Bih me!, Warszawa 2000

Grzegorz Musia<sup>3</sup>, Dziennik z Iowa, Warszawa 2000

Grzegorz Musia<sup>3</sup>, Kraj wzbronionej mi<sup>3</sup>oeci, Warszawa 2001

Jerzy Andrzejewski, Dziennik paryski, Warszawa 2003

Mieczys<sup>3</sup>aw Orski, Lustratorzy wyobraŹni, rewidenci fikcji, Warszawa 2003

Tadeusz Nowakowski, Obóz Wszystkich Œwiętych, Warszawa 2003

Kazimierz Hoffman, Znaki, Bydgoszcz 2008

Andrzej Wajda

## Zadanie artysty

Nie od cudzych grzechów włos na głowie siwieje...  
Jerzy Andrzejewski

Jerzy Andrzejewski od swojej pierwszej książki Ład serca był dzieckiem szczęścia, a każda następna przynosiła mu dalsze sukcesy. Są tacy ludzie. Niestety, za sukces trzeba płacić. Myślę, że autor Popiołu i diamentu zapłacił cenę najwyższą, a wyznaczył ją sam ze swoją siwą głowę.

Przebył długą drogę, od katolickiego pisarza, poprzez członka partii, do dysydenta i działacza Komitetu Obrony Robotników. Po raz ostatni widziałem go w hali „Olivii” na zjeździe „Solidarności”: był już wtedy starym schorowanym człowiekiem, szczęśliwym, że dożył tej chwili. Co zaprowadziło go tak daleko od książki Partia i twórczość pisarza, wydanej w roku 1952? Myślę, że strach przed własnym grzechami, obojętne, czy były to polityczne błędy czy artystyczne uchybienia w pisaniu. Andrzejewski dążył do doskonałości i tylko taki stan go zadowalał.

Wiosna roku 1945 w Radomiu, gdzie wtedy mieszkałem była dla 19-letniego, spóźnionego o pięć lat okupacji, młodego człowieka miejscem wielkich

nadziei – w gimnazjum dla dorosłych robiłem małą maturę. Wystawialiśmy też szkolnymi siłami *Antygonę*, kupiłem *Ocalenie Miłosza* i *Miejsce na ziemi* dwie pierwsze książki wydane po wojnie. Profesor Kotarbiński czytał nam swój *Traktat o dobrej robocie*, a Radom odwiedzali na zaproszenie Miejskiej Biblioteki liczni pisarze.

Wtedy po raz pierwszy widziałem Jerzego Andrzejewskiego. Mało pamiętam z tego spotkania, ale wszystko to razem sprawiło niewyobrażalną feerię wolności. Doszło do tego, że zaczęliśmy się spotykać w kawiarni na ulicy Żeromskiego zupełnie, jakby to były czasy „Zielonego balonika”.

Kto mógłby się wtedy spodziewać, że całkiem nieobliczalny zbieg okoliczności pozwoli mi dziesięć lat później zostać reżyserem najbardziej przez ówczesne władze akceptowanej powieści *Popiół i diament*.

„Ostatni dzień wojny. Poranek pierwszego dnia pokoju. Pokazać tej szczególnej nocy losy młodego człowieka uwikłanego w okupacyjną przeszłość, zmęczonego bohaterstwem, przeczuwającego inne, lepsze życie. Cóż to za piękny temat do filmu. Tej szczególnej nocy spotyka się przeszłość z przyszłością – i zasiada do jednego stołu. Przy akompaniamencie tang i fokstrotów bohater filmu, Maciej Chełmicki, szuka odpowiedzi, jak żyć dalej – jak rzucić dławiący bagaż przeszłości, rozwiązuje odwieczny dylemat żołnierza. Słuchać czy myśleć. A jednak Maciek zabije...”

Woli zabić człowieka, nawet wbrew sobie, niż oddać broń; postąpi jak przedstawiciel tego pokolenia, które liczy tylko na siebie i na pistolet dobrze ukryty, pewny i nie chybiający. Kocham tych nieustępliwych chłopców, rozumiem ich. Chcę moim skromnym filmem odkryć przed widzami kinowym ten skomplikowany i trudny świat pokolenia, do którego i ja sam należę.”

Wystraszona i zawstydzona urzędniczka Filmu Polskiego zwróciła mi ten tekst, który napisałem do programu filmu *Popiół i diament*, mówiąc, że cenzura nigdy go nie przyjmie. Chodziło o słowo „kocham”. Ale ja nie znałem innego słowa, którym mógłbym wyrazić moje uczucia wobec pokolenia Maćka Chełmickiego.

Nie byłem pierwszym reżyserem, który przystępował do adaptacji *Popiołu* i *diamentu*. Wcześniej próbował tego Antoni Bohdziewicz, ale nie uzyskał akceptacji władz politycznych, następnie Wanda Jakubowska – nie wiem, jaki był powód jej rezygnacji – i Jan Rybkowski, od którego bezpośrednio prze-

jąłem prawa do filmowania. Rybkowski zrezygnował, gdyż widział ten film jako ogromny fresk z tysiącami statystów przelewającymi się przez ekran. Dla mnie wszystko zaczęło się od listu do Jerzego Andrzejewskiego:

„Kazimierz, 15 listopada 1957

Szanowny Panie,

Zgodnie z umową przesyłam Panu zarys adaptacji *Popiołu* i *diamentu*. Oprócz opisu akcji dołączam jeszcze krótkie omówienie zmian dramaturgicznych, o których rozmawialiśmy w czasie naszego spotkania w Warszawie. Poza tym wypisałem dla łatwiejszej orientacji osoby przyszłego filmu. Nie wiem, czy spodoba się Panu taki pomysł adaptacji, ale ja mogę Pana zapewnić, że dojdziemy tym sposobem do filmu. Inna rzecz, ile ten film uratuje z piękna książki?”

Dalej następował szczegółowy plan filmu, określający, jak przebiega akcja, godzina po godzinie, aż do tragicznego końca. Mając świadomość, że moja propozycja daleko odbiega od książki, zwracałem się do autora w nadziei, że wyjdzie mi naprzeciw:

„Dlatego tak dokładnie i w punktach wyszczególniłem zasadnicze trudności adaptacji, że tylko Pan może rozstrzygnąć i dać rozwiązanie tych problemów. Ja mogę jedynie wnieść ze swej strony tylko pewne pomysły co do powiązania postaci epizodycznych z głównym nurtem intrygi. (...)

Jak można się zorientować z akcji, nowych scen jest bardzo niewiele, trzy lub cztery najwyżej. Również widać, że początek i zakończenie są skonstruowane bez zarzutu. I są gotowym filmem. Natomiast część środkowa, przepisana z powieści dokładnie, uzyska wystarczające napięcie dramatyczne, jeżeli damy:

1. Akcję *Szczuki* – *Szczuka* przyjechał z czymś, co musi zrealizować w ciągu tej nocy.
2. Akcję *Maćka* i *Andrzeja* zmierzającą do zabicia *Szczuki*.
3. Akcję *Urzędu Bezpieczeństwa*, którą kieruje *Wrona*, zmierzającą do odkrycia zabójców.

Te trzy akcje połączą epizody i uczynią je dla widza dramatycznymi”.

Nie dążyłem wcale do zyskania sympatii widza wyłącznie dla *Maćka Chełmickiego*, chciałem, aby za przeciwnika miał on człowieka, nie jakąś

bezduszną kukłę. Stąd przeszłość Szczuki – jego udział w wojnie domowej w Hiszpanii – dodana już w trakcie realizacji.

Film był zaskoczeniem. Nie wolno było przecież pokazać na ekranie sympatycznego chłopca zabijającego komunistycznego działacza. To wychodziło poza reguły gry. Gdyby Jerzy Andrzejewski odwrócił się wtedy, gdyby wykazał choćby chwilowe wahanie, *Popiół i diament* nie trafiłby na ekrany. Tymczasem on zorganizował frontalny atak na przeciwników filmu, wzywając przyjaciół i kolegów-literatów na pokaz do niewielkiej sali Urzędu Kinematografii. Ta najbardziej znacząca grupa pisarzy miała nie tylko znane nazwiska, wszyscy oni posiadali również czerwone legitymacje PZPR, a to, rzecz jasna, wzmacniało ich głos stukrotnie.

Myślę, że w późniejszych latach, kiedy przestało się tyle mówić o ideologii, kontrola polityczna stała się dokładniejsza, a umiejętności manipulacji większe, władze polityczne nie pozwoliłyby sobie na taką słabość i po prostu nie dopuściłyby do podobnej konfrontacji, nie mając pewności co do jej wyniku. Próbowano, rzecz jasna, wpłynąć i na mnie, ale ja w tej rozgrywce na ówczesnych szczytach polityki bez czerwonej legitymacji mało się liczyłem. Przed samą premierą uruchomiono jednak wszystkie możliwe sprężyny. Nie przedstawiając się z nazwiska, a tylko podając swój numer służbowy, zatelefonował do mnie jakiś cenzor z poleceniem, abym wieczorem w kabinie kina „Moskwa” wyciął wprost z kopii filmu ostatnią scenę – śmierci Maćka Chełmickiego. Oczywiście tego nie zrobiłem. Wiedziałem, że premiera w kinie jest świętością: po niej pod filmem podpisywała się władza i *Popiół i diament* musiał trafić do kin w całym kraju. Dopiero później nauczono się wprowadzania filmu w jednym kinie albo ograniczania jego rozpowszechniania innymi sposobami.

Dopuszczenie do premiery nie oznaczało jednak sprzedaży filmu za granicę, a zwłaszcza umieszczenia go na którymś z festiwali. Miałem jednak również niespodziewanych sojuszników. Jednym z nich był Jerzy Lewiński:

„Pełniłem wówczas obowiązki prezesa Urzędu Kinematografii. Bezpośrednio po Październiku, w 1957 roku ingerencja partii w życie kulturalne prawie nie istniała. Mogłem przeto sam zdecydować o skierowaniu *Popiołu i diamentu* do produkcji. Kiedy jednak produkcja ta została ukończona, sytuacja polityczna w Polsce uległa radykalnej zmianie. Minister kultury Karol Kuryluk został odwołany, a jego miejsce zajął Tadeusz Galiński. Nowy minister przekazał mi polecenie Wydziału Kultury KC PZPR, aby *Popiół i diament* pokazać gronu działaczy partyjnych związanych z kulturą. Na tym

pokazie, w połowie 1958 roku, zgłoszono wobec filmu szereg krytycznych uwag. Głównie dotyczyły one faktu, że postać Maćka Chełmickiego budzi sympatię, a postać Szczuki tej sympatii nie budzi i jest «niemrawa». Również zakończenie filmu, zdaniem działaczy, nie dość wyraźnie symbolizowało upadek ideologii, którą główny bohater reprezentował.

Sytuacja, jaka wytworzyła się wokół filmu, wydostała się poza granice Polski. Zatelefonował do mnie dyrektor festiwalu w Cannes, Favre Le Bret. Mówił, że słyszał o nowym filmie laureata poprzedniego festiwalu, Andrzeja Wajdy: prosił o przesłanie go. Władze, które odchodziły już wtedy bardzo wyraźnie od idei Października, nie przystąpiły na tę prośbę.

W sierpniu 1959 roku, jadąc na festiwal filmowy do Wenecji, zdecydowałem się zabrać *Popiół i diament* na pokaz poza konkursem. O fakcie tym władze partyjne nie wiedziały, ponieważ do oficjalnego konkursu zgłosiliśmy film Jerzego Kawalerowicza *Pociąg*. Na pokazie pozakonkursowym *Popiół i diament* został bardzo gorąco przyjęty, a kiedy publiczność dowiedziała się, że na sali obecny jest reżyser, urządziła mu gorącą owację. Film otrzymał nagrodę krytyków filmowych FIPRESCI. Bardzo zirytowało to władze partyjne w Polsce wpłynęło na odwołanie mnie z kierownictwa Kinematografii.

Po festiwalu w Wenecji jego dyrektor, pan Ammanati, napisał do mnie, że wyjeżdża z cyklem wykładów po krajach europejskich. Tematem tego cyklu było dziesięć najlepszych filmów nakręconych na świecie po zakończeniu drugiej wojny światowej. Powiadamiał mnie, że do tych filmów zaliczył *Popiół i diament*. Twierdził również, że chociaż film przedstawia «sprawę polską», to jego tendencja jest zrozumiała dla wszystkich myślących ludzi na świecie. Wysłałem mu kopię filmu...!”

Było to dla *Popiołu i diamentu* prawdziwe otwarcie na świat. Jak to się odbyło w szczegółach, usłyszałem od Artura Rubinsteina, który okazał się ojcem chrzestnym mojego sukcesu. Obejrzawszy film w jakimś kinie na przedpołudniowym seansie, namówił Rene Claira, by zobaczył go również. Dowiedziałem się o tym i napisałem do Rene Claira list z podziękowaniem. Odpowiedział:

„Drogi Panie,

Proszę mi nie dziękować. Jestem szczęśliwy, kiedy mogę szczerze wyrazić podziw dla dzieła kolegi reżysera. To ja powinienem podziękować Panu za szczęście i radość, jakie mi dał Pana sukces”.

Popiół i diament został zauważony, a nawet otrzymał szczególne wyróżnienie – Nagrodę Davida Selznicka, która otworzyła mu drogę na ekrany świata. Sukces cieszył mnie, ale naprawdę dumny byłem z samego filmu.

\*

Rola Zbyszka Cybulskiego, niezwykle zdjęcia Jerzego Wójcika, a przede wszystkim rytm całego filmu, upewniły mnie, że wydarzyło się coś ważnego nie tylko dla mnie. Pierwszy zauważył to Adam Pawlikowski. Był od nas nieco starszy. Walczył w Powstaniu, był na Zachodzie, czytał po angielsku książki, które mogliśmy poznać tylko z jego relacji. Słowem, był naszym mentorem. Obejrawszy ledwie zmontowany Popiół i diament, powiedział zdziwiony, że jego zdaniem polscy aktorzy nigdy dotąd nie mówili tak szybko i nie działali z taką energią.

Była to dla mnie największa pochwała. Nie znosiliśmy powolnego tempa sowieckich filmów, buntowaliśmy się przeciw dłużyznom, widząc w żywym i energicznym sposobie opowiadania filmów zachodnich nie tylko wzór do naśladowania, ale rytm naszego własnego serca. Nasze wysiłki zostały zauważone. Andriej Tarkowski tak to opisuje:

„Szczególnie silne wrażenie zrobiła na nas polska szkoła, jeśli chodzi o fotografię, sposób filmowego widzenia świata – tak, jak pokazał go na przykład Wójcik, operator pracujący z Wajdą i chyba także z Munkiem. Popiół i diament to było objawienie dla wielu z nas. Wszystko to oddziaływało na nas i bardzo inspirowało. Zwłaszcza wyrażony w tych filmach stosunek do prawdy życia, poetyzacja wyrastająca z fotografii filmowej opartej na naturalizmie. To było w swoim czasie niesłychanie ważne, ponieważ do tego czasu kino było takie nieprawdziwe, tekturowe, fałszywe. Zarówno w warstwie zewnętrznej, jak i w swojej istocie. W filmach polskiej szkoły charakterystyczny był już sam materiał, polscy filmowcy rozumieli, że mają do czynienia z materiałem specyficznym i nie niszczyli go. Wcześniej bowiem kino nie rozróżniało materiału, z jakiego budowano obraz, on był cały zaklejony fornirem, tapetami, jakimiś draperiami. No, w ogóle – papier-mache. I kręcony oczywiście w atelier. I nagle filmowcy zwrócili się w kierunku czystej natury, błota, zniszczonych ścian, ku twarzom aktorów, z których starta została szminka. Obraz przeniknięty był zupełnie innym uczuciem, innym rytmem – i to było dla nas w tamtym czasie bardzo ważne”.

Użycie symboli też zostało dostrzeżone (cytuję dalej Tarkowskiego):

„W teatrze prawdziwa krew nie może być dowodem prawdy poetyckiej, ponieważ jej znaczenie jest jednoznaczne i oczywiste. Natomiast w kinie krew jest krwią, niczego nie symbolizuje i nie oznacza. Bohater filmu Popiół i diament, umierając wśród rozwieszonych prześcieradeł, przyciska, padając, jedno z nich do piersi – na białym płótnie pojawia się plama jasnoczerwonej krwi: czerwień i biel, polskie barwy narodowe. Wydaje mi się, że ten obraz, chociaż wywołuje tak niezwykle silne wrażenie, jest jednak bardziej literacki niż filmowy.

Oczywiście, cała sztuka jest sztuczna. Jest zdolna jedynie symbolizować prawdę”.

Rosjanie, zniewoleni przez system w stopniu znacznie większym niż my, poszukiwali ukrytych znaczeń dosłownie wszędzie. Na białym prześcieradle w czarno-białym filmie krew może być tylko czarna. Trzeba wiele wyobraźni, aby dostrzec tu polskie barwy narodowe. Nie spotkałem się u nas z taką interpretacją. Dla mnie istotniejszy w tej scenie jest dziwny odruch Cybulskiego, który zaczyna wachać skrwawioną rękę. Ten gest przenosi nas ze świata symboli do realności, gdzie panuje biologia z jej nieobliczalnymi reakcjami. Właśnie to ekscytowało nas w czasie pracy nad Popiołem i diamentem i zbliżało do behawioryzmu kina amerykańskiego.

A jeśli już symbolizm, to ten uniwersalny z kręgu chrześcijańskiej kultury. Tak właśnie powstała scena rozmowy dwojga bohaterów filmu w zrujnowanym kościele. Dwie sylwetki pod krzyżem to powszechnie znany motyw Marii i Jana, towarzyszących śmierci Jezusa na krzyżu. Ale w moim filmie Ukrzyżowany zwiślał głową w dół, świadcząc o czasach, w których nie oszczędzano żadnych świętości.

Po latach, w paryskiej „Kulturze” rozgorzała znów dyskusja o Popiele i diamentie – uznano powieść za kłamliwą i źle napisaną, oszczędzając natomiast zrobiony na jej podstawie film. Nie mogę zgodzić się z takimi sądami. Autor ma prawo poczynić zmiany, które uznaje za właściwe. A autorem scenariusza był Andrzejewski i to on sam dokonał wszystkich zmian i uzupełnień. Zrobił to w czasie, kiedy pozycja polityczna jego powieści była niepodważalna i stanowiła ona szkolną lekturę. Widocznie sam odczuwał potrzebę zobaczenia tych wydarzeń w nowym oświetleniu, inaczej, tak właśnie, jak pokazał to film. On też, nie kto inny, obronił film przed cenzurą i dopomógł we wprowadzeniu na ekrany.

\*

Jak wspomniałem, po wojnie, w 1945 roku, za pierwsze zarobione pieniądze kupiłem dwie nowo wydane książki *Ocalenie* i *Miejsce na ziemi*. Dziś próbuje się oceniać pisarzy z tamtych lat, fabrykując zarzuty, które wtedy nie miały żadnego sensu. Czesław Miłosz i Julian Przyboś wydali swoje wiersze tylko po to, abym ja mógł je przeczytać, dokładnie tak samo jak zrobiłem film *Kanał* i *Popiół i diament*, aby jacyś młodzi ludzie mogli je zobaczyć i zrobić krok następny – tyle tylko i aż tyle. To jest zadanie artysty w każdym czasie, również w tym marnym.

Andrzej Wajda